

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/261

1969



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

KORAB :

WESTERN

P. ZDZIECHOWSKI : **REFLEKSJE POREWOLUCYJNE**

H. SKOLIMOWSKI :

LESZEK KOŁAKOWSKI

SPIS RZECZY

Paweł Zdziechowski:	<i>Refleksje porewolucyjne</i>	3
Ryszard Krygier:	<i>Z notatnika spiesznego turysty (1)</i> ..	13
Henryk Skolimowski:	<i>Leszek Kołakowski — fenomen polskie-</i> <i>go marksizmu</i>	21
Korab:	<i>Western</i>	35

W I E R S Z E

Jan Leszcza:	<i>Z notatek exromantycznego poety</i>	75
	<i>Z notatek starego umierającego emi-</i> <i>granta</i>	76
	<i>Z notatek Guliwera</i>	76
	<i>P o t</i>	76
	<i>Powrót bohatera</i>	77
Adam Solikowski:	<i>Opowiadanie</i>	78

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Refleksje współczesne (3)</i>	79
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	86
Jacek Dywiński:	<i>List do Redakcji</i>	92
J. J.:	<i>Demokracje ludowe po Pradze</i>	94

S Ą S I E D Z I

Jan Krok-Paszkowski:	<i>Odra, Dunaj i Łaba</i>	97
Adam Kruczek:	<i>Z sowieckiej prasy</i>	101

K R A J

—	<i>Refleksje rocznicowe</i>	107
—	<i>W stylu Termidora</i>	112
—	<i>Nie o egalitaryzm chodziło</i>	116
—	<i>Czarna lista</i>	123

SPRAWY I TROSKI

Zygmunt Markiewicz:	<i>Polonistyka we Francji</i>	125
---------------------	-------------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Tadeusz Kotarbiński:	<i>Wspomnienie o Czesławie Znamierow-</i> <i>skim</i>	130
Andrzej Nakov:	<i>„Tysiąc lat sztuki w Polsce”</i>	133
—	<i>Komunikaty</i>	140

K S I Ą Ż K I

M. Broński:	<i>Reportaż spod szubienicy</i>	141
Jerzy R. Krzyżanowski:	<i>Z życia wyższych sfer</i>	147
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	149



J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	150
------------	----------------------------------	-----



T. Dąbrowski, J. Kossowska, O. dr L. Łuszczki, J. No- wak, M. K. Pawlikowski, Redakcja:	<i>Listy do Redakcji</i>	158
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Czerwiec-Juin

1969

INSTYTUT



LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Marian Barski, Buenos Aires, po raz drugi	F. 49,00
Łucja Bossowska, Londyn, zamiast kwiatów dla uczczenia pamięci Kazimierza Wierzyńskiego	F. 24,00
Henryk Duda-Keller, Buenos Aires	F. 98,00
Inż. Christina Eichler, Hollywood, Cal. (USA)	F. 34,00
Dr Tomasz Gołąb, Indianapolis, Ind. (USA)	F. 24,50
Irena i Jerzy Jellaczyc, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 450,00
B. Kosiewiczowa, Londyn	F. 20,00
Dr W. Nyka, Baltimore, Md. (USA)	F. 98,00
Irena Podczaska, Buenos Aires	F. 24,50
P. Sarnacki, Toronto (Canada)	F. 22,50
Alojzy Sztupak, New Britain, Conn. (USA), po raz drugi	F. 49,00
Włodzimierz V. Tykowski, Toronto, Ont. (Canada), po raz drugi	F. 22,50
Janusz Wolkowski, Chicago, Ill. (USA)	F. 39,00
Bezimiennie, Londyn	F. 18,00
T. Makowski, Sydney	F. 106,00
Towarzystwo Przyjaciół „Kultury” w Melbourne	F. 490,00
(na sumę tę złożyli się: K. Trojanowski \$A. 40,00, Polacy z Dookie Agricul. College \$A. 20,00, W. Araszkiewicz, A. Blej- wast, J. Bluzer, J. i K. Grabarczyk, Z. Maćkowiak, J. Ma- dachowski, T. Ostrowski po \$A. 5,00, i J. Walis \$A. 2,00).	
„Koło Przyjaciół Teatru w Adelajdzie” (Australia), wpłaciło na Fundusz „Kultury” do Twojej Wiedzy o Polsce w Południowej Australii — Sekcja Naukowa	F. 137,55
Nowopowstałe „Koło Przyjaciół „Kultury” w Brisbane, Qld, (Australia) przekazało na Fundusz „Kultury”	F. 450,91
(na sumę tę złożyły się m.in. dary: E. Placek i H. Wilczyński po \$A. 10,00, W. Batur, Inż. J. Batur, S. Granat, Inż. K. Ne- tzl, po \$A. 5,00, S. Ickiewicz i E. Sembel — po \$A. 3,00, Z. Adamski, S. Bacia, J. Talar — po \$A. 2,00).	

DZIĘKUJEMY!

Refleksje porewolucyjne

Rok temu cała Francja, od kanału La Manche aż po Pireneje, płonąła od czerwonych sztandarów. A dzisiaj?

Dzisiaj, zalana jest nieprawdopodobną ilością książek, broszur, artykułów i oświadczeń poświęconych zeszłorocznym wypadkom. Nieomal każdy człowieczyna mający się pióra poczuwał się i poczuwa się w dalszym ciągu do obowiązku wypowiedzenia kilku myśli na ten temat. Na przestrzeni historii Francji nie było na pewno faktu historycznego czy zjawiska, które wywołałoby w tak krótkim czasie tak bogatą literaturę. Pod tym względem wydarzenia majowe stanowią rekord. W życiu codziennym zaś, w rozmowie potocznej mówi się o nich tak jakby były jakimś punktem zwrotnym, datą orientacyjną, momentem przełomowym: drogi panie, przecież to było przed majem, lub: myli się pan, to było już po maju. A ten, kto chce dowcipkować, nie brak mu okazji by pośmiać się nieco w związku z tym ogólnym nastawieniem; maszynistka w biurze napisała list pełen błędów ortograficznych — kto winien? — wypadki majowe; pociąg spóźnił się o pięć minut — gdyby nie rewolucja przyszedłby na czas...

Kilka tygodni temu rozmawiałem z dziennikarzem francuskim, który opowiadał mi, że od jedenastu miesięcy policja zaostrzyła kurs w stosunku do młodzieży cudzoziemskiej, udzielając coraz trudniej prawa pobytu na terenie Francji. — Dlaczego od jedenastu miesięcy? — pytam się. Otwiera przerażone oczy. — Jakto nie wie pan co było jedenaście miesięcy temu? Nie był pan w Paryżu w maju ubiegłego roku? — mówi.

Dla ludzi mieszkających poza Francją wypadki majowe sprowadzają się natomiast do dwóch nazwisk — de Gaulle'a i Cohn Bendita, do przekonania, iż chodziło tylko o dłuższą niż gdzie indziej burdę studencką, i do prostej formułki: zwycięstwo odniósł tradycyjny rozsądek społeczeństwa francuskiego. Kto ma rację? Francuzi czy wszyscy inni? Czy był to przełom o zasięgu poza-narodowym, czy też po prostu przypadkowa, i co więcej,

szkodliwa awantura? Spróbujmy na pytanie to odpowiedzieć, teraz, z pewnej perspektywy.

Chciałbym jeszcze dodać, że jeżeli zadania tego podejmuję się — zresztą nieśmiało i szkicując tylko pewne problemy — to nie dlatego, że pragnę przyłączyć się do potężnego chóru komentatorów, lecz dlatego, że wypadki te wiążą się z pewnymi, bardzo aktualnymi i ważnymi zagadnieniami, które są przemilczane. A zagadnienia te należą do tych właśnie, o których trzeba mówić.

Zacznijmy od tego: rewolucja wybuchła w momencie gdy nie istniały, ustalone przez Marksa, konieczne i „obiektywne” warunki po temu, a skończyła się wtedy gdy, według teorii Marksa, powstały właśnie odpowiednie warunki dla jej zwycięstwa. Przed majem sytuacja gospodarcza Francji była lepsza niż w poprzednich latach, liczba bezrobotnych nie zwiększała się, ekspansja przemysłowa kraju wchodziła na oczekiwane od dawna tory, rozpiętość między zwykłą ceną a zwykłą płacą zmalała, uświadomienie klasy pracującej i jej wola podjęcia rewolucji drzemały. Nagły zryw rewolucyjny musiał więc być dla ortodoksyjnych komunistów większym zaskoczeniem niż dla kogokolwiek innego. 31 maja natomiast, na chwilę przed przemówieniem generała, cały kraj był sparaliżowany, pogrążony w chaosie, u brzegu ruiny, a nad ulicami w większych miastach panowały grupy ludzi dążących do obalenia ustroju. Tym niemniej wystarczyło by staruszek huknął przed mikrofonami aby wszystko rozleciało się, a raczej, zaczęło wracać powoli do porządku. W tym sensie wypadki majowe są porażką teorii Marksa.

Poza tym wykazały one w sposób spektakularny dwa fakty. Francuska partia komunistyczna — a więc najprawdopodobniej wszystkie partie komunistyczne w wysoko uprzemysłowionych krajach zachodnich — przestała być, mimo haseł i uroczystych zapewnień, ruchem rewolucyjnym. W maju ubiegłego roku dokładała wszelkich i ponadludzkich wysiłków by nie skorzystać z fali, która niosła ją ku władzy, i by władzy tej nie objąć. Rozdarcie jej w tym zakresie jest dramatyczne.

A drugi fakt — to głębokie, sięgające dna, rozbitcie międzynarodowego ruchu marksistowskiego. Nie chodzi tu już o spory ideologiczne czy teoretyczne, lecz o walkę między zaciekłymi przeciwnikami. W czasie rewolucji majowej komuniści spod znaku partii zapomnieli, że ich zasadniczym wrogiem jest kapitalizm i ci, którzy ustrój ten reprezentują, a skoncentrowali wyłącznie uwagę na wymykających się spod ich kontroli grupach skrajnie lewicowych, usiłując zapobiec ich presji i licytacji rewolucyjnej. W ich przekonaniu prawdziwy wróg znajdował się nie na prawym, lecz na lewym skrzydle. W tym sensie wypadki majowe zdemaszkowały komunistów uświęconych przez autorytet Moskwy, ukazując ich odstępstwo od zasad Marksa. Publiczne ujawnienie zdrady musi dawać uczucie porażki. Dlatego myślę, że uświadomienie sobie tych trzech prawd przez komunistów partyjnych było dla nich znacznie boleśniesz niż masowe zwycięstwo gaulistów w wyborach czerwcowych. Po wyborach bowiem odetchnęli

oni z ulgą, gdyż z lekkim sercem mogli powrócić do swej normalnej roli, to znaczy roli partii opozycyjnej, działającej jedynie na terenie Parlamentu i związków zawodowych, a unikającej jak ognia niekontrolowanych rozruchów ulicznych.

Stwierdzenia te, o charakterze poza francuskim bo dotyczącym zagadnień ogólnoswiatowych, są powszechnie znane i niczego nowego tu nie odkrywam. Warto było jednak je przypomnieć, by przejść do innych spostrzeżeń, tych, do których wdzierają się właśnie zakłamania.

Pierwsze pytanie: dlaczego właściwie doszło do rewolucji majowej? Tu krąży nieprawdopodobna ilość mniej lub bardziej zdefigurowanych interpretacji. Są tacy, którzy mówią, że był to protest przeciwko strukturalizacji, są inni, którzy utrzymują, że był to zręczny i dyktowany z góry manewr czynników rządowych, zmierzający do wywołania najpierw zaniepokojenia w społeczeństwie, a potem odzyskania topniejącej masy zwolenników, są filozofowie, którzy twierdzą, że był to odwet Sartre'a nad Levi-Strauss'em, są inni wreszcie, którzy głoszą, iż było to dążenie do uczłowieczenia stosunków między pracą a kapitałem. Wszystkie te tezy wydają mi się na pograniczu bzdury. Są natomiast dwa elementy, które zagrały naprawdę: nuda ciężąca nad Francją i umiejętne wykorzystanie przez marksistowskie ruchy rewolucyjne stanu permanentnego niezadowolenia młodzieży. Potem, była to lawina.

Najpierw kilka słów o nudzie. Na dwa miesiące przed wypadkami majowymi znakomity dziennikarz francuski Viansson-Ponté napisał długi artykuł czy studium pod tytułem: „Francja nudzi się”. Nie będę wyliczał jego słusznych uwag, bo zajęłoby to zbyt dużo miejsca, powiem tylko, że potwierdzeniem jego tezy były powtarzające się w nieskończoność napisy na murach kreślone ręką studentów: „Dodo — Métro — Boulot, Y en a marre” (Spanie — Metro — Praca, Mamy tego dość). A tłumne manifestacje uliczne, strajki czy okupacja fabryk robiły często wrażenie jakiejś radosnej zabawy ludowej, beztróskiego święta, lekkomyślnego zanurzenia się w odmienionej teraźniejszości po to by zapomnieć o codziennym kołowrotku. Miało to aspekt odwetu na zabijającej rutynie. W tej Francji, pogrążonej w letargu, nareszcie coś się działo. Dla wielu, uczestniczenie w manifestacjach stało się haszyszmem, odurzeniem, czymś podobnym do uczucia jakie przeżywa młoda dziewczyna gdy idzie na bal. Przed okupowaną Sorbonę zajeżdżał codziennie pod wieczór wspianały samochód, z którego wysiadał szofer w liberii i, zdejmując czapkę, otwierał drzwi młodej dziewczynie w hełmie i z pałką w ręku. Była to córka znanego bankiera Lazare'a, która, chcąc zerwać z nieznośną nudą swego bogatego życia, przyjeżdżała uczestniczyć w okupacji Sorbony. Córka mojego przyjaciela, dziennikarza francuskiego, która nigdy nie miała w ręku Marksa, a coś dopiero Marcuse'a, a która tak mało interesuje się polityką, iż nie wiem czy potrafi powiedzieć jak nazywa się obecny Prezydent Rzeczypospolitej francuskiej, przesiedziała całą okupację na Sorbonie. Mówi teraz z zado-

woleniem, że rozrywek innych niż codzienne, nigdy jej wówczas nie brakowało.

To samo dotyczy wielu robotników. Poza grupami uświadomionych przywódców, reszta w swej ogromnej większości bawiła się na początku okupacji fabryk jak na spadającym z nieba i bezpłatnym wesołym miasteczku. Udało się jej nareszcie zerwać, chociaż na chwilę, z piekielną, niszczącą wszelką radość, rutyną. Wystarczy więc na wypadki majowe spojrzeć z tego punktu widzenia, by przekonać się nie po raz pierwszy, że nuda dla ustroju kapitalistycznego — to znaczy ustroju, który w dużym stopniu zaspakaja zasadnicze potrzeby człowieka — jest znacznie większym niebezpieczeństwem niż rewolucyjne ruchy wysuwające mgławicowe cele.

Druga sprawa — umiejętne wykorzystanie przez rewolucyjne ruchy marksistowskie permanentnego niezadowolenia młodzieży — jest bardziej skomplikowana. Trzeba też rozbić ją na dwie części: problem robotników i problem studentów.

We Francji istnieją obecnie cztery związki zawodowe, z których dwa są naprawdę potężne: CGT w rękach komunistów i CFDT w rękach PSU (*Parti socialiste unifié*), czyli skrajnej lewicy nastawionej rewolucyjnie (po francusku *les gauchistes*). Od kilku lat między tymi dwoma związkami zawodowymi toczy się ostra rywalizacja, przy czym CGT traci nieustannie członków na rzecz CFDT. Opuszczają ją elementy młode, dynamiczne, żądające zmian nie na drodze pertraktacji z państwem czy pracodawcami, lecz na drodze akcji rewolucyjnej.

Jeżeli w maju ubiegłego roku doszło w ogóle do strajków robotniczych, to stało się to tylko dzięki młodym robotnikom należącym do CFDT. Oni pierwsi zastrajkowali w Bretanii okupując fabrykę, a potem powtórzyli to samo w zakładach we Flins. Akcja ich zaskoczyła komunistów z partii; bojąc się też zdystansowania, utraty zaufania, poczuli się zmuszeni do zarządzenia strajków w innych dziedzinach działalności gospodarczej. Następnie, w czasie całego trwania rewolucji, robotnik spod znaku CGT wykazał zdumiewającą, wprost niepojętą, karność. Odmawiał solidaryzowania się ze studentami, nie uczestniczył w manifestacjach, o ile mu tego nie nakazano, ograniczał się do wysuwania żądań o charakterze tylko gospodarczym, a nie politycznym. Natomiast robotnik z CFDT uczestniczył w manifestacjach, bratał się ze studentami i dwa razy zaważył w sposób decydujący na biegu wypadków stawiając przywódców partii komunistycznej w kłopotliwym położeniu: 17 maja gdy doszło do pierwszej okupacji fabryki i 27 maja gdy odrzucono tak zwane układy w Grenelle, zawarte przez związki zawodowe z rządem w celu położeniu kresu strajkom. Po raz pierwszy rewindykacje robotników zamieniły się wówczas w rewindykacje polityczne łącznie z żądaniami obalenia rządu i zmiany ustroju. Wszystko to było sprawą elementów poza-partyjnych, skrajnie lewicowych.

Natomiast niesłychana karność robotników z partii komunistycznej była jednocześnie dowodem siły tej partii jak i jej sła-

bości. Siły — bo zdyscyplinowanie było naprawdę imponujące, słabości — bo zmanifestowało się ono tylko dlatego, że zachowanie posłuszeństwa szło po linii życzeń ogromnej większości robotników. Byli karni, bo nie żądano od nich rewolucji. Trzeba tu stwierdzić pewną banalną prawdę: robotnicy francuscy stracili swe romantyczne i rewolucyjne porywy z okresu Zoli, czy nawet później Leona Bluma, a stali się drobnymi mieszczanami o aspiracjach drobnomieszczańskich. Dlatego też ogromna ich większość tak dobrze współżyje z drobnomieszczańską francuską partią komunistyczną, która uchodzi w ich oczach za znakomitego obrońcę jej interesów materialnych, a tylko nieznaczna część szuka zmian na drodze akcji rewolucyjnej.

Teraz studenci. Tu także trzeba, niestety, uciec się do kilku najbardziej banalnych stwierdzeń.

Jest rzeczą jasną, że dzisiejsza młodzież czuje się źle w dzisiejszym świecie. Młodzież w ogóle czuje się zwykle źle w otaczającej rzeczywistości, ale w wiekach poprzednich jej niezadowolenie miało inne wymiary. Bunt i protesty młodych ograniczały się przeważnie do wystąpień w kółku rodzinnym. Dzisiaj, pod wpływem faktu, że każde zjawisko nabiera charakteru masowego, bunt i protesty przedostają się na ulicę. A zaskoczone tym zjawiskiem starsze pokolenie, zamiast szukać dróg wyjścia, poprzestaje jedynie na płaszczeniu się przed młodzieżą. Nigdy jeszcze w dziejach ludzkości żadne starsze pokolenie tak nie skakało nad młodymi, nie troszczyło się o nich w równym stopniu, tyle im nie schlebiało. Powstał cały ogromny, i mocno lukratywny, przemysł prasowy, filmowy, odzieżowy, teatralny i śpiewaczy, służący wyłącznie młodzieży. W rezultacie wytwarza to u młodych pogardę dla starszych i zaakcentowane poczucie własnych praw. W sytuacji tej młodzież stoi wobec alternatywy: albo od świata, którym pogardza, uciekać, albo świat ten przekształcać. Ci, którzy wybierają pierwszą możliwość, palą marihuanę, zażywają LSD, przebiegają się, a raczej rozbierają, by tworzyć szeregi *hippies'ów*, chodzą na przedstawienia tak zwanego „żywego teatru”, odurzają się słuchając jakiegoś Sammy Davies Jr. czy Sandy Shaw. Ci, którzy wybierają drugą drogę, wpadają jak naiwne owieczki w ręce marksistowskich ruchów rewolucyjnych. A ruchy te umieją zręcznie zastąpić bóstwa, które nazywają się Rolling Stones lub Julie Driscoll, innymi bóstwami, których nazwiska brzmią po prostu Cohn Bendit czy Sauvageot. W pewnych chwilach zaś — taką chwilą były wypadki majowe — by być *in* trzeba tylko zgodzić się na tę zamianę.

Dodajmy, że we Francji niezadowolenie młodzieży akademickiej miało jeszcze pewne — właściwe temu krajowi — realne uzasadnienia. Były nimi; stary i na pewno wadliwy system nauczania na wyższych uczelniach, fatalne warunki pracy w gmachach uniwersyteckich, brak nowoczesnych instalacji i wreszcie wzrastające trudności w znalezieniu odpowiedniego zatrudnienia dla osób posiadających dyplom uniwersytecki. Tutaj, każdy kto krytykował natrafiał na podatny grunt i urastał bez wysiłku do

roli burzyciela nieznosnego porządku — przywódcy broniącego pokrzywdzonych, bóstwa zwiastującego „lepszą przyszłość”.

Ale obok tej młodzieży, która chce być *dans le vent* i szuka bóstw jakich nie umie dostarczyć jej starsze pokolenie, obok innej jeszcze, bardzo licznej zresztą, nie mającej wyraźnego oblicza a raczej posiadającej oblicze ułożone według tradycyjnych wzorów z dawnych czasów, istnieje jeszcze młodzież, która swym postępowaniem przypomina pierwszych chrześcijan. Jest ona na usługach marksistowskich ruchów rewolucyjnych i gotowa jest do wszelkich poświęceń. Odznacza się skondensowanym fanatyzmem i zadziwiającą bezinteresownością w służbie idei. W czasie wydarzeń majowych widziałem często tych pierwszych chrześcijan w akcji. Nie mogłem oprzeć się uczuciu podziwu. Francuska partia komunistyczna boi się pierwszych chrześcijan i jednocześnie żałuje, że nie ma ich wśród swych szeregow.

W maju doszło więc do rozruchów studenckich na taką skalę dlatego, że marksistowskie ruchy rewolucyjne umiały wykorzystać niezadowolenie młodzieży, dlatego, że w pewnym momencie stały się one modne i dlatego, że liczyły one wśród swych członków pierwszych chrześcijan. A wydarzenia majowe wykazały — o ile wykazanie to było jeszcze potrzebne — że ustroj kapitalistyczny potrafi dostarczyć młodzieży środków umożliwiających ucieczkę od świata, ale nie umie podsunąć jej środków (czytaj idei) służących do przebudowy tego świata.

Z problemem przyczyn wybuchu rewolucji majowej wiąże się jeszcze jedno zagadnienie. Pewne francuskie koła lewicowe i pewna ich prasa starają się wmówić w nas, że manifestacje studentów w Paryżu i manifestacje studentów polskich w marcu zmierzały do zrealizowania tych samych celów. Celem tym miało być jakoby dążenie do zjednoczenia w nierozdzielną całość zasad komunizmu i zasad prawdziwej wolności. Trudno o większą bujdę. Odpowiedź jest tu prosta: na zagadnienie tej rzekomej identyczności można spojrzeć dwojako. Można wychodzić z założenia, że polskie manifestacje studenckie rozegrały się pod egidą młodych, myślących podobnie jak Kuroń i Modzelewski, to znaczy osób będących komunistami i usiłujących zreformować komunizm w imię komunizmu. W Paryżu żaden z działających studentów nie był — by zachować analogię położenia — zwolennikiem istniejącego ustroju tzn. kapitalizmu i nie zmierzał do zreformowania kapitalizmu w imię kapitalizmu. Wszystkich ich łączyła jedna myśl: obalenie kapitalizmu nie w imię wolności, lecz w imię sztywnej doktryny.

Można też spojrzeć na manifestacje polskie jako na akcję, która domagała się wolności, zniesienia cenzury, wprowadzenia demokratycznych wyborów, uznania prawa do opozycji. Jeżeli tak było naprawdę, to studenci szli znacznie dalej niż Kuroń i Modzelewski i, żądając istotnych zmian, zgadzali się na zachowanie z obecnego ustroju jedynie pewnego marksistowskiego szkieletu gospodarczego. Dążyli oni naprawdę do połączenia socjalizmu z wolnością. W Paryżu natomiast, studenci zarówno spod znaku

Cohn Bendita jak i Sauvageot zaczynali od tego, że znosili wszelką wolność myśli, dopuszczając jedynie doktrynę Marksa. Nie ma więc mowy o żadnej analogii. Próba stawiania znaku równości wynika tylko z nastawień antymoskiewskich, czyli także antygomułkowskich, skrajnie lewicowych kół francuskich.

Przejdźmy z kolei do drugiego pytania: dlaczego majowy wybuch rewolucyjny zakończył się fiaskiem? Tu także roi się od przeróżnych interpretacji. Mówi się o wybitnych zdolnościach manewrowania opatrnościowego męża Francji, generała de Gaulle'a i Pompidou, o konserwatyzmie i zmateralizowaniu społeczeństwa francuskiego, które panicznie boi się wszelkich awantur o trudnych do przewidzenia konsekwencjach. Jest w tym wszystkim sporo prawdy; spojrzenie jednak na tę sprawę od strony komunistów partyjnych i rewolucyjnej lewicy będzie, mam wrażenie, dużo bardziej ciekawe i pouczające.

Ojciec Dupanloup pisze, że komuniści partyjni w wysoko uprzemysłowionych krajach zachodnich rozdarci są między tezę a hipotezę. Tezą jest nastawienie, że po objęciu władzy należy przystąpić do upaństwowienia wszystkich środków produkcji, a hipotezą jest przekonanie, że tego rodzaju decyzja doprowadziłaby nieuchronnie do zniszczenia sprężyn i motorów życia gospodarczego. Niewątpliwie dylemat ten zadecydował o fakcie, że francuska partia komunistyczna broniła się rękami i nogami przed objęciem władzy. Trudno bowiem żądać od zmateralizowanego robotnika francuskiego by w imię miłości do komunizmu zgodził się na niższe płace, krótsze płatne urlopy itd., to znaczy na wszystkie te konsekwencje, które wywołałyby usztywnienie i zbiurokratyzowanie aparatu produkcji i wymiany oraz spowodowane tym zahamowanie ekspansji przemysłowej. Dlatego też niepowodzenie rewolucji nie było dla komunistów francuskich fiaskiem, lecz zwycięstwem. Odsunęło ono na czas nieokreślony konieczność rozwiązania nierozwiązalnej sprzeczności.

A jak sprawa niepowodzenia zamieszek wygląda z punktu widzenia skrajnej lewicy, tak zwanych *gauchist'ów*? Wydaje się, że nieszczęściem, powiedzmy nawet tragedią, ruchów kontestacyjnych na Zachodzie jest to, że znalazły się one pod kontrolą rewolucyjnych ruchów marksistowskich. Zdrowy w swym założeniu, mogący przynieść daleko idące i pozytywne zmiany, ruch ten popadł w związek z tym i od samego początku w absurdałne sprzeczności. Kontestowanie jest w swej zasadzie protestem przeciwko uwarunkowaniu myśli. Marksisci rewolucyjni są natomiast uwarunkowani doktryną i postulatami politycznymi. Wystarczy przypomnieć dla przykładu nonsens młodzieży kontestacyjnej, która bezmyślnie powtarzała i powtarza antyamerykańskie, dyktowane względami politycznymi, slogany na temat wojny w Wietnamie. Któż z tych rzekomych kontestatorów ośmielił się kiedykolwiek powiedzieć, że przecież ogromna większość 14-to milionowej rzeszy mieszkańców Południowego Wietnamu nie życzy sobie komunizmu. Któż wspomniał o tym, że Wietnam jest w równym stopniu przedmiotem rozgrywki między Rosją a Chinami co mię-

dzy Ameryką a komunizmem. W tych warunkach kontestacja przestawała być ruchem wolnym, stała się jednokierunkowa i, przekształcając się w akcję polityczną, zdradziła swe powołanie, straciła swą skuteczność.

Drugim nieszczęściem ruchu kontestacyjnego na zachodzie było to, że wybrał on sobie za bogów takich ludzi jak Marcuse, Mao czy Guevara. W części realnej i praktycznej, bełkot Marcuse'a sprowadza się właściwie do ataków na tak zwane „społeczeństwo konsumpcyjne”. Tu postulat jego jest w samym założeniu trudny do utrzymania. Czyż bowiem dążenie by doprowadzić klasę robotniczą, wbrew jej upodobaniom i nastawieniom, do obalenia ustroju, z którego czerpie korzyści i zadowolenie, nie przypomina do pewnego stopnia walki z wiatrakami? Marcuse, tak jak marksiści z krajów socjalistycznych, nie chce uznać tej oczywistej prawdy, że samochód, telewizor i lodówka kupione na kredyt na zasadzie przystępnych rat miesięcznych, są dużo bardziej skuteczną bronią kapitalizmu niż najbardziej wyzniosłe hasła i armie uzbrojone w bombę atomową. Trudno sobie wyobrazić by na tej drodze porwał on za sobą masy pracujące. Tym bardziej, że poza tym postulatem jego nieznosne gadulstwo, utrzymane w najgorszym żargonie filozofów niemieckich, ukrywa beznadziejną pustkę. Nie wystarczy powtarzać, że w społeczeństwie konsumpcyjnym człowiek jest nieszczęśliwy i ulega alienacji, trzeba jeszcze przynajmniej zarysować zasady, na których oprze się to inne, idealne społeczeństwo. Marcuse tego nie robi. Dlaczego? Po prostu dlatego, że jak Lefebvre i mu podobni, żyją w kompleksie obłędnego strachu, iż może być posądzony o odstępstwo od Marksa. Woli więc milczeć na temat przyszłego, idealnego ustroju. Czy w historii świata udało się komukolwiek porwać masy nawołując je do obalenia w imię przyszłej pustki tego, do czego są mniej lub bardziej przywiązane? Jeszcze nie. Ci więc, którzy wypisali na swych sztandarach hasła Marcuse'a musieli przegrać. Nadzieja, iż mogą wygrać, była jednym z najbardziej krzyczących nieporozumień wypadków majowych.

Sprawa kontestatorów spod znaku PSU, Guevary i Mao przedstawia się nieco inaczej. Ci, oczywiście, nie proponowali nam pustki po obaleniu ustroju kapitalistycznego. Proponowali dyktaturę marksizmu, albo wzbogaconą o jakąś bliżej nieokreśloną koncepcję *co-gestion*, albo w wydaniu chińskim, albo w wydaniu południowoamerykańskim. W każdym jednak wypadku, mimo zapewnień na temat wolności i przyszłego szczęścia, alternatywą była jedynie dyktatura. Tego rodzaju wizja jest na ogół mało pociągająca. By ją urzeczywistnić trzeba dysponować odpowiednią siłą i organizacją. Lewicowy ruch kontestacyjny posiadał wprowadzić pierwszych chrześcijan, lecz nie posiadał organizacji. Był zaskoczony rozmiarami i szybkością własnego powodzenia. Dlatego też pogodził się z fiaskiem, lecz czeka odwetu.

Ostatnie wreszcie pytanie: jakie są konsekwencje wypadków majowych? Na świecie — żadne, na terenie Francji — prawie żadne. Pozornie wzmocniony gaullizm tkwi w swych poprzed-

nich błędach i mało co więcej dialoguje ze społeczeństwem; o reformie senatu, partycypacji i regionalizmie de Gaulle mówił już przed wypadkami majowymi; podział na społeczeństwo komunistyczne i niekomunistyczne nie pogłębił się; komuniści partyjni nie wyciągnęli narzucających się wniosków z doświadczeń majowych; rany zadane życiu gospodarczemu przewlekłym strajkiem zablźniając się powoli; za wcześniej jeszcze na to by przystąpić do oceny domniemyanych dobrodziejstw uniwersyteckiej reformy Faure'a. Wiadomo tylko, że na wielu wydziałach przewidziane studia nie toczą się normalnie, a liberalny stosunek do sprawy rozpolitykowania młodzieży jest jedynie wodą na młyn skrajnie lewicowych ugrupowań studenckich. Obóz akademicki w Vincennes, który miał być ogniskiem gaullizmu, opanowany już został prawie całkowicie przez zwolenników PSU.

Istotnymi konsekwencjami rewolucji majowej są tylko: zaostrenie walki partii komunistycznej z rewolucyjnym ruchem marksistowskim, szczególnie z PSU (stworzyła ona na uniwersytecie konkurencyjny i rozrastający się znacznie związek studentów; wyrwała kierownictwo nad związkiem zawodowym ciała pedagogicznego wyższych uczelni), ogromny rozrost PSU (według ostatnich danych statystycznych partia ta zwiększyła swój stan posiadania o 42,7 procent od maja ubiegłego roku) i wciągnięcie do akcji politycznej uczniów i uczenic gimnazjalnych (zadanie to przeprowadziła PSU organizując w gimnazjach niebezpieczne, terroryzujące uczniów i profesorów, komitety akcji licealnej, tak zwane CAL).

Po tym pobieżnym zestawieniu niektórych faktów możemy, jak wydaje się, powiedzieć że to, o czym piszą niestrudzenie Francuzi wylewając morze atramentu, to co nazywają punktem zwrotnym czy momentem epokowym, wcale nie przeorało głęboko rzeczywistości, a ograniczyło się właściwie do roli reflektora, który w krótkim błysku oświecił szereg prawd i zjawisk ogólnie znanych. Światło tego reflektora mogłoby jednak być w pewnym sensie przełomowe. Mogłoby, gdyby obserwatorzy zechcieli wyciągnąć, niezmiernie prosty zresztą i oczywisty wniosek. Nie zauważyłem jednak by ktokolwiek ten wniosek sformułował. Oto on.

W latach 1924-1939 naszego wieku ze wszystkich stron świata jeżdżali się do Niemiec dziennikarze i politycy, by obserwować zdumiewające zjawisko narodzin i rozrostu hitleryzmu, by przyglądać się masowym manifestacjom młodzieży hitlerowskiej. Písali potem niekończące się artykuły, kiwali głowami pełni zdziwienia, rzucali czasami przestrogi. Nikomu z nich jednak nie przychodziło na myśl, by nawoływać do tworzenia wspólnego frontu przeciwko temu zjawisku. Skutki tej lekkomyślności znane są wszystkim.

Dzisiaj dziennikarze całego świata robią to samo patrząc na akcję młodzieży spod znaku Cohn Bendita, Sauvageot czy Rudi Dutschkego. Między metodami działania młodzieży hitlerowskiej przed objęciem władzy przez narodowy socjalizm, a metodami

młodzieży z PSU, francuskiego odłamu chińskiej partii komunistycznej czy z dawnego ruchu 22-go Marca nie ma żadnej różnicy. Światło rzucone reflektorem wypadków majowych pokazało to aż nazbyt wyraźnie. Dlaczego się o tym nie pisze? Dlaczego nie mówi się o tym niebezpieczeństwie?

Paweł ZDZIECHOWSKI

1.000.000

GILLETTE super silver
wysłał w bieżącym
roku do Kraju
T A Z A B

- Obecnie cło zostało podniesione z 1 zł. i pół na 10 zł. od sztuki, co oczywiście zlikwidowało opłacalność wysyłki większych ilości. (Od 30 sztuk cło wynosi tylko 3 zł. od sztuki).
- Powyższą podwyżkę tak uzasadnia „Życie Warszawy” z 19 lipca: ... „za każdy dolar wydany za granicą na zakup „Silverów” otrzymywało się w Kraju do 280 złotych”.
- Tak było istotnie i TAZAB ma pełną i wyłączną satysfakcję wprowadzenia tego towaru i ułatwienia naszym Klientom na całym świecie **NAJKORZYSTNIEJSZEJ** pomocy rodzinom.
- Okazja ta została obecnie przekreślona, ale w najnowszych **ILUSTROWANYCH KATALOGACH TAZABA ZNAJDĄ ZAINTERESOWANI INNE KORZYSTNE OKAZJE.**

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB and C°, Tazab House

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W.7.

16, STUYVESANT STR., NEW YORK, N.Y. 10003,

Tel.: ALgonquin 4-4161

20, RUE LEGENDRE, PARIS 17°, Tel.: 924-0045

Z notatnika spiesznego turysty (I)

Zastanawiałem się nad tytułem tych bardzo pobieżnych notatek; wybór mój jest oczywiście bardzo zaczepny. Zaczepna jest bowiem moja bezczelność nawiązania tych notatek ignoranta do mądrych i pięknych stron *Notatnika* Pawła Hostowca. Ta bezczelność, czy przekora miały jednak swój wyraźny cel — podkreślenie tej różnicy, zdyskontowanie z góry moich uwag do tego, czym są: zbiorem wrażeń człowieka, który na niczym zbyt dobrze się nie zna, ale którego fascynuje polityka światowa i który — w przeciwieństwie do wielu Europejczyków — nie chce wymazać Azji z mapy świata.

A teraz odpowiedź na pytanie: jaki był cel podróży do „brudnych krajów”, jak to wielu rodaków zwykło mówić o Azji.

Żyje mi się tu w Australii bardzo przyjemnie. Lubię miasto Sydney — jedno z najpiękniejszych na świecie — lubię mój dom z pięknym widokiem na port sydnejski i na wielki most, nad którym pod wieczór rozpościera się pomarańczowa wstęga zachodzącego słońca; praca sprawia mi przyjemność. Rodzina i przyjaciele dopełniają tej sielanki.

Ale przychodzi czas, kiedy po dwóch latach pracy należy pomyśleć o wypoczynku. I wtedy powstaje zagadnienie, dokąd jechać.

Nie lubię plaży, którą mam koło domu stale, nie lubię nudzić się w uzdrowisku lub — najgorsze chyba na świecie — „wypoczywać” na okręcie. W Australii wszędzie już byłem, gdzie być chciałem, a na wyjazd dalszy nie staję ani czasu ani pieniędzy.

Wobec tego wybrałem sobie dość osobliwą marszrutę: Indonezja, Singapur, Wietnam, Taiwan, Hong Kong, Manila.

Wiem, że będzie gorąco, a nawet bardzo gorąco, że Saigon ostrzeliwują i że może wcale nie odpoczne. Ale wiem, że zaznam

nowych wrażeń, poznam nowych — i innych — ludzi i zorientuję się osobiście w sytuacji krajów, z którymi mój kraj najbliższej sąsiaduje.

INDONEZJA

Dżakarta

Niektóre wyspy Indonezji położone są bliżej Północnej Australii, niż Jawy a tym bardziej Sumatry. Była Holenderska Nowa Gwinea (obecnie Zachodni Irian) graniczy z Australijską Nową Gwineą. Gdy Japończycy zajęli te wyspy w roku 1942, lub gdy wyglądało, że komuniści zdobyli władzę w Indonezji w roku 1965, mieszkańcy Sydney i Melbourne — tysiące mil na południe — zdawali sobie doskonale sprawę, kto jest następny w kolejce. Jak dotychczas, mamy w Australii więcej szczęścia, jak rozumu. *The Lucky Country* brzmi tytuł popularnej książki o tym kraju.

Poza tym Indonezja jest potencjalnie wielką potęgą. Ponad sto milionów ludzi i wielkie, niezmierzone wprost, bogactwa naturalne. Ale jak to wygląda w rzeczywistości?

Nad Indonezją i moimi wrażeniami stamtąd unosi się duch (żyjącego jeszcze) „Bung” Sukarno. On to był niewątpliwie uważany przez naród za „Ojca”, chociaż było wielu innych rewolucjonistów, niemniej zasłużonych, bardziej zrównoważonych, ale także gorszych „sprzedawców”. Zadufany w sobie, gracz polityczny najwyższej klasy, Sukarno „budował naród”, a równocześnie okradał i rujnował kraj.

Nie był on nigdy komunistą, jakkolwiek wyniósł z okresu młodzieńczej agitacji niepodległościowej normalny bagaż haseł marksistowskich.

Dictum, jak bardzo władza korumpuje rzadko kiedy zilustrowane było lepiej, niż przez dzieje Sukarno. Najróżniejsze historie o jego panowaniu krążą do dnia dzisiejszego. Przytoczyć można by wiele, ale szkoda na to czasu. Ale warto może dwie historyjki zacytować.

Sukarno odwołał nagle prawo lądowania wielkiej linii lotniczej. Gdy interwencje polityczne, prawne i zapewne finansowe nie pomogły, linia wysłała piękną blondynkę w charakterze hostessy stacjonowanej stale w Dżakarcie. Sprawa została załatwiona natychmiast.

W latach sześćdziesiątych, pod koniec panowania Sukarno, kraj doprowadzony był do zupełnego niemal bankructwa. Minister skarbu miał małą rezerwę dewiz, przeznaczoną na zakup części zapasowych dla samolotów linii lotniczej. Ale ostatnia żona pre-

zydenta chciała pojechać do Paryża na zakupy. Zapas dewiz przeniesiony został na inne konto; zamiast części zamiennych kupiono trochę garderoby w Paryżu...

Sukarno zniszczył stopniowo wszystkie ośrodki możliwego oporu lub nawet sprzeciwu. Pierwsi poszli socjaliści, których przywódca Sutan Sjahrir niemniej przyczynił się do uzyskania niepodległości od „ojca narodu”. Niestety — Sjahrir był nietypowym politykiem: intelekt wielkiej klasy, charakter kryształowy, sceptyk — nie potrafił stosować tych samych metod, co Sukarno. Znalazł się też w więzieniu podczas, gdy jego były przyjaciel zbierał triumfy i pieniądze, kochanki i żony, pałace i obrazy (a raczej straszne bohomyzy). Bardzo źle traktowany w więzieniu, Sjahrir padł ofiarą wylewu krwi w mózgu. Sparaliżowany, ale w pełni władz umysłowych, zmarł w Szwajcarii, dokąd mu Sukarno pozwolił wyjechać, by nie mieć jego zgonu na swym rachunku. Umarł Sjahrir dosyć późno, by wiedzieć, że pucz komunistyczny nie udał się i że gwiazda Sukarno zaczęła zachodzić.

Jak to było z tym puczem, o którym miliony słów napisano?

Jak już wspomniałem. Sukarno powoli ale konsekwentnie unieszkodliwiał potencjalnych przeciwników. Po socjalistach rozwiązano Partię Muzułmańską, co wywołało krótkotrwały bunt grupy oficerów. Potem odeszli różni zasłużeni działacze. Na placu pozostał dziwny twór, nazwany przez Sukarno NASAKOM. Oznaczało to NAcjonalistów, Armię i KOMunistów. Reszta przestała się liczyć i siłą konieczności grawitowała raz w jedną, raz w drugą stronę.

Po kilku nieudanych próbach rewolucji Partia komunistyczna pod przewodnictwem Aidita nawiązała bliski kontakt z Sukarno, on zaś z kolei z zadowoleniem powitał przeciwwagę dla armii, której nie mógł całkowicie opanować. Aidit widział oczywiście w poparciu Wodza narodu najłatwiejszą drogę do władzy.

Wszystko układało się jak najlepiej. Partia komunistyczna i jej rozmaite fronty na terenie chłopstwa, związków zawodowych, inteligencji itd. itd. stanowiła potężną siłę i zaczęła powoli infiltrować nawet armię. Z drugiej strony Sukarno, sprytny kombinator który w swoim gabinecie potrafił utrzymać ustaloną proporcję wszystkich ważniejszych grup (włącznie z jednym ministrem katolickim i jednym — protestanckim), coraz bardziej zbaczał w kierunku komunistycznym.

Pochlebstwa Chińczyków i wizja bohaterskiej przyszłości „Nowowyzwalających się sił” (NEFO) z nim na czele odurzały go coraz mocniej. Doszło do tego, że Sukarno wycofał się nawet z Organizacji Narodów Zjednoczonych, by stworzyć Radę „Nowowyzwalających się sił” z nim na czele.

W międzyczasie gospodarka krajowa przestała istnieć. Konfis-

katy wszystkich niemal koncesji zagranicznych nie starczyły na długo. Potem wyczerpano cierpliwość wierzycieli zagranicznych i urwały się kredyty. Potem zaczęto po prostu drukować pieniądze. Inflacja szalała, niezadowolenie ludności wzrastało i sytuacja stawała się bardzo napięta.

I wtedy to uderzył płk. Untung, dowódca Gwardii Pałacowej Prezydenta. Planował wymordowanie całego wyższego dowództwa, co mu się niemal udało. Wódz Naczelny, Nasution, zdołał uciec przez płot (zamachowcy zabili jego małą córeczkę), a Generał Suharto był poza domem i potrafił dotrzeć do sztabu i zmobilizować wierne oddziały. Brakowało więc bardzo niewiele.

Gdy Suharto opanował sytuację, decyzja leżała dalej w ręku Prezydenta. Mógł być odciąć się od buntowników (z którymi był przez cały czas w jak najściślejszej współpracy) i poprzeć Armię, co by mu zapewniło dożywotnią prezydenturę (może nieco ograniczoną). Mógł też być opowiedzieć się za buntownikami i użyć swego autorytetu, by wezwać naród do sprzeciwienia się Armii. I wtedy pozostałby Prezydentem (może jeszcze bardziej ograniczonym).

Sukarno jednak zawahał się, nie chciał ryzykować, wierzył w możliwość dalszego manewrowania w ramach NASAKOM.

Do tego dodać należy bardzo ważny fakt, o którym się często zapomina. „Nieodwracalna” fala sukcesów komunistycznych na kontynencie azjatyckim zatrzymana została w Wietnamie lądowaniem wielkiej armii amerykańskiej. Sukarno miał prawo oczekiwać zwycięstwa komunistów w Wietnamie i ostatecznego przypieczętowania władzy czerwonej na terenie całej południowo-wschodniej Azji (nie ma bowiem wątpliwości, iż zaraz po zajęciu Sajgonu zaczęłyby padać inne „domina”; padłyby niemal natychmiast rządy neutralistyczne lub pro-zachodnie w Laosie, Kambodży, Tajlandzie, Malazji, Singapurze i Burmie, a cały kołowrotek z guerillą komunistyczną i „wojną domową” rozpocząłby się na granicy Indii i Pakistanu).

Zamiast tego Prezydent Johnson powziął decyzję, która kosztowała go prezydenturę. Podczas, gdy „intelektualiści” Ameryki i Europy przeklinają go, intelektualiści Indonezji są mu bardzo szczerze wdzięczni.

Bardzo wybitny Indonezyjczyk potwierdził to w rozmowie ze mną. „Nawet po udaremnieniu puczu ostateczny wynik nie był pewny... Tyłu wierzyło w naszym kraju w nieuniknione zwycięstwo komunizmu, że nie chcieli narażać się Sukarno. Johnson decyzją swoją przekonał nas, że to zwycięstwo nie jest nieuniknione. Dodał on nam otuchy, a to umożliwiło wygranie bardzo trudnej rozgrywki z Sukarno w latach 1966/67”.

Ktoś może zapytać, po co była ta rozgrywka, skoro setki ty-

sięcy komunistów i osób niewinnych wymordowano i uwięziono zaraz po opanowaniu przewrotu wrześniowego. Ci nieszczęśliwcy nie mieli nawet pojęcia o planowanym przewrocie, zadecydowanym w centrali na najwyższym szczeblu i wykonanym dość nieudolnie.

Obecnie Sukarno mieszka pod silną strażą w małym pałacyku w Bogor (dawniej Buitensorg), miejscowości podmiejskiej, sławnej z przepięknego ogrodu botanicznego, gdzie oglądałem kiedyś pachnące storczyki. Nie wolno mu przyjmować wizyt bez specjalnego zezwolenia władz.

Nowy prezydent, Generał Suharto, nie wprowadził się nawet do Pałacu Wolności („Merdeka”) i na pewno tego nie zrobi za życia Sukarno. Albowiem nad krajem unosi się wspomnienie o człowieku, który zrobił dużo dobrego i tyle złego.

A tymczasem nowa ekipa zabrała się do pracy. Generał Suharto jest człowiekiem rozumnym, rozważnym, cierpliwym. Swoją batalię przeciwko Sukarno rozegrał po mistrzowsku.

W polityce zagranicznej linia została wyrównana z dużą subtelnością. Indonezja zajęła z powrotem swe miejsce w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Zamiast grozić sąsiadom, nowy minister Spraw Zagranicznych, Adam Malik, stara się zorganizować sąsiadów dla celów wzajemnej pomocy i ewentualnie wzajemnej obrony.

Inflacja została mocno przyhamowana — nie zupełnie, ale na tyle, że można z nią żyć (jak zapewnił mnie sekretarz Centrali Związków Zawodowych GASBINNDO). Opracowano śmiały plan pięcioletni i nawet sceptycy wierzą, że będzie on przynajmniej w połowie wykonany.

Dżakarta, która jeszcze przed trzema laty była miastem w którym obawiano się wychodzić wieczorami, jest teraz bezpieczniejsza od wielu innych stolic.

Miasto wygląda bardzo malowniczo: otoczone wierzchołkami gór i skąpane w obfitej zieleni tropikalnej. Z czasów Sukarno pochodzą imponujące arterie i wiele bardzo okazałych budynków, które nie mało przyczyniły się do katastrofy finansowej. (Wiele planów pochodzi osobiście od Sukarno, który był inżynierem drogowym). Ale przetrwały i stoją. Niektóre są bardzo ładne.

Obecnie kikuty wielu niedokończonych budynków, rozpoczętych przez Sukarno, oblekane są betonem, nowe hotele i budynki biurowe są w różnym stanie budowy, a ulice i aleje (niedawno jeszcze pełne dziur i wybojów) nadają się doskonale do bardzo ożywionego ruchu samochodowego.

Ludzie są przyzwoicie ubrani i przez cztery dni nie widziałem ani jednego żebraka.

Wiele nowych koncesji górniczych wydano firmom zagranicz-

nym, które szukają minerałów w zupełnie dziewiczej dżungli Celebes czy Makassar. Spodziewają się tam wielkich złóż rud wszelkiego rodzaju, a tymczasem pompują do kraju miliony dolarów.

Obraz ten byłby oczywiście karykaturą, gdybym tu skończył. Tak znów dobrze też nie jest.

Firmy zagraniczne zorientowały się stopniowo — i z bólem — że w dodatku do oficjalnych opłat i podatków istnieje także cały łańcuch wyciągniętych rąk, które trzeba „posmarować”, inaczej koncesje rządowe pozostaną martwą literą.

Kraży po Dżakarcie historia, że Prezydent Suharto postanowił usunąć jakiegoś dygnitarza za przekupstwo. Wezwał go do siebie, by mu to osobiście zakomunikować. Ten wcale się nie przejął, tylko wyjął z kieszeni notesik i odczytał listę 52 dygnitarzy z podaniem kwot, które on *im* wypłacił.

Prezydent zdaje sobie sprawę z tej plagi przekupstwa i wie doskonale, kto „bierze”, ale tłumaczy podobno, że gdyby zrobił gruntowną czystkę, to stworzyłby grupę niezadowolonych byłych dygnitarzy i generałów, a nowi będą robili to samo. Poza tym uważa podobno, iż wielu przekupnych dygnitarzy robi doskonałą skądinąd robotę, a że trochę pieniędzy przylepi się do ich rąk... Cóż to jest w porównaniu do budżetu narodowego? Lub nawet do deficytu budżetowego?

Zresztą nie wszystkie transakcje na pozór łapownicze dokonywane są z „inicjatywy prywatnej” duża część tych łapówek idzie na uzupełnienie budżetu wojska, który nie wystarcza na odpowiednie wyżywienie żołnierzy, nie mówiąc już o uzbrojeniu. Podniesienie pozycji budżetowych na te cele zwiększyłoby deficyt. A demobilizowanie żołnierzy nie jest wskazane ze względów bezpieczeństwa wewnętrznego! ponadto stworzyłoby nowy ośrodek załapny.

A więc — znacznie lepiej jest przemykać oczy.

Nie wszyscy są oczywiście tego zdania. Inną opinię wypowiada wspaniały człowiek i wielki dziennikarz Mochtar Lubis. Krytykuje on bardzo ostro rząd, a raczej jego pół-totalniackie skrzydło, za utrzymywanie tylu sztabów, komend, departamentów armii. Całe miasto usiane jest tymi biurami. „Oczywiście”, twierdzi Lubis, „nikt nie lubi rezygnować z przywilejów. Dlaczego nasi generałowie mieliby być inni? Ale to, opóźnia demokratyzację kraju, bez której żaden istotny postęp gospodarczy nie jest możliwy. Na szczęście jest duża grupa generałów, która zgadza się ze mną”, kończy swe uwagi ten nieuleczalny optymista.

Mochtar Lubis nie dożyłby swych 48 lat, gdyby nie był optymistą.

Wydaje mi się, że jeśli ktoś chciałby znaleźć w naszych cza-

sach ludzi typu renesansowego, musiałby ich szukać w Azji raczej, niż w Europie lub Ameryce.

Weźmy tegoż Lubisa, którego tu właśnie poznałem, ale którego losy śledziłem od lat z wielkim niepokojem i uznaniem.

Mochtar Lubis ukończył 6 klas szkoły powszechnej i 3-letnie kursy handlowe. Reszta jego zdumiewająco wszechstronnego wykształcenia zdobyta została własnym wysiłkiem.

Nieustraszony dziennikarz i działacz niepodległościowy, oblatany po świecie (włada biegle sześcioma obcymi językami), zawsze wykazywał różnorodność zainteresowań. W pewnej chwili był równocześnie redaktorem poważnego dziennika i miesięcznika i wydawcą tygodnika. Jego największym osiągnięciem był dziennik *Indonesia Raya*, na łamach którego walczył przeciwko korupcji i zakusom dyktatorskim Sukarno. Nic dziwnego, że naraził się Prezydentowi i został zamknięty w areszcie domowym w r. 1956.

Wypuszczony pięć lat później wyjeżdża do Tel-Awivu, gdzie na Międzynarodowym Zjeździe prasowym wygłasza mowę, atakując brak wolności w Indonezji. Wbrew ostrzeżeniom przyjaciół wraca do Dżakarty, gdzie ląduje wprost w więzieniu, z którego wydostaje się dopiero w roku 1966. (Podobno na dzień przed wybuchem rewolucji 30 września Lubis oglądał przez okno swej celi bojówkę młodzieży komunistycznej ostrzegając noże, by wymordować grupę więźniów politycznych osadzonych w więzieniu).

Poza dziennikarstwem Lubis oddaje się pisarstwu. Napisał dwie powieści „Droga bez końca”, bardzo subtelny dramat trojga ludzi, zawikłanych w sprawy rewolucji i miłości, i „Zmierzch w Dżakarcie” — powieść o korupcji lat ostatnich. Tę powieść napisał w więzieniu. Poza tym jest on autorem wielu nowel.

W czasie wizyty u Lubisa oglądałem z dużym zainteresowaniem kolekcję obrazów, przez niego malowanych, jak również rzeźb w drzewie, przez niego rzeźbionych.

Po wypuszczeniu z więzienia Lubis wrócił do prasy dziennikarskiej. Redaguje miesięcznik *Horison* oraz wznowił wydawanie swego wielkiego dziennika *Indonesia Raya*.

Co jest bardzo znamienne, to fakt, że maszyny drukarskie zostały ostatnio ufundowane przez zrzeszonych wydawców największych dzienników Azji.

Aby wypełnić resztę czasu (nie licząc spędzanego codziennie na korcie tenisowym), założył Mochtar Lubis firmę doradców ekonomicznych celem przyczynienia się do rozbudowania gospodarki kraju.

Nic też dziwnego, że nie trzeba znać adresu Mochtara Lubisa. Wystarczy szoferowi taksówki podać jego nazwisko.

Moja pierwsza wizyta w Dżakarcie miała miejsce w roku

1941. Przejeżdżałem z Japonii do Australii i spędziłem parę dni w Batawii — ówczesnej stolicy ówczesnych Indii Holenderskich. Było to prześliczne czyste miasteczko. Holendrzy traktowali swych podopiecznych z dobroduszną wyższością i przygotowywali ich do większego udziału w administracji w bardzo powolnym tempie. Mogło to trwać jeszcze całe wieki.

Służący jawajscy, *Jongos*, biegali boso po restauracjach i hotelach. Holendrzy ciągnęli z tych kolonii bajeczne zyski, w zamian za co zapewnili krajowi dobrą i uczciwą administrację na dość prymitywnym szczeblu rozwoju.

Tymczasem wtargnęli Japończycy i fasada holenderskich „nadludzi” rozleciała się zupełnie. Holendrzy kolonialni, płaszcący się przed Japończykami i Holendrzy metropolitalni, stawiający opór Niemcom — to inne narody. Niemniej jednak, w oczach mieszkańców Indii Holenderskich byli to ci sami Holendrzy i stracili zupełnie twarz. Niezależnie więc od celowej polityki Japończyków, którzy zachęcali azjatyckich działaczy do roboty niepodległościowej, dla Holendrów nie było powrotu do władzy. Jest natomiast wiele sposobności dla nich wyżycia się w Indonezji, jako nauczyciele, handlowcy, przemysłowcy, a nawet księża — spotkałem nawet wybitnego Jezuitę holenderskiego, który mieszka w Dżakarcie od lat 35.

Dzisiaj mamy to wszystko poza sobą. Przelano wiele krwi, a miliony Indonezyjczyków żyją może mniej dostatnio i spokojnie, niż za Holendrów. Ale na kelnerów nie woła się *jongos*. I cała służba hotelowa nosi buty.

Ryszard KRYGIER

(c.d.n.)

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Leszek Kołakowski - fenomen polskiego marksizmu

Leszek Kołakowski jest niewątpliwie fenomenem polskiej filozofii powojennej i najbardziej kontrowersyjnym i oryginalnym marksistowskim myślicielem ostatniego dziesięciolecia. Z wykształcenia — filozof analityczny; studiował filozofię nauki u prof. Kotarbińskiej, która jest obecnie kierownikiem katedry logiki na U.W. Z przekonania — marksista i komunista; był przez lata członkiem polskiej partii komunistycznej aż do usunięcia go w roku 1966. Z temperamentu — lub może z wewnętrzznego powołania — mistyk; jego zaangażowanie pismami i przeżyciami mistyków jest wprost obsesyjne. Z powołania społecznego moralista i głos sumienia społecznego; jego moralne rozprawy i protesty społeczne nie tylko wstrząsnęły sumieniem jednostek w połowie lat pięćdziesiątych, ale stanowiły szok dla władz reżymowych. W życiu swoim egzystencjalista — bezustannie zwalczający nędzę ludzkiego istnienia.

Filozofia jego jest pełna paradoksów: był materialistą, rozwijającym etykę materialistyczną pod auspicjami Jezusa Chrystusa; laickim i racjonalistycznym myślicielem, nawiedzanym jak przez widma dylematami mistycyzmu; miłośnikiem doktryn mistycznych, które to rozcinał skalpelem nowoczesnej semantyki.

Podczas jednego z wywiadów z Kołakowskim padło pytanie: jaka jest ulubiona pana książka? Biblia — odrzekł. Odpowiedź niezwykła — jak na gorliwego marksistę. Lecz nie była ona żartem. Biblia jest istotnie jego ulubioną lekturą, ale nie dzięki świętości swej natury. Przeciwnie: dzięki swemu *ludzkiemu* charakterowi — jako księga szaleństw ludzkich, ludzkiej mądrości i ludzkiego cierpienia.

* Esej niniejszy jest fragmentem książki pt. *Polski marksizm* która ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa *Odnova* w Londynie.

Kołąkowski posiada niewątpliwy dar słowa. Znajduje to swój wyraz nie tylko w jego rozprawach filozoficznych, lecz także w jego dramatach i również w opartych o Biblię opowieściach.

Jedną z jego sztuk, zatytułowaną: „Wejście i wyjście” po dwu przedstawieniach w roku 1962 zdjęto z afisza. Chociaż sztuka ta przeszła przez cenzurę, została zakazana na skutek interwencji pewnych wysoko postawionych osobistości partyjnych.

Kołąkowski jest więc umysłem zwróconym ku Biblii, filozofii scholastycznej, mistyce i teatrowi z jednej strony, i materializmowi, marksizmowi, racjonalizmowi i przebudowie społecznej z drugiej strony.

Kołąkowski urodził się w r. 1927 w Radomiu. Studia uniwersyteckie zaczął już po wojnie, otrzymawszy stopień magistra filozofii na podstawie tezy o prawach przyrodniczych. Już w tym czasie był zaangażowany sprawami społecznymi i był członkiem partii komunistycznej. Nie kontynuował dalszych studiów semantycznych i filozofii nauk; przedstawił natomiast w r. 1953 pracę doktorską na temat Spinozy. Dowodził w swej tezie, że Spinoza był materialistą. Jego zaabsorbowanie Spinozą i zatopienie w spinozjańskiej filozofii znalazły wyraz w książce *Jednostka i nieskończoność* ogłoszonej w roku 1959.

Wczesne lata pięćdziesiąte były trudnym okresem dla wszystkich filozofów polskich; były też trudne i dla Kołąkowskiego. Można przypuszczać, że chcąc uniknąć obowiązkowego żargonu i konieczności lżenia filozofów burżuazyjnych, zajął się filozofią średniowieczną, którą wykładał na uniwersytecie warszawskim. Uczęszczałem na jego wykłady z tego przedmiotu. Wszyscy byliśmy zafascynowani tym ascetycznym młodym człowiekiem, wyglądającym jak ksiądz tuż po skończeniu seminarium, który był tak kompetentny w filozofii scholastycznej i tak swobodnie poruszał się wśród najsubtelniejszych odcieni jej rozmaitych doktryn. Olśniewał nas też swoją niezwykłą pamięcią. Kiedyś zaczął wykład o Avicennie, od wymienienia z pamięci wszystkich nazwisk Avicenny, których było około dwunastu.

Kołąkowski nigdy nie traktował filozofii scholastycznej w sposób który był powszechnie przyjęty wówczas w krajach socjalistycznych: wulgarne potępienie bez zrozumienia. Filozofów scholastycznych przedstawiał z pełnym zrozumieniem i z widocznym podziwem dla niezwyklej złożoności i subtelności ich poglądów. Posiadał zdolność analizy najrozmaitszych doktryn w najdrobniejszych szczegółach i umiejętność wykazywania, jak rozmaite wątki i idee rozwijały się w niezależne i oryginalne doktryny pod pokrywą tradycyjnej ortodoksji.

Jego mistrzostwo i wirtuozeria w przedstawianiu twórczej

funkcji egzegezy były wręcz niezwykle. Tu właśnie, przy analizie doktryn filozofów scholastycznych, Kołakowski nabył swej umiejętności w twórczej egzegezie filozofii marksistowskiej. U scholastyków ujrzał przykład, w jaki to sposób idzie się własnymi drogami, w jaki to sposób odstępuje się od uświęconych doktryn i zmienia się je w sposób zasadniczy, a równocześnie sprawia się wrażenie, że się tylko wyklarowuje i wyjaśnia te doktryny, wychodząc przy tym z założenia że każda doktryna może być bardziej wyklarowana.

Jest w zwyczaju traktować egzegezę jako coś trywialnego, jako coś co jest zaprzeczeniem nowości. Musimy zwrócić uwagę jednak że wszystkie najwybitniejsze doktryny filozofii scholastycznej powstawały jako rezultat egzegezy. Zatem egzegeza nie zawsze jest rzeczą trywialną, nie zawsze jest bez znaczenia. Czasem prowadzi do powstawania nowych doktryn. Tak się działo z największymi średniowiecznymi myślicielami i tak też było w wypadku Kołakowskiego. Uderzające jest podobieństwo między rodzajem egzegezy, dokonanym przez wielkich myślicieli średniowiecznych i tą, której dokonał Kołakowski w odniesieniu do filozofii marksistowskiej.

Nieziemska koncepcja człowieka

Kołakowski jest marksistą, a więc dialektycznym materialistą — zatem ateistą. Lecz jego pozbawiony Boga świat jest wyposażony w wartości duchowe; jest przeniknięty czymś, co wykracza poza materię organiczną i nieorganiczną. Wszechświat Kołakowskiego to wszechświat który należy do człowieka. Lecz w koncepcji człowieka u Kołakowskiego jest coś sakralnego. Nie na darmo studiował on Spinozę. Spinozjański panteizm, lub może jest to pan-spiritualizm ogarnia i przenika całkowicie Kołakowskiego koncepcję człowieka. Człowiek jest celem samym w sobie. Nie ma ponad nim innego, wyższego bytu. Lecz z faktu nieistnienia Boga, nie wynika, że człowiek jest tylko robakiem. Człowiek jest Bogiem sam dla siebie. Inaczej mówiąc korzeniem człowieczeństwa jest sam Człowiek.

Natura człowieka jest, a w każdym razie może być boska, pomimo że jest on sam dla siebie punktem wyjścia i celem swych aspiracji. Tu należy szukać źródła i usprawiedliwienia wniosłej etyki Kołakowskiego, opartej na idei imperatywu moralnego, który jest niemal kantowski. I tu jest źródło niereligijnego chrześcijaństwa Kołakowskiego.

Dla większości marksistów człowiek jest zdeterminowany wa-

runkami socjalno-ekonomicznymi w tym samym sensie, w jakim prawa natury determinują zjawiska przyrodnicze. Jeśli więc człowieka determinują warunki socjalno-ekonomiczne, które się historycznie zmieniają, to wydaje się że z tego wynika że nasza etyka powinna być relatywistyczną, historycystyczną i deterministyczną. Tak jednak nie jest w pojęciu Kołakowskiego. Człowiek jest tworem natury, który naturę przekracza. On jest tym, który nadaje znaczenie wszechświatowi i sobie samemu. On jest twórcą swego kodeksu moralnego. Będąc przyczyną sprawczą moralności jest zdolny do zastanawiania się nad swoimi czynami z punktu widzenia moralnego. Jako specjalny twór natury może i musi opierać się pewnym formom determinacji którym nie mogą się oprzeć niższe twory natury. Musi on stawiać opór tym determinantom, które zadają gwałt jemu jako osobie moralnie odpowiedzialnej. Być istotą ludzką, to być odpowiedzialnym moralnie. Być pozbawionym tej odpowiedzialności to znaczy przestać być jednostką ludzką. Takie jest równanie Kołakowskiego. Zacytujemy:

„Nikt nie jest zwolniony z moralnego obowiązku walki przeciwko systemowi rządzenia, doktrynie lub stosunkom społecznym, które uważa za nikczemne i nieludzkie powołując się na to, że uważa je zarazem za historycznie konieczne. Protestujemy przeciwko takiej formie moralnego relatywizmu, w której zakłada się, że kryteria moralnej oceny ludzkich zachowań można wydedukować ze znajomości tajemnic *Weltgeist'u*”.

Jak już była o tym mowa, etyka Kołakowskiego jest z jednej strony antyrelatywistyczna, a z drugiej humanistyczna. Zdaniem Kołakowskiego wszelka doktryna moralna, aby ją można było uważać za humanistyczną, musi wypełniać następujące warunki:

1. Musi uważać człowieka za źródło wartości i norm moralnych.
2. Musi uważać sprawy człowieka za *naczelne* kryterium ocen moralnych.
3. Musi uważać człowieka za właściwy i *naczelny* przedmiot tego postępowania, które daje się w ogóle moralnie ocenić.
4. Musi uznawać, że człowiek jest zdolny do osiągnięcia doskonałości moralnej dzięki własnemu wysiłkowi, lub w każdym razie, że jest zdolny przybliżać się do tej doskonałości.
5. Musi uznawać, że wartości człowieka i ludzka godność mają swe źródło tylko w człowieku.
6. I musi uznawać człowieka za wartość najwyższą, lub też słowami Kanta musi uznać, że człowiek jest dla moralności „celem samym w sobie”².

1. L. Kołakowski, „Odpowiedzialność i historia”, Cz. III, *Nowa Kultura* 36 (1957), str. 4.

2. L. Kołakowski, „Katolicyzm i humanizm” w *Światopoglądzie i Życiu codziennym*, PIW, Warszawa 1957, str. 143 i 144.

Bezreligijne chrześcijaństwo

Kołąkowskiego koncepcja człowieka jest także źródłem jego bezreligijnego chrześcijaństwa. Należy tu wyraźnie podkreślić, że jest to bezreligijne chrześcijaństwo, a *nie* nie-chrześcijańska religia. Ideały Chrystusa muszą być zachowane i praktykowane. Potępiać zaś trzeba nauki Kościoła, jego dogmaty, jego charakter instytucjonalny; wszelka doktrynalna religia musi zatem zostać obalona; ludzkie ideały Chrystusa natomiast winny być zachowane i kultywowane.

Jeśli więc możemy sobie wyobrazić religię, która jest wolna od wszelkiej tradycyjnej treści religijnej, która jest wolna od jej tradycyjnego instytucjonalnego charakteru i co więcej, wolna od Boga — jako stwórcy i motoru kierującego wszechświatem — lecz która zachowuje jednocześnie moralne ideały chrześcijaństwa i szlachetność człowieka, to taką bezreligijną religię można przypisać Kołąkowskiemu.

Człowiek jest mistrzem dla siebie samego, lecz nie może on żyć bez innych ludzi. Nasz świat jest światem ludzkim i — niczym więcej jak tylko ludzkim. Aby mógł być w dalszym ciągu światem *ludzkim*, nie wolno nam odrzucać dziedzictwa duchowego, stworzonego przez wielkość umysłu ludzkiego i ludzkiego ducha. Dlatego też uznanie wielkich duchowych przywódców nie jest poddaniem się ponadludzkim mocom, które są poza nami, ale jest potwierdzeniem mocy człowieka i jego wielkości.

Z tego też powodu Kołąkowski będąc sam marksistą, miał tak wielki respekt i uznanie dla proroków i mistyków; dla Chrystusa w szczególności. W pojęciu Kołąkowskiego Chrystus nie jest wcieleniem instytucji i nauk Kościoła, ale symboliczną postacią ludzką, która potrafiła się wznieść ponad konieczności i przymusy wyznaczników materialnych, ponad kanony ustalonego ładu i ponad codzienną rzeczywistość.

„... wcielił on bowiem w osobowości własnej zdolność do wypowiadania pełnym głosem swojej prawdy, zdolność do tego, by bronić jej do końca i bez wykrętów, zdolność do oporu ostatecznego przeciw presji stabilnej rzeczywistości, która go nie przyjmuje. Uczył, w jaki sposób, nie uciekając się do gwałtu, można stawiać czoło sobie i światu. Był tedy wzorem owego autentyzmu radykalnego, w którym dopiero każdy osobnik ludzki może własnym wartościom prawdziwie nadawać życie³”.

Usunąć Jezusa z naszej kultury ponieważ nie wierzymy w Boga, w którego on wierzył — mówi Kołąkowski — jest rzeczą

3. L. Kołąkowski, „Jezus Chrystus — Prorok i Reformator”, *Argumenty*, Grudzień 1965.

„śmieszną i bezowocną”. Takie stanowisko mogą żywić ludzie nieoświeceni, którzy wyobrażają sobie, iż prymitywnie sformułowany ateizm może wystarczyć jako światopogląd i stanowić namiastkę tej duchowej i kulturalnej tradycji, bez której bylibyśmy wszyscy bliscy stanu zwierzęcego. Chrystus nie może być wyeliminowany z naszej kultury — jeśli ta kultura ma trwać, istnieć i rozwijać się — ponieważ „nie był on tylko nauczycielem dogmatów, lecz wzorem najświetniejszych wartości ludzkich”. A zaprzeczenie tego, o co walczył byłoby „gruntownym zerwaniem z ciągłością duchowego życia”.

Czy ktokolwiek kiedykolwiek słyszał taką opinię ze strony marksisty? Zaprawdę — iluż filozofów dwudziestego wieku odważyłoby się na sformułowanie etyki świeckiej z wyraźnym odniesieniem do ideałów Chrystusowych?

Egzystencjalista

Dla wielu egzystencjalizm jest artystyczną manierą, ucieczką od przesyconych zmysłów albo przesubtelnionego umysłu. Dla Kołakowskiego egzystencjalizm był doświadczeniem: bolesną a życiową rzeczywistością. Przez większą część swego życia podlegał on cierpieniom fizycznym. Dotknięty był poważnym schorzeniem kręgosłupa, co zmuszało go do spędzenia długich okresów przykucia do łóżka. W dodatku była też gruźlica która odnawiała się periodycznie. Kołakowski więc, w znaczeniu jak najbardziej dosłownym doznawał bólu istnienia. I doznania te były głębsze, bardziej wstrząsające aniżeli dla większości jemu współczesnych. Dla Pascala, z którym Kołakowskiego łączą liczne podobieństwa, pojęcie kruchości człowieka było pierwszym stopniem w kierunku uznania wielkości Boga. Dla Kołakowskiego kruchość człowieka jest jeszcze jednym dowodem ludzkiej wielkości. Pomimo, że podlega wszelkiego rodzaju ułomnościom człowiek potrafi przezwyciężyć udręki i cierpienia i przez nie przebrnąć niezłamany; na odwrót, duchowo jeszcze silniejszy. Jeszcze jedno porównanie z Pascalem. Kiedy to autor „*Myśli*” używał swych potężnych zasobów intelektualnych w celu zbliżenia człowieka do Boga, Kołakowski użył swego potężnego arsenału intelektualnego w celu odzielenia człowieka od Boga i od wszelkiej tradycyjnej religii.

Ale egzystencjalna sytuacja Kołakowskiego nie ograniczyła się do jego cierpień duchowych z powodu cierpień cielesnych. Jego przeżycia moralne były równie wielkie jak jego cielesne schorze-

nia. Objąć pełnię egzystencjalnej sytuacji czyjegoś życia znaczy to wziąć pod uwagę całość jego doznań i przeżyć. Kołakowski żył w Polsce podczas okupacji niemieckiej, potem zaś był członkiem partii komunistycznej za stalinizmu i w okresie postalinowskim.

Na Zachodzie ludzie na ogół wiedzą, że Polska była cmentarzyskiem czterech milionów Żydów, wytępionych przez Niemców. Zazwyczaj jednak nie zdają sobie sprawy z tego, jakim to przeżycie musiało być dla tych, którzy byli świadkami tej eksterminacji i oczekiwali z kolei tego samego losu dla siebie. Polacy bowiem nie wątpili ani na chwilę, że po wytępieniu Żydów oni pójdą do komór gazowych. I ludzie na Zachodzie również nie zdają sobie sprawy, iż była też w Polsce częściowa eksterminacja Polaków, co oznacza że zginęło w czasie wojny sześć milionów Polaków, nie wszyscy w komorach gazowych, lecz w rozmaity inny sposób. Statystyka jest prosta: na każdą dziesiątkę Żydów, piętnaścioro Polaków zostało podczas wojny startych z powierzchni ziemi. To zaś musiało wryć się głęboko w przeżycia tych, którzy zdołali przetrwać. I tak też było z Kołakowskim.

Jednakże nie koniec na tym. Zostawszy członkiem partii komunistycznej, Kołakowski publicznie zaangażował się w jej credo. Nie było to jednak zaangażowanie się w doktrynę polityczną, ani w system ideologiczny, lecz raczej opowiedzenie się za idealnym społeczeństwem ludzkim, w którym niesprawiedliwość zostaje zniesiona, a w każdym razie znacznie zmniejszona, i w którym jednostka cieszy się pełnym zakresem ludzkiej wolności. Kiedy jednak przyszły ponure lata ery stalinowskiej Kołakowski musiał doznać moralnego wstrząsu. Sprzeczność pomiędzy jego koncepcją marksizmu, a tym, jaki był oficjalnie utrzymywany — była olbrzymia.

Tak więc egzystencjalizm Kołakowskiego, jeśli już ktoś upiera się by przyczepić mu tę nalepkę, nie był wynikiem przekonania teoretycznego, nabytego na drodze intelektualnej, ale wynikiem całości przeżycia, szczególnie zaś wstrząsającego przeżycia losu ludzkiego w świecie, w którym ideały trzaskają jak zapalki i w którym człowiek jest tylko trzciną. Pascal powiedział: „trzciną myślącą”; Kołakowski mógłby rzec: „trzciną moralną i cierpiącą”.

Wychowanie polskiej filozofii analitycznej

Po tym wszystkim co się powiedziało nie należy jednak zapominać, że Kołakowski wyszedł z polskiej szkoły filozofii anali-

tycznej. Swoją tezę magisterską napisał z zakresu filozofii nauki. Kotarbiński wywarł na nim niezatarty wpływ intelektualny i moralny. Kotarbińskiego etyka laicka zwana „etyką niezależną” stała się inspiracją dla Kołakowskiego koncepcji etyki humanistycznej.

Trzeba jednak przy tym zaznaczyć, że Kołakowski nigdy nie był logikiem ani nie uprawiał analiz semantycznych jako cel sam w sobie. Nabył on jednak umiejętności analitycznych, wykształcił swój zmysł logiczny i opanował arkana współczesnej semantyki. Jego esej „Karol Marks i klasyczna definicja Prawdy” (1959) jest hołdem złożonym tradycji, która go wydała; tradycji, gdzie problem prawdy był dyskutowany i analizowany od dziesięcioleci. Jest w tym szkicu coś więcej niż tylko opinie Kołakowskiego o prawdzie. Zawiera on podstawy całej epistemologii (teorii poznania) Kołakowskiego. Pomówimy o tym krótko w następnej części.

Innym przykładem bardziej technicznych dzieł Kołakowskiego jest jego „*Filozofia pozytywistyczna*”. Jest to faktycznie krytyczna historia wszystkich ruchów pozytywistycznych. Jej tytuł w języku angielskim „*The alienation of Reason*” jest nieco bombastyczny i nieco mylący. Mówimy „nieco mylący”, gdyż ten tytuł nie jest zupełną fantazją tłumacza. W jakiś sposób wyraża osobiste intencje Kołakowskiego. Albowiem studium to jest generalnym rozrachunkiem z pozytywistyczną filozofią, z jej wszelkimi ograniczeniami i uproszczeniami. Główna teza Kołakowskiego jest chyba ta, że rozum, doprowadzony do swych granic, wyobcowuje się z procesu autentycznego rozumienia i kończy na schematach interpretacyjnych, które ubożą zjawiska, ubożą świat, który jest podmiotem tego poznania, a w ostatecznej konsekwencji ubożą i nasze życia.

W „*Świadomości religijnej i więzi kościelnej*” (1965) ta sama postawa poznawcza tzn. wyraźne uznanie wartości filozofii logicznej, nastawionej, uznanie wartości jasnego i precyzyjnego myślenia z jednej strony, i odrzucenie skrajności i wypaczeń logicznego pozytywizmu z drugiej strony — występują z całą mocą.

Kołakowski zaczyna od skrupulatnej analizy rozmaitych definicji terminu „mistycyzm”; wykazuje ich braki, a następnie z wielką pieczołowitością daje własną definicję. Kołakowski nie uznaje twierdzenia, iż nie można analizować mistyki nie będąc mistykiem. Powszechnie ludzie religijni dowodzą, że mówić o mistyce jeśli się samemu nie doznało przeżyć mistycznych, to prawie tak samo, jak gdyby głuchy człowiek chciał być krytykiem muzycznym. Wszystkie zastrzeżenia, które w ogólnej formie można wyrazić zdaniem, iż „nie potrafi zrozumieć chrześcijaństwa, kto

nie jest chrześcijaninem”, Kołakowski uważa za nieuzasadnione i odpowiada na nie w sposób następujący:

„W tej zaś sprawie stoję na stanowisku tradycyjnie pozytywistycznym: myśli się przy pomocy słów (co nie oznacza, że wszystkie czynności psychiczne są myśleniem; wydaje się po prostu, że najużyteczniejsza definicja myśli zakłada właśnie, iż jest to przeżycie dające się adekwatnie sformułować w języku). Tym samym zakłada się, że nie ma takiej sytuacji (pomijając zaburzenia mowy), by ktoś myślał coś, a nie umiał tego wypowiedzieć, lub miał myśli jasne, a mógł wyrażać się tylko ciemno, lub też wiedział coś, a nie potrafił tego sformułować. Jeśli ktoś nie potrafi sformułować czegoś, to znaczy, że nie wie; jeśli wyraża się mętnie, znaczy to, że myśli ma mętne; jeśli nie znajduje słów, by się wypowiedzieć, to znaczy, że nie myśli w ogóle⁴”.

Takie słowa mogłyby wyjść od każdego filozofa analitycznego, nawet od samego J. L. Austina.

Lecz ta nieugiętość Kołakowskiego nie oznacza przyjęcia wszystkich kryteriów znaczeniowych, jakie zaleca logiczny empiryzm. W tej samej książce, w odniesieniu do doktryn, które poddawał badaniu na przestrzeni swego traktatu, liczącego niemal 600 stron, Kołakowski mówi:

„Mówiąc o „sense” — wypada to na zakończenie powtórzyć — nie mam na myśli tej sensowności, którą przypisuje się zdaniom naukowym i której kryteria od wielu lat próbuje sformułować filozofia pozytywistyczna. Jest jasne, że doktryny przez nas badane nie spełniają takich kryteriów — chyba że kryteria te pojąć tak luźno i „liberalnie”, jak Wittgenstein to uczynił, kiedy faktycznie zgodził się uznać sensowność wyrażań, których używanie ma w ogóle reguły określone⁵”.

Jakie więc jest dla Kołakowskiego pojęcie sensu?

„Mamy na myśli sensowność tak pojętą, iż można w tym rozumieniu mówić również dobrze o sensie rozkojarzonego bełkotu schizofrenika, uchwytnym dla psychiatry, o sensie marzeń sennych, o sensie sztuki i o sensie zachowania czyjegoś⁶”.

Następnie mamy w zarysie przedstawioną całą koncepcję Kołakowskiego humanistyki i filozofii. W tej koncepcji odnajdujemy echa strukturalizmu à la Levi-Strauss, marksizmu Sartre’owskiego, a także wyraźne zaprzeczenie podstawowej tezy marksizmu (że chcąc zrozumieć fakty ludzkie, trzeba je sprowadzić do warunków, które je spowodowały). Jednak choć składniki różnych doktryn

4. L. Kołakowski, *Świadomość religijna i więź kościelna*, Warszawa 1965, str. 34.

5. *Ibid.*, str. 560.

6. *Ibid.*, str. 560.

można u Kołakowskiego wyróżnić, jego doktryna nie jest jakąś eklektyczną mieszaniną, ale jego tworem własnym, oryginalnym. A oto mamy krótki, zwarty opis tej doktryny:

„Zdania i doktryny są dla nas faktami ludzkimi. Fakty ludzkie są lub mogą być sensowne — a stają się takimi dla nas nie wtedy, gdy potrafimy je w maksymalnym stopniu zredukować do warunków, w których powstają, ale gdy potrafimy uczynić z nich składnik siości ludzkiej, to znaczy celowej — choćby nieświadomie celowej — struktury, kiedy więc możemy je włączyć w obszar realizującego się projektu. Od chwili, gdy pojawiła się w wiedzy humanistycznej kategoria sensowności tak rozumianej, wiedza ta nie tylko rozszerzyła zakres swoich dociekań możliwych, ale rozszerzyła niezmiernie amplitudę możliwych interpretacji równoprawnych tego samego faktu, a to legalizując niejako nieograniczoną prawie wielość struktur, w jakich ten sam fakt może być osadzony⁷”.

„Nie należy więc mówić” — argumentuje Kołakowski w końcowych zdaniach swego traktatu — „że filozofia albo zgoła cała humanistyka rozumiejąca jest w obliczu nauki sitem z plewami; jeśli jest nim istotnie”, powiada dalej, „to tylko w sensie, o którym mówił prorok Ezechieli, kiedy ostrzegał tych, co gliną bez plew lepią ściany domu, a ściany walą się przy pierwszym deszczu⁸”.

Epistemologia antropocentryczna

Dla Marksa i dla Kołakowskiego człowiek to przede wszystkim *homo faber*. Praca utworzyła rodzaj ludzki. Człowiek poznając, to tylko część człowieka całkowitego. Nie możemy zrozumieć tej części właściwie, dopóki nie zrozumiemy roli ludzkiej *praxis*. Wszystkie nasze systemy poznawcze i kategorie są zakorzenione w *praxis*. I nigdy nie możemy przekroczyć granic *praxis*. W ten sposób termin „praca” przestaje być kategorią fizyczną czy ekonomiczną. I zamiast tego staje się kategorią epistemologiczną.

Myślenie całkowicie oderwane od ludzkiej *praxis*, to pojęcie czysto scholastyczne; „oddzielona od człowieka materia jest dla niego niczym⁹”. Nie ma i nie może być „rzeczy-samych-w-sobie”. Są tylko „rzeczy-dla-nas”. Doniosłość naszych rezultatów poznawczych jest zdeterminowana poprzez fakt, że są one wkorzenione w *praxis*, albo do niej się odnoszą. Zwrot „rzeczy-same-w-sobie”,

7. *Ibid.*, str. 560.

8. *Ibid.*, str. 561.

9. L. Kołakowski, „Karol Marks i klasyczna definicja prawdy” w *Kultura i fetysze*, Warszawa 1967, str. 56.

jeśli ma on oznaczać rzeczy całkowicie poza światem człowieka, to pytanie czy istnieje nicość, to zwrot źle zbudowany, bezsensowny¹⁰.

Wszelkie poznanie jest uwarunkowane genetycznie i historycznie. Ludzka historia jest barierą nieprzekraczalną w naszym rozumieniu kultury. Stąd wynika, że wszelka ocena wyłącznie z przypisywaniem wartości prawdy czemukolwiek, jest „oceną historycznie uwięzioną”.

Innymi słowy, zdaniem Kołakowskiego żadne ludzkie poznanie nie może być absolutne. Jako motto swej książki „Kultura i fetysze”, 1967, Kołakowski cytuje aforyzm: „Godzi się, by śmiertelny śmiertelne, nie zaś nieśmiertelne myśli rodzić”. Tak więc z jednej strony ludzkie poznanie nie jest absolutne. Jednak z drugiej strony, nie jest ono wytworem czystej fantazji, nie jest relatywistyczne w klasycznym sensie słowa „relatywizm” tak iż można przyjąć jakieś twierdzenie za prawdziwe przy jednej sposobności, a fałszywe przy innej. Pomiedzy tymi dwoma biegunami, relatywizmem a absolutyzmem, można umiejscowić pojęcie prawdy u Kołakowskiego; pojęcie, którego głównymi współzrędnymi są: ludzka historia i ludzka *praxis*.

Ważność poszczególnych wypowiedzi i twierdzeń jest zdeterminowana strukturą, do jakiej należą. Struktury zmieniają się historycznie i wskutek tego ten sam fakt, sytuowany w rozmaitych strukturach, staje się różnym faktem. To samo dotyczy twierdzeń. Twierdzenie *p* może należeć do różnych struktur i wtedy jego znaczenie, a w następstwie i ważność może się różnić w zależności od struktury. Czy to wskazuje, że to samo twierdzenie zmienia swoją wartość logiczną, z prawdy staje się fałszem lub odwrotnie? Nie. Dlaczego? Dlatego, że w strukturze *S*₁ mamy do czynienia z twierdzeniem *p*₁, podczas, gdy w strukturze *S*₂ mamy do czynienia z twierdzeniem *p*₂. Identyczność kształtu dwu wyrażeń nie jest gwarancją identyczności ich znaczenia, a co dopiero ich ważności (prawdy lub fałszu). W obrębie dwu różnych struktur to „samo” twierdzenie (*p*) może spełniać całkowicie odmienną rolę. Jednakże w obrębie danej struktury twierdzenie *p* jest albo ważne i pozostaje ważne tak długo, jak długo dana struktura trwa, albo też jest nieważne i pozostaje nieważne tak długo, jak długo ta struktura się utrzymuje.

Żeby powtórzyć: Zdaniem Kołakowskiego treści naszej wiedzy o świecie nie możemy nigdy uwolnić od genetycznego związku z sytuacjami, które ją wywołały; sytuacje te zostały historycznie zdeterminowane. W konsekwencji rozum nie może wyjść poza ramy sytuacji wyznaczonych współzrędnymi ludzkiego rozwoju;

10. *Ibid.*, str. 58.

nie może przybrać innych współrzędnych. Ta radykalnie historycznie interpretacja ludzkiego poznania, którą Kołakowski czasem nazywa „monizmem antropologicznym”, lub „monizmem antropocentrycznym”, uznaje zasadniczą śmiertelność rozumu i wszystkich jego wytworów¹¹.

Negacja absolutu nie ogranicza się tylko do ludzkiego poznania. Obejmuje również wszystkie dziedziny ludzkiego doznawania i przeżycia. Tęsknota do absolutu i walka przeciw jego panowaniu oto przeciwległe sobie bieguny, które formują kształt życia ludzkiego.

„Antagonizm między filozofią utrwalającą absolut i filozofią kwestionującą absoluty uznane wydaje się antagonizmem nieuleczalnym, jak nieuleczalne jest istnienie konserwatyzmu i radykalizmu we wszystkich dziedzinach ludzkiego życia. Jest to antagonizm kapłanów i błaznów, a w każdej niemal epoce historycznej filozofia kapłanów i filozofia błaznów są dwiema najogólniejszymi formami kultury umysłowej. Kapłan jest strażnikiem absolutu i tym, który utrzymuje kult dla ostateczności i oczywistości uznanych i zawartych w tradycji. Błazen jest tym, który wprawdzie obraca się w dobrym towarzystwie, ale nie należy do niego i mówi mu impertynencje; tym, który podaje w wątpliwość wszystko to, co uchodzi za oczywiste; nie mógłby tego czynić, gdyby sam do dobrego towarzystwa należał — wtedy najwyżej mógłby być gorszyicielem salonowym: błazen musi być na zewnątrz dobrego towarzystwa, oglądać je z boku, aby wykryć nie-oczywistość jego oczywistości i nie-ostateczność jego ostateczności; zarazem musi w dobrym towarzystwie się obracać, aby znać jego świętości i aby mieć okazję do mówienia mu impertynencji. ... Opowiadamy się za filozofią błazna, a więc za postawą negatywnej czujności wobec absolutu jakiegokolwiek¹²”...

Postawa błazna którą Kołakowski często przybierał była dla niego z jednej strony genialnym pancerzem przeciwko pociskom „praworządnych”, a z drugiej strony była wyraźnym obiektem dla tych pocisków.

Marksistowska wizja, która wykracza poza Marksa

Z powodu wszechstronności Kołakowskiego i jego skłonności do zajmowania pozornie niezgodnych ze sobą stanowisk, a zwłaszcza z powodu jego oryginalności, niektórzy utrzymują, że w rzeczywistości nie jest on marksistą. Lecz ci, którzy tak twierdzą, są w błędzie. Marksizm Kołakowskiego nie jest ani fałszy-

11. *Kultura i fetysze*, str. 6.

12. L. Kołakowski, „Kapłan i błazen. Rozważania o teologicznym dziedzictwie współczesnego myślenia”. *Twórczość* nr 10, październik 1959, str. 82 i 84.

wym pozorem ani oportunistyczną uległością: opiera się na głębokim przekonaniu co do istoty świata i istoty człowieka. Jego przekonania są chyba tak głębokie, jak i Marksa. Może w pewnym sensie głębsze. Głębsze, gdyż w Kołakowskim jest coś z wizjonera i mistyka, co sprawia, że jego przekonania i twierdzenia są tym bardziej zniewalające. Dlatego można powiedzieć iż *w Kołakowskim jesteśmy świadkami wizji marksistowskiej, która wykracza poza Marksa*. Idzie poza Marksa, gdyż została wzbogacona przeżyciem i wiedzą, jakie się nagromadziły od czasu Marksa. I oto dlatego tak wielu marksistów uwarunkowanych ramami tradycyjnego marksizmu nie może zrozumieć ani przyjąć poglądów Kołakowskiego.

Trzeba tu zrobić pewną uwagę ogólną. Nie powinniśmy zakładać z góry (jak to się często czyni na Zachodzie), że ktokolwiek jest marksistą, jest nietwórczy, a kto jest twórczy jest nie-marksistą, gdyż takie rozumowanie to kiepska logika. Przy pomocy logiki tego samego rzędu nazistowscy Niemcy zdecydowali, że Fryderyk Chopin był Niemcem. Dlaczego? Ponieważ Chopin był geniuszem, a z założenia każdy geniusz jest Niemcem, *ergo* Chopin był Niemcem.

Kołakowskiego nazywa się czasem rewizjonistą marksistowskiej filozofii — rewizjonistą *par excellence*. Ta nalepka, właściwie mówiąc nie oddaje mu sprawiedliwości. Jest czymś, zgoła niewłaściwym myśleć o filozofach w terminach „rewizjoniści” lub „dogmatyści”. Rewizjonizm jest określeniem właściwym przy badaniu ideologii i doktryn religijnych, ujmowanych jako systemy niekrytycznych wierzeń, nie zaś do badania filozofii, czyli teorii opartych na rozumie i uzasadnianych racjonalnie. Filozof, godny tego miana, już z samej definicji musi kwestionować i dokonywać rewizji doktryn poprzednich myślicieli. Toteż, jeśli jest rzeczywiście umysłem twórczym, jeśli jest naprawdę filozofem, to zawsze jest „rewizjonistą”. Jeżeli więc tak jest, zatem określenie „filozof-rewizjonista” jest tautologią.

Nie ulega wątpliwości, że Kołakowski to najprzenikliwszy krytyk marksizmu od wewnątrz, żeby tak powiedzieć. Jednakże ważną rzeczą jest mieć na uwadze fakt, że jest on myślicielem konstruktywnym. Jego krytyka marksizmu nie jest tylko krytyką dla samej krytyki; destrukcyjność nigdy nie jest jej celem, lecz jest zawsze pomyślana jako droga do jego własnych rozwiązań konstruktywnych. A zatem filozofia Kołakowskiego jest z istoty poszerzeniem, wysubtelnianiem i rozwojem marksizmu raczej, niż tylko jego krytyką.

Lecz tu nadziewamy się na problem. Mianowicie do jakiego stopnia jakiś myśliciel może sobie pozwalać na oryginalność i niezależność, aby być wciąż identyfikowany ze szkołą myślenia, któ-

ra go wydała? Ażebym ująć sprawę jeszcze drastyczniej: Do jakiego stopnia może marksizm być „rozwijany” twórczo i wciąż pozostawać marksizmem? W wypadku Kołakowskiego mamy do czynienia nie tylko z rozwinieciem i wysubtelnieniem pewnych doktryn w obrębie przyjętego systemu koncepcyjnego, ale w grę wchodzi już sam system koncepcyjny. Co najbardziej niepokoiło i alarmowało prawowiernych marksistów to Kołakowskiego interpretacje, które podważają cały system koncepcyjny marksizmu.

Wyłania się więc pytanie o kapitalnym znaczeniu: jaką część systemu można zastąpić, jakie jego cechy można zmodyfikować, jakie kanony można zanegować i wciąż pozostawać w obrębie systemu marksistowskiego? A dalej — jakiego rodzaju kryteriów mamy użyć, by odpowiedzieć na powyższe pytania? Czy kryteria te winny być zaczerpnięte z systemu prawowiernego marksizmu, czy też wzięte spoza niego? Jakkolwiek wypadną odpowiedzi na te pytania jest rzeczą oczywistą, że problem oceny różnych wersji marksizmu jest zupełnie zasadniczy dla całej ewolucji filozofii marksistowskiej jak i dla jej analizy.

Powstaje pytanie czy w wypadku Kołakowskiego jego „nieziemską” koncepcja człowieka, autonomia w jaką wyposaża jednostkę nie jest taką modyfikacją marksizmu (pomimo obfitych cytatów, jakie Kołakowski przytacza z Marksa iż tak nie jest), że ramy marksizmu jako filozofii socjalnych i ekonomicznych determinant zostają podważone i rozprzęgnięte.

W konkluzji, jeśli chcemy ująć Kołakowskiego w pojęciach tradycyjnych kategorii, powinniśmy nazwać go kantowskim, egzystencjalnym, humanistycznym, analitycznym, spirytualnym MARKSISTĄ. Te cechy zazwyczaj wykluczają się wzajemnie. U Kołakowskiego natomiast należą one do jednej *struktury*. Jak dotąd, nie umiemy tej struktury nazwać. Być jednak może, że przyjdzie czas, gdy ta struktura otrzyma swoją nazwę.

Obecnie musimy przestać na stwierdzeniu, że Kołakowski to przede wszystkim wielki, racjonalny moralista XX stulecia. Ważną jest rzeczą podkreślić, iż jest on *racjonalnym* moralistą *dwudziestego* wieku. To bowiem znaczy, iż jest moralistą, którego przeżycie wciela: intelektualny czyściec logiczno-semantyczny XX-wiecznej filozofii analitycznej, wstrząs i następstwa rewolucji sowieckiej, tragedię i zmorę niemieckich obozów śmierci, rezygnację i poddanie się sytuacji egzystencjalnej, a równocześnie którego przeżycie i doznanie wykracza poza to wszystko.

Henryk SKOLIMOWSKI

Western

Jeszcze nie wiem, czym to się wszystko skończy. Może wybiegnę nago na ulicę i będę wrzeszczeć aż do zachrypnięcia. A może na największym placu Europy obleję się benzyną i zamienię się w pochodnię. A może kogoś zaduszę. Coś zrobić trzeba. Wszystko musi się spełnić do końca. Najbardziej kusi, żeby dać komuś po prostu w mordę. Wiem nawet komu. Żałuję, że w młodości zaniedbałem ćwiczeń fizycznych, wyrosłem na cherlaka z chudymi i wiotkimi ramionami. Niestety, niestety, mowy nie ma, żebym mógł komuś rozkwasić gębę. Najwyżej we śnie. O Boże, co się ze mną dzieje! We śnie biję, kopię, opluwam, krzyczę. Budzę się z tym krzykiem, mokry od potu, a moja czujna żona nie otwierając oczu mówi: „Dominiku, boję się o twoje płuca”. Ostatnio kładę na nocnym stoliku Ewangelię otwartą na stronie, gdzie powiedziano: „Miłujcie nieprzyjaciół wasze” — ale niewiele mi to grzesznemu pomaga, kiepski ze mnie chrześcijanin, coraz gorszy.

Kiedy na zebraniu trzeba było podnieść rękę, ja przeglądałem *Express Wieczorny*. Większość obecnych robiła to samo i to mnie zmyliło, bo kiedy trzeba było mieć ręce opuszczone, ja podniosłem swoją. Było nas sześcioro, tych z podniesionymi w niewłaściwym momencie rękami. Pozostali wciąż byli zagłębieni w *Expressie Wieczornym*. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak w maleńkiej gazetce znajdowali tyle zajmującej lektury. Raptem całego czytania jest na dziesięć minut, a nasze zebranie trwało ponad dwie godziny.

— Czyś pan zwariował? — wybuchnął nazajutrz dyrektor. — Po diabła pan w ogóle polazł na to zebranie? Nie zgadza się pan ze słuszną linią, no to nie, siedź pan w domu i nie dawaj

wyrazu. A jeśli już pan tam jest, to reprezentuje pan szkołę, jej tradycje, jej dobre imię...

— Właśnie tak sobie pomyślałem — powiedziałem niewinnie.

— Dobre imię szkoły polega na tym, żeby go nie szargać! Rozumie pan? Żeby nam tu nikt nie wtykał nosa! A pan... — Dyrektor podszedł do drzwi, uchylił je i krzyknął: — Nie ma mnie dla nikogo! — Potem przez chwilę milczał. — Pan jest zagrożony — powiedział sapiąc. — I ja w niczym nie mogę panu pomóc.

— Dziękuję panu dyrektorowi, ale ja naprawdę nie wymagam.

— Wie pan, kto by mógł panu pomóc? Dłubak. Idź pan do niego, padnij mu pan do kolan, powiedz pan, że podniósł pan rękę przez gapiostwo — zrób pan coś! działaj pan!

— Dziękuję, panie dyrektorze — powiedziałem — nie zrobię tego.

Spostrzegłem, że stary, skołowacony dyrektor patrzy na mnie jak na gościa z innej planety. Zresztą, on nie tylko mnie nie rozumie, on w ogóle nie rozumie, co się wokół niego dzieje — dom wariatów, za którym nie może nadążyć — nie rozumie ani nas, którzy się z tym nie zgadzamy, ani tamtych — rozumie tylko, że należy być pozytywnym, że należy stosować się do uchwał, okólników i zarządzeń. Ukształtował się po pierwszej wojnie, był zamiłowanym społecznikiem, pracował w innym języku, tego współczesnego w ogóle nie rozumie. Jest poczciwy, pełen dobrej woli, ugodowości, czuje się niepełnowartościowy i usiłuje to pokryć gadulstwem, które jego niezręczność i anachroniczność tylko wydobywa. Kopałem go kiedyś pod stołem, kiedy na radzie pedagogicznej mówił o kraju który ostatnio znalazł się w naszej prasie w charakterze worka treningowego. „Bo też, proszę koleżanek i kolegów — bełkotał — czy to nasza wina, że wykazaliśmy taki brak orientacji? To wina prasy. Wszyscy wiedzieli, że oni z pustyni zrobili kwitnący kraj, i że ludzie dzielni, szlachetni, cywilizowani, że budują porty i kolonie, że czytają i myślą po polsku, że uratowani z zagłady i nagle — z dnia na dzień — agresorzy, okupanci, zbrodniarze. Trochę nas to zastało nieprzygotowanych i temu to, proszę państwa, a nie jakimś antypaństwowym uczuciom, temu to należy przypisać nasze zdziwienie. Skąd człowiek w ogóle mógł przypuszczać, że to dla nas takie ważne, to, co się dzieje gdzieś nad Jordanem, przecież to ostatecznie nie nasze sprawy i żadne niebezpieczeństwo nam z tamtej strony nie zagraża. Ale teraz, skoro najwyższy czynnik w państwie wyjaśnił, o co chodzi — zaskoczył nas trochę, trzeba przyznać...” Mówił tak z pół godziny i przez ten czas zdążył obsypać Trędowatych tyloma komplementami, że Dłubak nie był w stanie ich zapamiętać.

Dłubak to przezwisko nauczyciela gimnastyki, poza tym, pracownika wiadomego urzędu. Wszyscy go tak nazywają. Nie pochwalam tego sposobu wyrażania dezaprobaty, ale przezwisko się przyjęło i posługują się nim nawet przełożeni mojego szanownego kolegi z tamtego ministerstwa.

— Mam się spodziewać przeniesienia? — spytałem.

— Może się jeszcze da coś zrobić — odparł stary nie patrząc mi w oczy. — Gdyby pan doktor napisał oświadczenie, że w rzeczywistości popiera... Warto, panie doktorze...

— Nie zrobię tego — powiedziałem stanowczo.

— Dlaczego nie? Parę słów.

— Nie wiem sam. Ale nie zrobię.

— To może pana drogo kosztować i trzeba zapobiec...

— Trudno. Gotów jestem ponieść konsekwencje.

— Nie boi się pan?

— Nie — oświadczyłem i poczułem, że jestem bliski szczęścia. Wydawało mi się, że moja biedna wąska klatka piersiowa wzdyka się i rozrasta. — Nie boję się.

Dyrektor przez chwilę milczał. Potem otworzył szufladę i wyjął z niej kartkę papieru w jedną linię. Drukowanymi i koślawymi zarazem literami nagryzmołono na niej zdanie, wyrażające na coś tam niezgodę.

— Co pan o tym sądzi? — spytał dyrektor.

— Znowu ktoś się męczył lewą ręką — stwierdziłem. — Nie myśli pan dyrektor, że to sprawka ucznia?

— Znalezione to w ubikacji nauczycielskiej — odpowiedział przyglądając się kartce.

— Wyhodowaliśmy żmiję na własnym łonie — podszeptałem.

— Tego nie powiedziałem — zachnął się stary. — Ktoś jest dziecinny i nieostrożny. — Po chwili dodał nie patrząc na mnie: — Do matury zostaje sześć tygodni... Niech pan oszczędza nas i siebie...

Pomilczałem chwilę — żeby nie od razu zaprzeczyć, znowu czułem jak wzbiera fala szczęścia — a potem oświadczyłem:

— To nie ja, panie dyrektorze.

Dyrektor nie odpowiedział i możliwe, że wcale mi nie uwierzył. Spostrzegł, że przestępuję z nogi na nogę, bo mruknął:

— No to niech pan już idzie.

Poszedłem do ubikacji. Posiedziałem tam kilka minut, a kiedy wychodziłem, spojrzałem na napis wyskrobany nad rolką papieru higienicznego, były to trzy litery i wykrzyknik, spojrzałem i pomyślałem z satysfakcją: a więc On działa!

Ten ktoś był nieustraszony, konsekwentny i nieuchwytny. Uprawiał swoją kłopotliwą działalność od pół roku, a więc zaczął

zanim tamci przystąpili do szturm, śmiało można powiedzieć, że on zaczął pierwszy. Buntownicy zawsze zaczynają pierwsi! Najpierw jest bunt, a potem dopiero represja.

Jego obecność ujawniła się po raz pierwszy na jakiejś konferencji, na której Dłubak referował sprawy międzynarodowe. Zanudzał ze trzy kwadranse, potem nastąpiła przerwa na papierosa, a kiedy wróciliśmy do sali, Dłubak znalazł na stole prezydyalnym, naprzeciw swojego krzesła, kartkę z napisem BZDURY. Tylko tyle. Widziałem jak odczytując napis poczerwieniał. Powiódł szybkim, tchórzliwym spojrzeniem po sali i zmiął kartkę. Głos zabrała łacinistka. Mówiła z kwadrans o wysokim poczuciu moralnym Rzymian, o wierności państwu, skale tarpejskiej i „tu regere imperio” Wergilego. Dłubak tymczasem rozmiął kartkę i starannie ją wygładził. Potem widziałem, że wyjął chusteczkę i otarł pot z czoła. A potem kawałkiem irchy długo przecierał zamglone okulary.

Odtąd napisy pojawiały się częściej. Na kartkach, na tablicy, w ubikacji. Czasem wpoprzek artykułu w zostawionej na stole gazecie. Zawsze, krótkie dosadne: NIE!, BZDURY, KŁAMSTWA, HANBA etc. Protestujący musiał być człowiekiem eleganckim, bo nigdy nie używał wyrażen trywialnych, choć słówko *merde* w tych okolicznościach napraszało się. Dłubak usiłował zachować spokój. Zwiększył tylko jakby grubość szkiele, stał się niezwykle czujny, wydawało się, że nie chodzi, tylko podkłada się, mimo zażywej postaci, jak kot.

A myśmy się bawili. Próbowaliśmy odgadnąć, kto jest tym siewcą anarchii i propagatorem obcej ideologii. „Jakaś kobieta — twierdziła pani Ina, siedemdziesięcioletna nauczycielka rysunków, która w roku 1905 brała udział w strajku szkolnym. — Tylko kobieta może prowadzić taką kampanię powstrzymując się od wulgarnych słów”. „To pani nie zna dzisiejszych kobiet” — odpowiedział jej geograf, młody, kędzierzawy brunet z hiszpańskim wąsikiem. — „Wszystkie są perwersyjne, a będąc zakonspirowane raczej dałyby upust zamięłowaniom, które obracają się wokół jednej rzeczy”. Pani Ina oburzyła się: „Syneczku, pan nie zna kobiet! Pan ma tylko zepsutą wyobraźnię!” Geograf, który nigdy o nic się nie obrażał, odparł z uśmiechem: „Niech pani sama powie, droga koleżanko, czy nasz świątobliwy doktor nie jest tu bardziej odpowiednim kandydatem?” I wskazując na mnie zwrócił się do Dłubaka: „Na pana miejscu, zająłbym się osobą kolegi Dominika. To jest ptaszek. Ścichapęk”. „Nie ma ptaszków ścichapęków” — oświadczyła Zoologica, młoda dziewczyna, rok po studiach. Na ostatnim balu maturalnym zjawiła się z doklejonymi rzesami a Łacinistka przestała ją odtąd zauważać. Roześmiałem się skwapliwie, podczas gdy Dłubak tłumaczył spłoszony:

„Koleżanki. Koledzy. O co chodzi? Jakieś głupie żarty. To na pewno robi uczeń”. Ja na to: „Nie lekceważyłbym tego, panie profesorze”. — Czułem, że muszę jakoś podeprzeć znaczenie tego, co się u nas dzieje. — „To bardzo podstępna robota. Podkopuje monolit naszej jedności” — zasuwałem bełkot. — „To wprowadza ironiczny nawias, perskie oko. Uziemia wszelką wzniosłość. Jednym słowem: psuje”. Pani Ina: „Czy pan nie przesadza?” Kiedy milczałem, powiedziała z niewinną minką, od której nagle pomłodziła o dwadzieścia lat: „Mnie, odtąd te kartki się u nas pojawiły, życie bardziej bawi. To ekscytujące”. Zbliżywszy się do mnie szepnęła: „I krzepiące”. Dłubak nie dosłyszał. O tych napisach mówił na radzie pedagogicznej dyrektor. Zaczął od tego, że w tym kraju walka o wolność to nie jest nic nowego, że opór przeciw żandarmom nigdy nie wygasał, potem stwierdził, że, wbrew pozorom, to teraz to jednak nie to samo, te napisy to dziecinnada, którą należy potępić, ale to potępienie oplótł taką ilością zastrzeżeń i usprawiedliwień, że omal nie wyszedł z tego panegiryk na cześć nieuchwytnego sprawcy. Dyrektorowi głos trochę drżał, ze zdenerwowania mylił czasy i przypadki, za to Dłubak, do którego właściwie dyrektor mówił, nadal zachowywał spokój. Ale stracił go wreszcie! Po jakiejś mówce na radzie pedagogicznej, kiedy, pochyliwszy głowę, przecierał zadowolony z siebie szkła, dostał nagle papierową kulą w czoło. Wszyscy zrozumieli, że Sprawca jest blisko, że siedzi wśród nas, słucha i reaguje. Pani Ina dotknęła mojej ręki drżącą dłonią i szepnęła: „Boże, co to będzie”. A Dłubak pośpiesznie nałożył okulary, rozwinął papierową kulę — i spłasował. „Bez... bezczelność!” — wybuchnął. Wołaliśmy, żeby przeczytał głośno, Dłubak wzdragał się, ale beztronski Geograf podbiegł, wyrwał mu kartkę i wybuchnął śmiechem. „CZYŻBY — przekazał nam. — CZYŻBY ze znakiem zapytania!” Wszyscy zrozumieliśmy, że cały wykład jego został nagle podważony. Ironiczne zapytanko, porozumiewawcze, przyjazne niemal odwołanie się do świata rzeczywistego, zdruzgotało tamtego za jednym zamachem. „Ja na to nie pozwolę!” — charknął. — „Ja sobie wypraszam! Ktoś tu gorzko pożałuje! Ja wyciągnę konsekwencje! Obniżanie autorytetu władz, które reprezentują!” — I dodał groźnie: — „Niech sprawca nie myśli, że ja nie wiem. Ja w i e m !” Wiedział czy nie wiedział, jedno było pewne: ten cios nareszcie odczuł.

Na mój widok wszyscy umilkli. Łaciniстка wyjęła grzebień i zaczęła rozczesywać swoją szpakowatą, rzędną czuprynę. Geograf poczęstował Zoologię „carmenem” i przyjął od niej ogień. Pani Ina uśmiechnęła się do mnie i spytała:

— Po burzy?

— Wyładowania trwają — odpowiedziałem. Zbliżyłem się do Dłubaka i oznajmiłem: — Chciałbym najuprzejmiej donieść, że tajemniczy agent wznowił działalność. Widziałem w ubikacji duże NIE z wykrzyknikiem. Wyskrobane paznokciem.

— Kiedy pan widział? — spytał Gimnastyk, wyraźnie zaskoczony.

— Przed chwilą.

— Ja też tam byłem przed chwilą i nic nie widziałem. Dziwne, jakoś tak nagle zdążyło się wyskrobać.

— Nie ma w tym nic dziwnego — mówiłem. — Wróg jest szybki.

— No, teraz wróg się nie ukryje, sam się zdemaskował — mruknął Dłubak. — Nadchodzi moment — i każdy się sam określa. Nawiasem, uprzedzam pana, że niezależnie od tego jak postąpi dyrektor, ja po wczorajszym pańskim wyczynie będę musiał zająć stanowisko.

Przypatrywałem mu się i myślałem: skąd ja znam ten mięsisty nos? Taki nos widziałem u kogoś sympatycznego i uczciwego — i to wydało mi się upokarzające. Ludzie powinni nosić na twarzy znamiona podłości. Może wprowadzić odznaki? „Za podłość”, „Za donos”, „Za oszczerstwo”. Nosić w klapie po prawej stronie marynarki. W święta państwowe potraktować ulgowo, noszenie nieobowiązujące.

— Nie rozumiem, skąd to wzburzenie, panie profesorze — powiedziałem spokojnie. — Czy miała pańskiemu sercu rezolucja nie została uchwalona? Jeśli rezolucja miała zbawić Polskę, to wszystko jest w porządku, żadnego wstrząsu nie ma, ponieważ nie obowiązuje u nas *liberum veto*. Niech pan nie zapomina, że kult jednomysłności zgubił Polskę. — Mówiłem i słyszałem trwożliwy chichot kilkorga obecnych. — Nie ma pan pojęcia, co to za ulga — móc powiedzieć „nie” ze świadomością, że od tego sejm nie będzie zerwany. Zwycięży opinia większości, a ona jest, sądząc z głosowania, po stronie pana przyjaciół. Mój sprzeciw nie miał żadnego znaczenia. Ot, taki sobie gest. A pan, kolego, przecież nie jest pan żadnym szlachetką, tylko zdrowym kmieciem — skąd u pana te saskie naleciałości?

Zoologica roześmiała i zaraz umilkła. Pani Ina zaszeleściła gazetą:

— Wie pan, doktorze, kiedy czytam te bzdury, sama mam ochotę coś na ścianie napisać.

— A może to pani? — zażartował Geograf i pogroził jej palcem.

Zoologica zbliżyła się do Dłubaka i poprawiwszy mu krawat powiedziała miękko:

— Dłubak, pan jako kolega powinien pomóc Dominikowi, wyciągnąć go z tej kabały, pan przecież dużo może.

Dłubak rozanielił się:

— Czy pani myśli, że nie zrobiłbym tego? Ja chętnie. Jeśli kolega powiada, że to był gest bez znaczenia... To jest podstawa, możemy się tego trzymać. Pan doktor sporządzi pisemko, że podniósł dłoń na skutek roztargnienia. Albo, że nie dosłyszał. Że nie miał pan zamiaru niczemu się przeciwstawiać, ponieważ i tak dalej... coś o lojalności.

— Tak, niech pan to robi — namawiała mnie Łacinistka. — Oczywiście, że to roztargnienie! Wszyscy możemy poświadczyć, że pan doktor jest roztargniony.

Zawsze uważałem ją za Pierwszą Sprawiedliwą, za Niezdołną Do, w każdym razie za kogoś od dużej litery. Teraz jej gotowość poświadczenia, że jestem tuman, uderzyła mnie nieprzyjemnie. W ustach czułam nieprzyjemny smak, jakbym rozgryzł cierpki kartofel.

— Nie jestem bynajmniej roztargniony — powiedziałem prosząc się.

Wziąłem dziennik i czując nierówne, lęклиwe bicie serca poszedłem do klasy maturalnej. Mówiliśmy o współczesnej historii. Mówiliśmy o niej tak, jak gdyby nie istniał Dłubak, wymysły w prasie i te wszystkie pijackie pogrożki, które biedni linotypiści zmuszeni są potem składać. Zakończyłem lekcję pięć minut przed dzwonkiem, bo zapiekło w okolicach pęcherza. Dwaj chłopcy wyszli za mną na korytarz, chcieli mi coś powiedzieć, ale się nie odważyli. Za nimi sunęła cichutko Irka Łapińska, porcelanowa, jasnowłosa, najbardziej aryjska dziewczyna w klasie. Zatrzymałem się i pomachałem im ręką. Chłopcy uklonili się pośpiesznie, a Irka dygnęła. Chwilę tak przyglądaliśmy się sobie w przyjaznym, porozumiewawczym milczeniu.

Na ulicy złapał mnie Geograf. Wyszczrzył w uśmiechu rząd białych zębów.

— I po co panu to było? Co panu z tego przyjdzie? Uratował pan coś?

Spytałem:

— Pan też jest za jednomyślnością?

— Głową muru nie przebijesz. Odwołaj pan swoje „nie” — i będzie spokój. Nie widzi pan, że wszyscy są przeciw panu?

— Właśnie dlatego nie mogę odwołać. Właśnie dlatego — powtórzyłem.

Geograf nie zrozumiał. Wyszczrzył raz jeszcze zęby i stanął w stumetrowej kolejce do autobusu.

Zaraz potem miałem jeszcze jedną rozmowę, krótką. Stara

nauczycielka, pani Ina, ściskając mi dłoń szepnęła jedno słowo:

— Gratuluje.

Długo czułem dotyk jej drżących, pomarszczonych palców. Wkrótce ma przejść na emeryturę.

Bąłem się trochę spotkania z żoną, ale wszystko poszło gładko. Może nawet nazbyt gładko. Opowiadałem o wszystkim z takim ożywieniem, byłem taki ironiczny i pewny siebie, że mimo woli zmieniłem proporcje. Obawiam się, że Henryka poddała się nastrojowi podniecenia i została w przekonaniu, że znajduję się u progu jakiegoś niezwykłego sukcesu.

— Dobrze zrobiłeś — pochwaliła mnie. — Twoja postawa zmusi ich do zastanowienia. Zawsze mówili, że jesteś neutralny i uczciwy. Twoje pochodzenie jest poza wszelkimi podejrzeniami. Jeśli więc taki człowiek jak ty, nawet ty...! Ostatecznie, kim jest w porównaniu z tobą Dłubak? Oni dobrze wiedzą, że brak mu podstawowych wiadomości. Powiedz to głośno! Powiedz, że zagraża niebezpieczeństwo ze strony różnych szantażystów. Na najbliższym zebraniu wstań i wygarnij wszystko.

Kiedy ją poznałem, miała zieloną bluzkę, czerwony krawat, nietwarzowe okulary i była bardzo przejęta sprawami swojej organizacji. Ja nie odciągałem jej od tego, nie, ale nasze małżeństwo, ciąża, potem narodziny Pawła, pieluszki, koklusz, odra, choroba praczeki, złamanie kija od szczotki, nabycie froterki elektrycznej, moje niedomagania... Uciekło mi gdzieś orzeczenie. Jednak rzecz nie w pięknie zbudowanym zdaniu (o które, ku zgorszeniu moich uczniów, nie dbam dostatecznie), ale w tym, że Henryka zapomniała jakoś o swojej organizacji. W głębi duszy zachowała wiarę, że mogłaby wywrzeć wpływ na losy kraju. A cóż dopiero ja — z moim doktoratem. Gdybym tylko zechciał! „Idź i wygarnij im”. I wyobrażała sobie, że ja wstaję, wygarniam i od razu wszyscy są zdruzgotani logiką i słusznością moich argumentów, dyrektor i minister oświaty całują mnie po rękach, a Dłubak płacze ze wzruszenia i błaga o przyjaźń.

Zdjąłem z półki mało znany w Warszawie tomik Camusa i położyłem go na nocnym stoliku obok Ewangelii. Potem powiedziałem:

— Dyrektor uprzedził, że mogę wylecieć.

— Proszę bardzo — zareagowała moja żona wojowniczo. — Proszę bardzo. Jeśli chcą zwalniać najlepsze siły — proszę bardzo, zobaczymy do czego ich to doprowadzi. Będiesz mógł sobie nareszcie odpocząć — mówiła z ożywieniem. — Ostatecznie, znajdziemy co sprzedać. Książki, roczniki, aparat — wyliczała.

O swojej pracy w bibliotece nie wspomniała, dostawała śmiesznie niskie wynagrodzenie, przeznaczaliśmy je na pokrycie czynszu i świadczeń lokalowych. — Nie martw się, kochanie, jakoś to będzie. Takie szaleństwo nie może długo potrwać!

Otworzyłem Camusa i przeczytałem podkreślone przeze mnie zdanie: „Jeżeli zbuntowany bluźni, to w nadziei nowego boga”. Posłałem Pawła po butelkę „Gamzy” i słone paluszki. Stało się bowiem coś, co należało opić. Henryka wypila pół szklanki wina i zrobiła się ociężała, milcząca i czuła. Jej ciemne oczy są wciąż piękne. Paweł domyślił się, że nastrój jest odświętny i poprosił o wino. Dałem mu trochę, wyjątkowo. Od kilku miesięcy zarywa basem i chwilami wydaje mi się, że ktoś mi zamienił syna.

Inne podkreślone zdanie: „Konformizm może być szaleńczy i przez to niezwykły. W samym sercu grzechu kryje się nostalgia za cnotą i życiem uporządkowanym”. Teraz bym tego nie podkreślił. Teraz postawiłbym duży znak zapytania albo napisał CZYZYBY?.

Wszystko to, co moja żona nazwała szaleństwem, trwało, ale wciąż jakby nie dotyczyło mnie. Dyrektor milczał i Dłubak milczał. Czułem się upokorzony. „Gest bez znaczenia” — powtarzałem sobie, pierwsze „nie” w moim życiu przeszło niemal nie zauważone. Nie uznali we mnie Przeciwnika, ponieważ byłem nikim. Przez dwanaście lat zgadzałem się potulnie na wszystko, unikałem tarć, unikałem gwałtownych wystąpień i wydawało się, że tak będzie do końca moich dni, że na łożu śmierci zaleję się gorzkimi łzami wspominając swoje nieustanne tchórzostwo. Trzydziestego kwietnia dostałem pensję jak zwykle.

Miałem skruszoną minę, kiedy wręczałem żonie pieniądze. Ułożyliśmy majowy budżet i postanowiliśmy, że Henryka ze swojej pensji kupi materiał na sukienkę. Pod koniec maja, w trzecim dniu egzaminów maturalnych, wezwał mnie do swojego gabinetu dyrektor. Zamknął starannie drzwi i zaprowadził na drugi koniec pokoju, pod samo okno. Kiedy położył mi ciepłą dłoń na ramieniu, zrozumiałem, że jest niedobrze.

— A więc, drogi kolego, nic nie dało się zrobić. Niestety, musimy się rozstać. — Spojrzał na mnie i dodał: — Czy pan się źle czuje? Może pan siądzie?

Zdobyłem się na uśmiech.

— Bicie serca — tłumaczyłem. — Bądź co bądź, emocja.

— Pójdzie pan teraz do wydziału oświaty, tam panu powiedzą co dalej. Ja, oczywiście, wystawię koledze najlepsze świadectwo, ale proszę nie zapominać, że Dłubak też je podpisuje. Może się więc zdarzyć...

— Mniejsza — przerwałem mu. — Co do tych napisów, to mam tylko tę nadzieję, że z moim odejściem się nie urwą.

— Więc to pan — stwierdził dyrektor z wyraźną ulgą.

— Nie ma co ukrywać: ja.

Dyrektor zatrzepotał rękami.

— Ja nic nie słyszałem, nic, nic. Niech pan zaraz tam idzie, nie zwlekając. — Odprowadził mnie do drzwi. — Zadzwoń do pana. Tu, oczywiście, nie ma pan po co się zjawiać. Wszystkie sprawy między nami może załatwiać poczta. — Szepnął: — To szaleństwo musi się kiedyś skończyć.

Dyrektorskie drzwi były wysokie, ciężkie i kiedy zamykały się za mną miałem uczucie, jakby zatrzasnęły się podwoje twierdzy, do której wrzucano niegdyś buntowszczyków. Szedłem korytarzem z podniesioną głową nie odpowiadając na ukłony uczniów. Wolałem ich nie widzieć, krtań mi uciskało i pod powiekami piekło. Dwanaście lat pracowałem w tej szkole! W pokoju nauczycielskim nie było nikogo, nie musiałem nic nikomu wyjaśniać, zdjąłem z wieszaka kapelusz i pomachałem nim ścianom milczącym. Wychodząc ze szkoły uśmiechnąłem się do woźnej i zaraz tego pożałowałem, bo jej spojrzenie było nieprzyjemne, a na moje „do widzenia” tylko coś odburknęła.

Szedłem ulicą bez pośpiechu. Dzień był słoneczny, pocilem się w swoim ciemnym garniturze, który włożyłem z okazji matury, wokół mnie ulica z lekka się kołysała. Tak, to wtedy po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że warszawskie domy sobie nieco podpiły. Przeszedłem na cienistą stronę ulicy, tutaj kamienice były trzeźwiejsze, niewątpliwie.

Ten pan w wydziale oświaty wydał mi się także lekko podchmielony, jego krzesło, biurko, portrety, wszystko na bańce. Przywitał mnie sztywno, ponuro, chociaż nie bez formalnej uprzejmości. Wskazał krzesło. Ja siedziałem gapiąc się na portret łysego pana, wiszący tu od niepamiętnych czasów, a on, urzędnik, przeglądając papiery. Wreszcie, wciąż ze wzrokiem utkwionym w tych papierach, powiedział:

— Aha, znalazłem. Jest decyzja. Jest — powtórzył. — Trochę to tylko będzie daleko — zmartwił się. — Za miastem. Chociaż w obrębie wielkiej Warszawy — dodał szybko.

— Co to jest? — spytałem.

— Szkoła podstawowa.

Wymienił numer. Wstałem.

— Degradacja? — spytałem, a w głosie moim zabrzmiał gniew. Oparłem się o biurko i zauważyłem, że to mu się bardzo nie spodobało, nie mój gniew, tylko moje heretyckie dłonie na jego prawomyślnym biurku. — Jestem profesorem liceum i pra-

gmatyka przewiduje!... — podniosłem głos czując, że za chwilę zacznę krzyczeć.

— Proszę się uspokoić i nie powoływać się ani na pragmatykę, ani na konstytucję — powiedział marszcząc czoło. — Może pan złożyć odwołanie, ale wydaje mi się, że niewiele to pomoże. To nie jest nasza decyzja. Otrzymaliśmy ją z zewnątrz, na piśmie.

— Ale panów obowiązkiem jest zaprotestować! — krzyknąłem.

— My tu nie protestujemy — odparł sucho. Spojrzał na mnie, skądś znałem to nieprzyjemne spojrzenie, słuchając go zastanawiałem się skąd i nagle przypomniałem sobie: to woźna popatrzyła na mnie dzisiaj w ten sposób. — My tutaj spełniamy rozporządzenia władz. — Chwilę milczał, potem spytał: — Więc jak?

— Dziękuję, nie skorzystam — powiedziałem.

— Jak pan chce. Może się pan namyślać do końca sierpnia.

— Już się namyśliłem — odparłem dumnie i wyszedłem.

Na korytarzu spotkałem tych pięcioro, którzy wraz ze mną podnieśli wtedy dłonie. Wymieniliśmy porozumiewawcze uśmiechy. „Albowiem gdzie są dwaj albo trzej zgromadzeni w imię moje, tamem jest — pośrodku ich”. Na ulicy wszystko było w porządku, domy na miejscu, sztywno i obojętnie, ludzie zajęci swoimi sprawami. Szedłem w tłumie, z kapeluszem w rękę, ogłuszony, opustoszały, z tą tylko jedną myślą, że w tym tłumie może tylko ja jeden jestem postacią historyczną.

— Przenieśli mnie karnie do podstawowej — powiedziałem żonie.

Znieruchomiła.

— Zgodziłeś się? — spytała wreszcie.

— Nie.

— To dobrze. — Objęła mnie i przytuliła twarz do mojej twarzy. — Mamy czas, zaczekamy aż zmądrzeją. A na razie... damy sobie jakoś radę.

Na obiad były żołądki z moją ulubioną kaszą perłową. Wydo byłem butelkę wódki i samotnie wypilem kielicha pod te żołądki. Nic Henryce nie wspomniałem o tym kołysaniu się domów. Wieczorem słuchaliśmy razem radia. Mówili o naszych sprawach. Mówili o aresztowanych. O nauczycielach wydalonych z pracy — ani słowa. Wymieniali w kółko te same nazwiska. Moje nazwisko nie padło.

Czekałem na tę chwilę dwanaście lat. Tak, bądźmy szczerzy, czekałem na cios, może nie z utęsknieniem, ale dziwiąc się, że nie następuje. To, że moje życie toczyło się monotonna, bez wstrząsów, zawsze wydawało mi się trochę nienormalne. Dwanaście lat temu, kiedy po raz pierwszy przekroczyłem próg liceum, zastana-

wiałem się już, jak będzie wyglądało rozstanie. Nastąpi jakaś katastrofa, byłem tego pewny, chociaż nie miałem pojęcia jaka. W domu było półtora-roczone dziecko i żona, która przerwała studia i miała uczęszczać na kursy bibliotekarskie. A w szafie wisiała niepotrzebna już zielona bluza z czerwonym krawatem. Pod koniec miesiąca brałem pensję, potem doszła do tego pensja żony, potem premie, czasem małe honoraria, zarobki z korepetycji. Żyliśmy oszczędnie. Kupowaliśmy meble, książki, zaprenumerowaliśmy *Encyklopedię*. Henryce spodobał się raz stary turecki fotel, czarny, inkrustowany masą perłową i chociaż był nam zupełnie niepotrzebny — kupiliśmy go, żeby nadał blasku naszemu mieszkaniu. Kupiliśmy też telewizor, ale od kilku tygodni, od kiedy zaczęło się to pełne nienawiści ujadanie, stoi bezczynnie, przykryty pokrowcem. Z wycieczki zagranicznej przywiozłem aparat fotograficzny, zrobiłem potem masę zdjęć Pawełkowi i Henryce. Lubiłem odwiedzać antykwiariaty. Czasami przynosiłem do domu jakiś stary rocznik, raz nabyłem dziewiętnastowieczną *Encyklopedię Orgelbranda*. Jeszcze była srebrna papierośnica z wygrawerowaną dedykacją dla mnie, podarunek brata Henryki. A marki pocztowe? Nazbierało się ich setki, miałem nadzieję, że któregoś dnia Paweł się tym zajmie i je posegreguje. Olejny obraz na ścianie pędzla nieznanego malarza liczył sobie chyba z lat osiemdziesiąt i może nie był bez wartości. Teraz wszystko to, cały ten dorobek powinien nas ratować.

Próbowałem obliczyć wartość tego wszystkiego, ale szło mi nietęgo. Nie miałem pojęcia, ile za co można uzyskać. Podczas okupacji orientowałem się lepiej. Ale wtedy nie mieliśmy z mamą co sprzedawać. Spotykałem ludzi, którzy z wrześniowej pożogi wynieśli meble, dywany, porcelanę, ubrania, skóry, futra, czasem nawet kosztowności. Zazdrościłem im — aż do grzechu, do nienawiści. My z mamą nie mieliśmy nic. Tylko przed zaśnięciem, myśląc o czasach, które nastąpią, marzyłem, że ja też będę miał futra i dywany, dobre buty i garnitur na zmianę, ceniony zawód w ręku, no i trochę więcej niż te okropne piętnaście lat (bo młodość to była podczas okupacji wada najgorsza, śmiertelna), będę więc uczony, dojrzały i zamożny, i potem, kiedy znowu będzie okupacja (bo okupacja wciąż i wciąż musi się wznawiać), już mnie nic nie zaskoczy, puszczę w ruch całe nabyte latami doświadczenie. Możliwe, że te głodowe majaczenia nigdy nie starły się z mojej podświadomości i one to sprawiły, że wciąż czułem pewność katastrofy. Wrócił do mnie teraz ten zawzięty, głodny chłopak, rozglądał się pożądliwym wzrokiem po mieszkaniu i mówił: no, gdybym ja to wszystko miał wtedy!... A ja czułem się wobec niego trochę nie w porządku. Jak syty burżuj.

Dwanaście lat pracy! — myślałem rozglądając się po naszym

mieszkanu. — Dorobek w tych ścianach powinien być niemały. Człowiek po dwunastu latach harowy chyba się czegoś dorobił? Jeśli to wszystko sprzedać?... Oczywiście, prócz mieszkania, gdzieś mieszkać trzeba. Jest nas troje, musimy więc według danych statystyków wydawać na utrzymanie około 6 tysięcy miesięcznie. To znaczy rocznie? Powiedzmy: sześćdziesiąt pięć tysięcy. Odliczmy to, co wnosi Henryka. Potrzeba więc będzie wyciągnąć z wyprzedaży dobytku pięćdziesiąt tysięcy rocznie. Założmy, że mój strajk potrwa dwa lata. Z grubsza potrzeba mi stu tysięcy złotych.

Rozglądam się po mieszkaniu. Aparat. Fotel. A książki? Mam chyba z osiemset sztuk. Prawda, że wiele poniszczonych. Pawełek czytając obrywa koniuszki kartek, lubi żuć kawałki papieru, ja sam w swoich ulubionych książkach lubię podkreślać i notować — w porządku, przecież ulubionych książek i tak nie sprzedam, bez nich czułbym się dopiero fatalnie. Powiedzmy więc: pięćset egzemplarzy na sprzedaż. Po dziesięć złotych każdy. Nie, przyjmijmy piętnaście za sztukę. Liczę: siedem i pół tysiąca. Nie wierzę własnym oczom: dwadzieścia lat skrzętnej zbieraniny, od studenckich czasów po dzień katastrofy i raptem — na jeden miesiąc życia. Nie może być! Musiałem popełnić jakiś błąd.

Robimy z Henryką próbną inwentaryzację. Liczymy i liczymy — fotel, aparat, obraz, telewizor — podwajamy przyjętą wartość posiadanych rzeczy, ale w żaden sposób nie możemy dobić do tych stu tysięcy. Widocznie liczymy źle. Mam jeszcze książeczkę samochodową i cztery tysiące na oszczędnościowej. Wychodzi jednak na jaw, że czeka nas mnóstwo wydatków: kołdry drą się, w tapczanie trzeba zmienić sprężyny, ja nie mam palta na zimę, talerze prawie wszystkie wytłuczone, Paweł wyrósł z marynarki, piec gazowy wymaga nowej nagrzewnicy. Ale są jeszcze znaczki pocztowe. Podobno niektóre serie dochodzą do grubych tysięcy.

„Nie potrzebują zdrowi lekarza, ale ci, co się źle mają; nie przyszedłem wzywać sprawiedliwych, ale grzesznych do pokuty”. Czy grzesznik wie, że jest grzesznikiem? Może uważa się za wzór cnoty? Przeczytałem przemówienie działacza, z którym mamy wspólnego patrona. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. O trzeciej, w porze obiadowej, zadzwoniłem z budki telefonicznej do mego imiennika. Przewidywałem prawidłowo: zastałem go w domu, sam odebrał telefon i życzliwym barytonem powiedział „hallo”.

— Czy towarzysz Dominik? — zapytałem.

— Słucham — odpowiedział uprzejmy baryton.

— Mówi Dominik. Właśnie w tej sprawie dzwonię. Chciałem

zapytać, czy towarzysz nie mógłby zmienić imienia? Trochę mi wstyd, że noszę takie samo. Znajomi się śmieją i wyzywają od łajdaków.

Słyszałem jak rzucił słuchawkę na widełki. Zrobiłem swoje, pomyślałem. Mój protest jest sztubacki, ale jest i w ten sposób rehabilituje nasze potulności, przyzwolenia i rezygnacje. Gdyby wiedzieli, jak drogo mnie kosztował! Kiedy wyszedłem z budki, na ulicy zakotływały się domy. Oparłem się o drzewo. Dwaj przechodzący milicjanci — oni teraz przeważnie chodzą parami, sztywni i zastrachani — ci dwaj obrzucili mnie nieufnym spojrzeniem. Chodnik pod moimi nogami się spiętrzył i poruszył jak podczas trzęsienia ziemi. Miałem spuchniętą głowę, za dużą i za ciężką w stosunku do reszty ciała. „Duch-ci jest ochotny, ale ciało mdłe”, przypominałem sobie.

— Wymówili mi — powiedziała żona.

Paweł w sąsiednim pokoju dosłyszał, zamknął radio i przeszedł do nas.

— Dlaczego? — spytałem.

— Uznali, że zamawiałam dla biblioteki niewłaściwe książki. Pomijałam jedne nazwiska i lansowałam inne. Broniałam się, że zamawiałam właśnie te książki, które zalecano odgórnie, siedem wydań pamiętników generała na przykład. To tylko alibi, powiedziano mi, oni wiedzą, że kupowałam generalskie pamiętniki bardzo niechętnie, a co do odgórnych zaleceń, to należało mieć własne rozeznanie, bo tamte osobistości zostały właśnie zdemaskowane, a ja zdemaskowanym szłam na rękę, nie wykazałam czujności.

— Wygarnęłaś im? — spytałem nie mogąc się powstrzymać od złośliwości.

Uśmiechnęła się smutno.

— Chciałam. Ale kiedy zapytali, czy to prawda, że mój mąż został karnie przeniesiony do szkoły podstawowej, zrozumiałam, że nie chodzi o mnie, tylko o ciebie. I postanowiłam nie pogarszać sprawy.

— Nie martw się — mruknąłem. Znowu tuliliśmy się do siebie policzkami. — Zajmiesz się domem. Wszyscy na tym skorzystamy. A może byśmy poszli razem do kina?

Osunęła się w swój turecki fotel. Mówiła:

— Trzeba będzie przemyśleć trochę utrzymanie domu. Kupować tańsze gatunki mięsa. Zresztą, Paweł lubi salceson i kaszanke, tylko nie zawsze można dostać.

— Chodźmy do kina — upierałem się. — Na western. To dobra nauka: jeden facet załatwia całą bandę.

— Nie, trzeba oszczędzać. Nie pojedziesz, synku, w góry. Bilety drogie i nie bardzo masz w czym.

Widziałem, że Pawełkowi zaszklify się podejrzenie oczy.

— Obiecałem kolegom — szepnął. — Jeszcze się chwaliłem, że zabiorę ze sobą aparat i będziemy fotografować góry.

Henryka była nieubłagana.

— Musielibyśmy podjąć z książeczki, a tego nie wolno ruszać.

— No to z samochodowej — odpowiedział Paweł.

— Z samochodowej! zastanów się! Niedługo ciągnięcie, możemy wygrać.

Paweł ścisnął szczęki i wyszedł bez słowa. Zdjąłem z półki *Encyklopedię Orgelbranda*. Potem odkurzyłem *Tygodnik Ilustrowany* z roku 1913. Dorzuciłem do tego jeszcze parotomową historię Bobrzyńskiego. Drżałem z podniecenia. Naręszcie to się zaczyna. Puste miejsca na półkach łatwo było zapisać rozsuwając książki, ale mnie na tym nie zależało. Wytarłem tylko kurz i nagle deski zaślnęły.

— Sprzedam to — powiedziałem. — Niech chłopak jedzie. Należy mu się.

— To może podjąć z książeczki? — zaproponowała nieśmiało Henryka. — Tak się boję wysprzedawania...

— Na odwrót, należy coś włożyć na książeczkę. — Objąłem ją i powiedziałem: — Nie rozumiesz, że bank wypłaca procenty? Gdybyśmy mieli w banku kilka milionów złotych, moglibyśmy żyć z samych procentów.

— Zimno mi — powiedziała moja żona.

Pogłaskałem ją po włosach.

— Nie bój się. Powiedz synkowi, że pojedzie w góry.

Zapomniałem na śmierć, że w mojej *Encyclopedii Orgelbranda* brak ostatniego tomu. Byłem jeszcze studentem, kiedy szperając w prywatnym antykwariacie, pana K., małej ciemnej klitce, w której można było znaleźć cuda, natrafiłem na to wydawnictwo. Kupiłem je dla siebie, chciałem wykorzystać niektóre szczegóły historyczne i nie przejąłem się tym, że mój skarb urywa się na literze „W”. Teraz to, że brak czegoś do całości, okazało się przeszkodą. Cena katalogowa, w ogóle niewysoka, wyznaczona była za całość. Ten pan w antykwariacie zwrócił mi całość, wziął zaś *Tygodnik* i Bobrzyńskiego. „Wie pan — próbowałem się zwierzyć kierownikowi — żal mi tego Bobrzyńskiego, przydawał mi się, wie pan, w pracy, jestem historykiem, uczyłem w liceum, ale ostatnio, na wiadomym tle, mnie zwolniono”. Starszy pan w szarym kitlu obliczał spokojnie moją należność. Potrącił trzydzieści pięć procent od ceny sprzedażnej i dał mi kwitek do kasy na czterysta pięćdziesiąt złotych. Było to dużo mniej niż się spodziewałem.

W kasie siedział inny starszy pan, także w szarym kitlu. „Jestem historykiem — powiedziałem — kiedyś kupowałem książki, a teraz muszę je sprzedawać”. „Gdyby pan miał pięćdziesiąt złotych, wydałbym panu całą pięćsetkę” — odpowiedział ten z kasy. „Nie mam” — wykrztusiłem. Byłem bliski łez.

Żeby donieść te książki, przyjechałem do antykwariatu taksówką. Wracalem piechotą, z głową chwiejącą się jak dynia zatknięta na tyce, a nieprzyjęte tomy *Encyklopedii Orgelbranda* uwierały mnie pod pachą.

Listonosz przyniósł sześćset pięćdziesiąt złotych. Nie wiem za co i nie wiem od kogo. Stempel warszawski, ale brak nadawcy. Henryka popłakała się. Włożyłem pieniądze do szuflady i oświadczyłem, że na razie nie wolno nam ich ruszać. Napisałem na kartce HANBA KLAMCOM i położyłem ją w budce telefonicznej pod książką. Kiedy wychodziłem z budki, znowu natknąłem się na parę milicjantów. Podeszedłem do nich i spytałem, gdzie jest Dworzec Centralny. Odpowiadali jękając się, wyraźnie zaniepokojeni. A we mnie tłukło się serce.



— Zawroty głowy? — Lekarkę moja relacja wyraźnie zniecierpliwiła. — Przepracowanie. Trzeba odpocząć.

— Kiedy ja jestem bezrobotny — tłumaczyłem. — A w ogóle to mamy wakacje.

— Może to anemia. Zrobimy morfologię krwi.

— Zrobiłem — mówię i podaję jej kartkę z wynikiem.

Zniecierpliwienie tej pani rośnie.

— Tutaj wszystko jest w porządku — mówiła przyglądając się kartce. Czuli, że jej wiedza zawodzi i to ją niepokoiło. — Jak z apetytem?

— Przeciętny.

— Na wszelki wypadek wzmocnimy pana zastrzykami z glukozy.

— Pani doktor — poprosiłem. — Czy nie mogłaby pani zapisać czegoś na uspokojenie?

Uniosła brew.

— Nie sypia pan?

— Nie.

— Chce pan elenium, czy librium?

— Elenium.

— Ile sztuk?

— Dużo.

Zasiadła do pisania. Nareszcie wszystko było jasne. Wiedziała, że nie po to tu jest, żeby leczyć, tylko żeby wypisywać recepty dla hipochondryków i narkomanów.

Zażywałem elenium. Nie pomaga. Marzę o sprzedaniu tureckiego fotela. Stoi w kącie pokoju, wisi nad nim reprodukcja pięknej bizantyjskiej mozaiki Jezusa z Rawenny, którą dałem kiedyś do oprawienia. Przyglądam się fotelowi i wyobrażam sobie, jak tu będzie wyglądać bez niego. Mozaika na tle pustej ściany na pewno zyska. A ja będę miał widomy znak, że nie milczę. Samozniszczenie jest najbardziej pociągającą formą protestu.

Pewnego dnia pół świata popełni samobójstwo. Wszyscy, którzy zdadzą sobie sprawę z pustki i nędzy swojego bytowania. Wszyscy, którzy uświadomią sobie, że żyją ku własnemu cierpieniu a cudzej rozkoszy. Wszyscy, którzy rozumieją, że byli stale nabierani. Wszyscy, którzy zajrzą w ciemne oko przyszłości i przerażą się, że nic nie widać. Ci, którzy żyją cudzą naiwnością, cudzym posłuszeństwem, zostaną nagle bez gruntu pod nogami. Masowe samobójstwo oszukiwanych pozbawi oszustów wszystkich przywilejów. Wiem, że myśl ta jest niechrześcijańska. Wiem. To obłąd. Ja nie popełnię samobójstwa. Ja nie boję się cierpienia. Znajduję w nim zadowolenie. I dumę. Ktoś może mnie nazwać masochistą, ale to byłoby błędem. Nie mam ochoty na samobiczowanie.

Paweł wrócił z wakacji. Boże, jak wyrósł! Jest opalony, zdrowy, silniejszy niż był. Całkowicie obdarty. Buty rozleciały się, a zresztą i tak na nogi mu już nie wleżą. Trzeba chłopcu kupić nowe spodnie, koszule może nosić moje. Henryka robi mu na drutach sweter. Materiał, który sobie kupiła, leży w domu. Powiedziałem, żeby zaniósła go do krawcowej. Musimy się trochę ubrać, właśnie teraz, kiedy jeszcze dostajemy pensje. Zaniósłem aparat fotograficzny do komisju. Poszedł ze mną Kwapien, który jest dobrze ze sprzedawcą. Kwapien to mój były uczeń, teraz pracownik aparatu spółdzielni rzemiosł. Zna się na wszystkim. Jest pyzaty, gadatliwy, sprytny i raczej uczynny. Aparat wyceniono na dwa pięćset, o półtora mniej niż się spodziewałem. Pieniądze będą za kilka dni. Dwadzieścia pięć procent potrąci sobie sklep, a setkę trzeba będzie jeszcze dać w rękę temu sprzedawcy za to, że tak szybko załatwił, bo tych aparatów to leży tam cała góra.

Poszliśmy potem z Kwapieniem do „Staropolskiej” na lampkę wina. Chciałem, żeby mnie poinformował, jak najlepiej sprzedać znaczki pocztowe. Okazało się, że to cała historia. Można na wagę, jak leci — za grosze. Można na sztuki, ale trzeba najpierw plukać,

suszyć, segregować. Też grosze. Lepiej płacą za serie. Ale nie wiem, czy się uzbierają serie. Jednym słowem, na znaczki nie ma co liczyć.

Bardzo dziwne napisy pojawiły się na klatce schodowej i w okolicach naszego domu.

— Miejscowy by tego nie zrobił — powiedział nasz dozorca, którego poprosiłem by zmienił w kuchni stary kran (znowu wydatek!). Miejscowy by się bał, że go nakryją. To robi gość z zupełnie innej dzielnicy. Jak pan doktor myśli?

— Może tak, a może nie — odpowiedziałem.

— Ano, faktycznie, trafił pan doktor, jak to się mówi, w dziątkę: może być różnie. Ale po mojemu to robi obcy. U nas lokatorzy porządni. — Dozorca zakręcił kran i puścił wodę. — Proszę, można się moczyć. Ci panowie, co pan wie, ci co się nami opiekują, też powiadają, że to jakiś obcy. Strasznie niespokojnie im się zrobiło, jak zobaczyli te wyrażenia. Mówią: tym razem wrogie siły całkiem nieznane. Hasła takie niezwyčajne — nie wiadomo, o co chodzi. Ale że przeciw — to się czuje. Kto jest za, nie musi po kryjomu mazać po ścianach, może śmiało iść na ulicę. Oni powiadają, że musi działać jakaś nowa organizacja.

— Naprawdę? — ucieszyłem się.

— Tak, panie doktorze. Kto wie, mówili, co się za tym kryje. A jak pan doktor uważa?

— Masoneria — odpowiedziałem płacąc.

Dozorca chuchnął na pieniądź i zaśmiał się:

— Najważniejsze, że jest na ten kieliszek chleba. Ja sobie równiutko pociągam i mnie nic nie bierze — ani grypa, ani mason. I każdemu radzę.

Nieoczekiwanie odwiedził mnie dyrektor. Wpadł na kwadrans. Henryka zmusiła go, żeby wypił z nami kawę i pochrupał herbatniki. Przyszedł dowiedzieć się, czy wziąłem tamtą posadę (wiedział jaką!). Kiedym mu powiedział, że nie, zmienił się na twarzy.

— Ale dlaczego? — pytał. — Dlaczego nie?

— Nie mogę się podporządkować karze, której nie rozumiem. Podniosłem rękę, ponieważ pytano mnie o zdanie. Widocznie uważano, że w omawianej sprawie może być różnica zdań. Jeśli teraz przyszło im na myśl, że nie powinienem był wyrażać swojej własnej opinii, to po diabła mnie o nią pytali. Jestem historykiem, a nie cyrkowcem — mówiłem coraz goręcej. — I uważam, że to my sami, godząc się na cyrk, działamy na własną szkodę.

— Z czego pan będzie żył? — sptał dyrektor nie patrząc na mnie.

— Z tego — powiedziałem wskazując na półki z książkami.

— Ma pan coś na książeczkę?

— Niewiele. Ale mam książeczkę samochodową. Powinienem wygrać — powiedziałem. — Jeśli od wszystkich wymagamy dziś samookreślenia, to tym bardziej możemy go żądać od Pana Boga.

Dyrektor dopił kawę.

— Pan wie dobrze — powiedział — że ja jestem starym ateistą. Na Pana Boga nie radzę liczyć.

— Liczę na porządek moralny, który wyznacza bieg dziejów.

— Nie zauważyłem żadnego takiego porządku — powiedział cierpko dyrektor. — Gdybym miał kierować się wskazaniem jakiejś księgi, to raczej Księgi Dżungli.

— Myślałem, że pan dyrektor jest optymistą — odezwałem się z widocznym rozczarowaniem. — Pan zawsze wierzył w pracę społeczną.

— Panie kochany, społecznictwo — to jest kwestia temperamentu, a nie wiary. A zresztą, ja już w nic nie wierzę. — Chwilę siedział milczący. — Pamięta pan tę małą Irkę, taką jasnowłosą gojkę?

— Pamiętam. — Omal nie dodałem: lubiłem słuchać jej dźwięcznego śmiechu, lubiłem się na nią gapić.

— Wyjeżdżają. Ojca rozrobili hunwejbini.

Wiedziałem, że to się tak skończy. Jej ojciec był nazbyt zasadniczy.

Przy drzwiach dyrektor sobie coś przypomniał:

— A Dłubak awansował! Został dyrektorem.

— A więc jest jakaś logika w tym, co się dzieje — powiedziałem. — O, panie dyrektorze, nie podoba mi się pańska rezygnacja. Trzeba czerpać otuchę z historii. Czy wie pan jaki okres dziejów nowoczesnych uważam za najbardziej krzepiący? Denazyfikację w Niemczech. Nie trwała długo, ale sam fakt jest wystarczająco wymowny, by ludzie się nad nim zastanowili. Po każdym szaleństwie musi przyjść denazyfikacja. To nieuchronne. Kiedy oglądałem zdjęcia z procesów norymberskich, myślę o tym, czy nie porobić odbitek i nie przesłać ich pocztą co gorliwszym propagandzistom.

Dyrektor pokiwał smętnie głową.

— Pan za dużo rozmyśla. Niech pan się zainteresuje swoją posadą, panie doktorze, odpowiada pan nie tylko za siebie.

Kiedy wyszedł, stałem przez chwilę w mrocznym przedpokoju i myślałem z niesmakiem, że gadałem bzdury po to, żeby pocieszyć jego i siebie. I że mi się to nie udało.

O szarej godzinie Paweł poszedł do „Iluzjonu” na film z braćmi Marks. Zostaliśmy z Henryką we dwoje, ja czytałem Obja-

wienie Świętego Jana, a Henryka wykańczała rękaw Pawłowego swetra. Chciałem zapalić lampkę, ale moja żona, która ma wzrok jak żbik, powiedziała, że nie trzeba. „Blisko jest czas” — przeczytałem w Objawieniu i postanowiłem zapisać sobie to sformułowanie. Wyciągnąłem z biurka szufladę, żeby wśród tego całego bałaganu dogrzebać się ołówka i kiedy nareszcie go znalazłem, dobiegło mych uszu mamrotanie Henryki. Spojrzałem: Henryka pruć rękaw, dzisiaj już po raz trzeci. Spytałem:

- Znowu prujesz?
- Mylą mi się oczka.
- Może zapalić lampkę?
- Nie, to nie to.

Wiedziałem dobrze, że „to nie to”, ale lampkę zapaliłem. **BLISKO JEST CZAS** — zobaczyłem wyraźnie w oślepiającym żółtym blasku.

— Nie mogę się zmieścić w tych granicach, któreśmy zakreślili — mówiła żona prując zawzięcie rękaw. — Ten kran, herbatniki dla dyrektora, buty Pawła, dwa nowe prześcieradła...

— Radio trzeba dać do naprawy — przypomniałem. — Co-raz gorzej odbiera...

— Ci twoi statystycy na pewno się mylą, życie jest droższe niż oni obliczyli. Albo ja nie umiem sobie radzić.

— Pewnie oboje nie umiemy — pocieszyłem ją.

— Czy Paweł musi chodzić do kina? — zastanawiała się.

Krzyknąłem:

— Musi! Będzie chodził! Będzie!

Oparłem się o półkę z książkami, bo pokój się zakołysał i sufit nagle się ku mnie przechylił. Henryka spytała:

— A jak sobie radzą inni? Ci, którzy zarabiają poniżej normy statystycznej?

Wciąż opierałem się o półkę. Spokój, nie wolno ci krzyczeć — upominałem siebie. Starałem się myśleć i mówić flegmatycznie.

— To jest właśnie tajemnica — powiedziałem.

Ołówek miał złamany gryfel. Znowu Paweł się do niego do-bierał! Przez chwilę kipiała we mnie złość, ale uśmierzyłem ją w sobie, bo dobrze wiedziałem, że to złość niesprawiedliwa, że winna być skierowana zupełnie w inną stronę. Zapamiętasz ten cytat, powiedziałem sobie — **BLISKO JEST CZAS** — zapamiętasz go bez notowania.

Nazajutrz pojechałem tramwajem za miasto. Wcale nie miałem zamiaru zgłosić się do tej szkoły, nie, panowie, nie ze mną sprawa, pomyślałem sobie tylko, że nie szkodzi na nią popatrzeć. Kiedy tramwaj zatoczył koło i zatrzymał się przed białym budynkiem stacyjnym, zdjąłem z głowy kapelusz i ostrożnie zszedłem na żwir torowiska. Zakołysało się pode mną, ale tylko na chwilę,

rozkraczyłem się i kołysanie ustało. Przyjemnie tu, pomyślałem wciągając w płuca świeże powietrze. Było cicho, pachniały lipy. Szedłem wąskim chodnikiem obok sadu, w którym unosiło się w kurzu brzęczenie pszczoł. Chciałem znów pochwalić ciszę i Opatrzność, która dębom dała żołędzie a pszczołom miód, kiedy naraz rozległ się nieludzki wrzask, trzystu dzikich Zulusów odtańczyło taniec wojenny, misjonarze skowytali w kotłach, bito w tam-tamy, ujadły pistolety maszynowe, zdaje się, że i sputniki brały udział w tym sabacie, bo słysząc było jakieś rytmiczne popiskiwanie. Zrozumiałem, że jestem w pobliżu szkoły i że mieści się w niej teraz pół-kolonia letnia.

Ostatecznie, pomyślałem patrząc na zmagające się ze sobą zastępy, to nie muszą być moi uczniowie. Budynek szkolny, jasny, lekki, słoneczny, wyglądał wcale pociągająco, moje stare liceum nie mogło się z nim równać. Tylko te szkraby — strasznie to małutkie, chude, guzowate, wrzaskliwe a groźne. Bałem się, że zaraz któryś skoczy na mnie i wczepi mi się zębami w łydkę. Obchodząc dzieciarnię łukiem, ze wzrokiem utkwionym niby to obojętnie przed siebie, dotarłem szczęśliwie do wrót szkoły. Spociłem się trochę, ale spodnie miałem całe a łydki nie pogryzione. Cóż szkodzi zajść? — myślałem. Ostatecznie, powinienem wiedzieć, co mi proponowano. I co mnie czeka.

Miałem okazję porozmawiania z kierownikiem. Był to niski, młody i łysawy blondasek o czerwonej twarzy i zadartym nosie. Spod kolorowej koszulki z krótkimi rękawami wystawały muskułarne, pokryte piegami ramiona. Musiał być nauczycielem gimnastyki, domyśliłem się. Sam lubił też poćwiczyć, jego gabinet przesycony był ciężkim i kwaśnym zapachem potu.

Przedstawiwszy się wyraziłem pomieszaną ze zdziwieniem radość, że go tu mimo wakacji zastaję.

— A gdzie ja miałbym się podziać? — Kierownik zaśmiał się i uderzył ciężką dłonią w biurko. — Trzeba pilnować tego, skąd chleb rośnie. Korzystam z wakacji, żeby coś dorobić. Widział pan chłopaków? To ja prowadzę tę pół-kolonję. — Nagle zamilkł. Poczęstował mnie „sportem” i przez chwilę milcząc paliliśmy. — A pan doktor długo się nie zgłaszał — odezwał się z naganą w głosie.

— Teraz też przyszedłem tylko się rozejrzeć.

Blondasek pokiwał ze zrozumieniem głową.

— Jasne! — wypalił. — Co tu się śpieszyć? Nie ma do czego. Zarobki żadne, a towarzystwo... — Pogardliwe machnięcie ręką. — Krugom hołota! Dzieci okropne.

— Dzieci jak dzieci — zaprzeczyłem.

Kierownik nie dawał za wygraną.

— Tak się panu tylko zdaje. Tu mamy taką zbieraninę, że

bez pasa ani przystap. Pan jest doktor, historyk, dwanaście lat stażu — dobrze mówię? Bił pan kiedy ucznia? Nie? To nie ma pan tu czego szukać. Ja leję. Jak ojciec żulik i alkoholik, a matka lepiej nie gadać, to jedyna obrona moja, to łać. Całe szczęście, że ma się trochę krzepy. Jedno jest pewne: jak ja się pokażę między nimi, to się robi cisza jak makiem siał. Delikatnemu człowiekowi nie radziłbym. Była tu jedna koleżanka z wyższym wykształceniem, od razu się na niej poznali, słowa takie usłyszała, że wybiegała wśród lekcji z płaczem. Poprosiła o zwolnienie: dałem. To jest lud, panie doktorze, i obcych oni nie cierpią — a ja to co innego, ja sam jestem lud, znamy się na wylot i umiem z nimi postępować.

— Łać?

— Myśli pan, że mają o to do mnie pretensję? Jak ociec jestem — powiedział wykrzywiając usta w uśmiechu. — Ociec leją i ja leję, może nie? „Sporta”?

— Dziękuję, dopalam.

Kierownik spojrział na mnie, zastanowił się, oczy mu nagle uciekły w głąb czaszki, szparka między powiekami zwięzła się, twarz przybrała chytry wyraz.

— Rozumie się — zaskrzeczał — ja tutaj i wszyscy inni cieśzmy się, że pan doktor będzie naszym kolegą. Jak to mówią, siła fachowa. Można przez to dźwignąć. Ale to pewne, że darmo tu pana nie przystali. Musi i pan mieć swój felerek.

— No cóż, nikt nie jest bez grzechu...

— Grzech grzechowi nie równy. — Ton kierownika nagle zaostrzył się. — My tu wychowujemy najmłodsze pokolenie ludu i ponosimy odpowiedzialność. U nas na skoki miejsca nie ma. Ja tu jestem od tego, żeby wszystko grało jak w zegarku. „Sporta”? — spytał nagle.

— Nie dziękuję.

— Jak się co do tego dogadamy — powiedział — to reszta pójdzie jak po maśle. — Chwilę się zastanawiał. Ja tymczasem pomyślałem, że może należało przyjąć tego papierosa, żeby wykadzić dymem zapach jego spoconych ramion. — Coś jeszcze miałem powiedzieć — przypominał sobie miętosząc wargę o wargę. — Aha. Na żadne premie, dodatki, wychowawstwa i tak dalej — lepiej nie liczyć. Do tego mają pierwszeństwo starzy członkowie kolektywu.

— Czyli, że mam tu być kimś w rodzaju nowicjusza? — za-pytałem słodko.

— Dla nas jest pan nowicjuszem — powiedział kierownik, wyraźnie uradowany, że zrozumiałem w czym rzecz. — Co robić, panie doktorze, co robić — mówił rozkładając swoje muskularne ramiona.

Powiedziałem mu, że jeszcze się zastanowię i opuściłem jego gabinet. Kiedy znalazłem się na dziedzińcu, wydało mi się, że dzieciarnia wcale nie krzyczy tak przeraźliwie, jak ją o to przedtem posądziałem. Nikt nikogo nie gotował w kotle, jedna grupa grała „w nogę”, a druga, mniej liczna i bardziej cherlawka — w dwa ognie. Zauważyłem nawet jakąś sympatycznie uśmiechającą się smagłą buzię, a w niej dwoje lśniących czarnych oczu. Przyglądały mi się te oczęta z ciekawością, chociaż nie bez kpiny. Do tramwaju wracałem tą samą drogą, którą przyszedłem, wśród brzęczenia pszczoł, w zapachu lip. Kiedy doszedłem do pętli, zaczął kropić deszcz i żwir torowiska namókł i pociemniał.

Telewizor kupi u nas dozorca. Nie dla siebie, on ma lepszy, ale dla kumpla, który go wyreguluje i jeszcze na nim zarobi. Opowiedział, że w klatce schodowej sąsiedniego domu pojawił się dziwny napis BLISKO JEST CZAS, napisał jakiś wariat. Opiekun, jak to zobaczył to miał bąknąć, że „strachy na lachy”, ale minę zrobił niewyraźną i skarżył się, że jest bez urlopu. A potem oglądał napis jakiś facet z teczką i mówił, że to coś religijnego i nic dziwnego, kościół tu też macza swoje palce. Kiedy dozorca zabrał telewizor, Henryka posmutniała, mówi, że w domu pustka i że wszystko razem powoduje ciężki nastrój. Ja na to, że ma to dobre strony, nie będziemy więcej oglądać krótko ostrzyżonych szturmowców, którzy nam wygrają z tego okienka. I że pokój wyraźnie zyskał na metrażu. A Paweł dodał, że on w ogóle woli kino i może się obejść bez telewizora. Spytał, czy kupimy mu nowe narty, bo stare już są za małe. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Pieniądze za telewizor będą w listopadzie.

Była siódma trzydzieści — pamiętam, bo gdy tylko rozległ się dzwonek telefonu spojrzałem na zegarek klnąc — siódma trzydzieści, kiedy podniosłem słuchawkę i rozległ się zdarty, rozedrgany głos pani Iny:

— To ja, syneczku. Pewnie śpisz jeszcze jak niewinne dziecię, więc śpieszę zawiadomić, że dziś w nocy nasze wojska spełniły swój internacjonalistyczny obowiązek i okazały bratnią pomoc.

— O, cholera — mruknąłem.

— Nie klnij, syneczku, przy damie — usłyszałem. — Ubierz się, ogól i odwiedź mnie. Dostaniesz dobrej kawy.

Znałem to mieszkanko, dwa małeńkie pokoiki, które pani Ina zajmowała z czterdziestoletnią, rozrosłą w biodrach córką. Obserwowałem latami jak, opiekując się matką, córka powoli wędła, wciąż naznaczona jeszcze urodą jak szlachetny żółknący dąb. Bywałem tu, kiedy trzeba było naszemu kobiecemu nestoro-

wi wręczyć kwiaty, pogratulować jakiejś okrągłej liczby lat i pracy, czy nowego odznaczenia. Mogłem sobie wtedy obejrzeć pożółkłe zdjęcia wásaczy w rogatywkach, romantycznych młodzieńców w maciejówkach i matron w tiurniurach. Nad żelaznym łóżkiem kilimy łowickie, na biurczku pod szkłem wycinanka kurpiowska, na półce z książkami przeważały tomy w skórzaney oprawie z wytartymi złoceniami, stare encyklopedie i leksykony, wspomnienia o Komendancie, wczesne wydanie Żeromskiego, Weyssenhofa, Zapolskiej, „Pamiętniki chłopów” i „Pamiętniki Marcjanny Fornalskiej”, a z obcych — Ibsen, Maeterlinck, Krapotkin, Romain Rolland, Hašek i w ogóle niezły bałagan. Dziś przywitał mnie zapach świeżo zmielonej kawy i domowego ciasta, zapach dzieciństwa, którego już nie pamiętam. Córka wydała mi się bardziej małowówna niż kiedykolwiek, ale i bardziej jeszcze solidarna z mamą. Mógłbym coś również powiedzieć i o tych starych fotografiach na ścianie: one się też jakby zmieniły. Te panie w tiurniurach, poważne, dumne, ci chmurni wásacze w czamarach, tużurkach i siwych kurtkach, dawniej tak całkowicie martwi i tak woskowi jak sfotografowane lalki, wszyscy oni teraz jakby ożyli. Kobieta wychylająca się spoza wysokiego oparcia krzesła, która zawsze wydawała mi się czcigodną matroną, miała chyba nie więcej niż trzydzieści lat, kiedy ją fotografowano. W jej ciemnych oczach po raz pierwszy dostrzegłem blask, płomień wewnętrzny, nieodpowiedzialne szaleństwo i przenikliwość. „A, bestyjka” — pomyślałem stylem naszych dziadków. I zrozumiałem, że przemawia przeze mnie nowe doświadczenie i że moja młodość jest już za mną.

Piliśmy kawę i jedliśmy ciasto, ale wiedziałem, że nie po to mnie tu wezwała.

— Syneczku — mówiła — to jest dom nieuleczalnych konspiratorów, ma długą historię, wiesz że ja jeszcze jako dziecko walczyłam o polską szkołę, było z nami różnie, a jednak ja, stara wysłużona klacz, powiadam ci, że nigdy nie czułam się jeszcze tak schlastana. Już wolę, kiedy ja jestem bita niż kiedy występuje w roli oprawcy. Wyjeżdżają — ciągnęła pani Ina — a my nie jesteśmy w stanie ich zatrzymać. I powiem ci, syneczku, nie wiem, co bym im powiedziała, gdyby mi pozwolono. Pomyśl, syneczku, co się dzieje! Niedobitki ludu, który tu z nami osiemset lat współżył, niedobitki, których nic nie zdołało stąd wyrzucić i odstraszyć, żadne przejścia — teraz nas porzucają. Ja ci powiem dlaczego. Bo są obrażeni. To jest straszna decyzja, syneczku, postaw się na chwilę w ich położeniu. Każdy chce żyć u siebie, kochany, nikt nie chce być obywatelem za wypowiedzeniem, jak pomoc domowa, która przestaje się podobać. Popatrz na nią! — Wskazała na córkę, która uśmiechnęła się do mnie i nie wiem

czemu pomyślałem, że ma oczy podobne do Henryki. — Ona w minionym okresie miała swoje kłopoty. Przesłuchiwał ją, nawiasem, jeden z tych, którzy teraz wyjeżdżają. Ale nikt nie śmiał jej powiedzieć, że w tym kraju jest przybłądą i jak chce tu być, to musi się samookreślić. Przekonania są w modzie raz te a raz tamte, można je zmieniać, albo udawać, że się zmieniło. Nie można tylko wyrzucić z siebie pochodzenia. Jeśli to w człowieku jest zaatakowane, to traci się grunt pod nogami. Pamiętasz, co powiedział Marmieładow: „Trzeba żeby człowiek miał dokąd pójść”. Ona miała, zawsze miała, a on, ten co ją przesłuchiwał, nie miał. Tylko on o tym wtedy jeszcze nie wiedział. Na tym polegała jego głupota, i naiwność, i zarozumiałość. Dlaczego ty, syneczku, nie nie powiesz?

— Dlaczego? — zastanawiałem się. — Chyba dlatego, że ja o tym dawno wiem.

— To znaczy, że stara plecie banały? — obraziła się pani Ina.

— Nie, po prostu odkrywa pani coś, co dla pani jest nowe.

— Wiesz, że pomagałam im podczas okupacji?

— Lepiej się tym nie chwalić — uprzedziłem ją.

Córka zgrzytnęła zębami.

— Wydrapałabym komuś oczy! Gdyby nie mama — powiedziała, a oczy jej zaśniły ciemnym blaskiem, jak oczy kobiety na zeszlowiecznej fotografii — zrobiłabym jakieś głupstwo! Ale takie, żeby się świat zatrząsł!

— Nie warto — powiedziałem. — Świat ma swoje własne kłopoty.

— A co u ciebie, syneczku? — spytała matka.

— Trwam.

— Podczas egzaminów — powiedziała stara nauczycielka — napisałam na tablicy coś z twojego repertuaru.

— Dziękuję. Musiało to trochę zakłopotać pana Dłubaka.

— Tak, to się udało. Nie potrzebujesz pieniędzy? — spytała nagle.

— Nie. Mam rezerwy.

— Wiesz, że przeszłam na emeryturę? — mówiła stara. — Tołu, pokaż mu blaszkę. Dostałam order, leży w tamtej szufladzie. I cztery tysiące w kopercie.

— Przydadzą się — powiedziałem.

— Na pewno! — potwierdziła córka. — Coraz trudniej gospodarować.

— Na razie nie ruszyłem z tego ani grosza — mówiła pani Ina drżącym głosem. Pokręciła pomarszczoną szyją. — I, jak Bóg da, ani grosza z tego nie wezmę.

Córka sprzątnęła filiżanki i zaniósła je do kuchni. I wtedy

zobaczyłem, że stara wyciąga w moim kierunku zaciśniętą dłoń.

— Weź — szepnęła. — Weź i trzymaj.

Zobaczyłem pomięte ciemne pięćsetki.

— Weź — powtórzyła. — Dla nich!

Wziąłem pieniądze, były ciepłe i z lekka prze pocone. Przyłożywszy ostrzegawczo palec do ust szepnęła:

— Przy Toli ani słowa. — Ścisnęła moją dłoń: — Pamiętaj, dla nich. Ty masz z nimi kontakt, na pewno. Zorientuj się, kto naprawdę potrzebuje. Daj komuś, kto wyjeżdża. Wszystko oddaj.

Właśnie kiedy chowałem pieniądze do kieszeni, wróciła z kuchni córka. Pani Ina spojrzała na nią z ukosa i z przebiegłą miną wytrawnej konspiratorki powiedziała coś, co miało zabrzmieć dostatecznie ogólnikowo, by córka nie zrozumiała:

— Nie myślałam, że będę im jeszcze kiedyś potrzebna.

Na morzu, myślałem, na łagodnie rozkołysanym morzu, powtarzałem melancholijnie — czując jak chodnik unosi mnie w górę, jak przypływ zatapia domy. Potem pomyślałem o Conradzie. Że tak niewiele znośnego zostało z literatury, ale ci którzy zostali, jak Conrad właśnie, stali się bliscy i niezbędni. Wspólnicy — tak o nich myślałem. Przeszedłem obok szaletu i uświadomiłem sobie, że na widok ustronnego miejsca myślę od razu o napisach. Żeby się tylko nie wygadać przez sen.

Conrad: „Rzadko kiedy spotyka się ludzi, których dusze, zakute w hartowną zbroję postanowienia, są gotowe zmagać się w beznadziejnej walce do ostatka; w miarę jak nadzieja zanika, żądza pokoju staje się coraz silniejsza, aż wreszcie przezwycięża nawet żądzę życia... Ci, którzy borykają się ze ślepych siłami, znają to dobrze: rozbitkowie w łodziach, wędrowcy zagubieni w pustyni, ludzie wojujący z bezmyślną potęgą natury lub głupią brutalnością tłumów”.

Zastanawiałem się kilka dni, co zrobić z tymi czterema tysiącami i wreszcie przypomniałem sobie, że dyrektor napomknął coś o wyjeździe Irki Łapińskiej. Dam te pieniądze jej rodzicom, zdecydowałem, oni będą wiedzieli, co z nimi zrobić. Poszedłem bez zapowiedzenia się i od razu zrozumiałem, że trafiłem nie w porę. Paki, skrzynie, worki, odsunięte tapczany, łomot, kurz, mdły zapach wilgoci i gorzki spalenizny, zupełnie jak na pogrzelsku. Pośród tego uwijają się zdenerwowani rodzice — on, towarzysz Łapiński, z siwą kędzierzawą grzywą, nieogolony, w przybrudzonej koszulce marynarskiej, spod której wyziera srebrniejące owłosienie, jego żona w dressie sportowym i w chustce na głowie, a Irka, moja promienna uczennica, w poplamionej sukience, nie-

uczesana i chyba nawet nieumyta. Przeprosiłem za swoje najście, ale ojciec Irki uspokoił mnie:

— Teraz do nas zawsze przychodzi się nie w porę. Za dziesięć dni wyjazd, a przedtem wszystko to, co pan widzi, trzeba zawieźć na dworzec, do komory celnej. — Był podniecony, to naturalne, ale nie wydawał mi się przygnębiony, przeciwnie, w jego ożywieniu wyczuwało się determinację, nie pozbawione humoru pogodzenie się z losem. — Niech pan siada, panie profesorze, i napije się czegoś zimnego.

Irka powiedziała, że przyniesie mrożonej kawy i wyszła do kuchni. Wyjąłem z kieszeni pieniądze pani Iny. Miałem je tchórzliwie w ręku, zanim wyjaśniłem, o co chodzi. Ojciec Irki słuchał mnie z uwagą, ale wydawało się, że niezupełnie mnie rozumie. Położyłem pieniądze na odbiorniku radiowym. Kiedy je kładłem, zobaczyłem się w podłużnym, nachylonym ku mnie lustrze, za sobą widziałem zmienioną twarz pana Łapińskiego, widziałem przekrzywione paki i kawałek posadzki uciekającej wysoko pod ścianę. Usłyszałem głos ojca Irki:

— Więc to taka sprawa. Nie wiem doprawdy, co panu odpowiedzieć. Widzi pan, ja właściwie pieniędzy nie potrzebuję. A jeśli już, to bardzo dużo, żeby móc kupić sobie coś drogiego i opłacić za tę rzecz cło. Wszystko, co miałem, poszło na koszty wyjazdu. Za cztery dokumenty podróży musiałem dać dwadzieścia tysięcy złotych, poza tym opłaty celne, przewóz, na czternaście tysięcy oceniono remont mieszkania.

— Jaki remont?

— Dla przyszłego użytkownika.

— Nie rozumiem. Zostawia pan przecież mieszkanie i wyjeżdża pan na stałe.

— Co robić. Chociaż ja wcale nie chciałem wyjechać na zawsze. Chciałem tylko otrzymać paszport. Powiedziano mi, że mogę otrzymać paszport pod warunkiem, że zrzeknę się obywatelstwa.

— Myślałem, że to pan otrzymuje odszkodowanie — powiedziałem czując narastający ból w klatce piersiowej.

— To pan źle myślał.

— Cała ta historia coś mi przypomina — powiedziałem wściekły.

— Mnie też. — Pan Łapiński uśmiechnął się smutno. — Widzi pan więc, panie profesorze, że małe sumy nie ratują.

Pieniądze wciąż leżały na odbiorniku. Ojciec Irki zgarnął z czoła siwą czuprynę. Mruknął:

— To bardzo szlachetna osoba, ta starsza pani. Ale niech pan nie myśli, że ja będę dziękował. Nie. Takie osoby tylko powiększają rozterkę. I bez tego nie mogę sobie poradzić z myślami.

Lepiej by było, gdyby tacy ludzie jak pan i ta pani, nie istnieli. Pan rozumie, nie jestem w tym wieku, w którym można zaczynać cokolwiek od nowa. Można tylko rozmyślać nad sposobem zamknięcia ostatnich lat przebywania na tej ziemi. Żeby to było z największą godnością i możliwie bez piany na ustach. Więc idzie właściwie o Irkę, tylko o nią.

Córka właśnie wróciła, przebrana i uczesana. Przyniosła zimną i słodką kawę w szklance.

— Ona jest najbardziej aryjską dziewczyną w klasie — zwróciłem mu uwagę.

— To prawda — przyznał ojciec — i do tego może wyjść dobrze za męża. Więc powiedzmy, że idzie jednak o mnie. Nie zostało mi już wiele życia, ale chcę tę resztę spędzić nie tłumacząc się z win nie popełnionych. Wciąż się usprawiedliwiać, wciąż coś wyjaśniać, wciąż coś ukrywać, wciąż besztać samego siebie — to może się w końcu znudzić. Nabiera się obrzydzenia do samego siebie. — Ojciec Irki machinalnie, jak mi się wydawało, przesunął jakąś skrzynię. — Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, co z tym wszystkim robić. Dano nam zbyt mało czasu, żeby to sprzedać, a brać ze sobą — drogo i nieporęcznie. Może pan coś weźmie?

— Na przykład co?

— Choćby lustro. Albo radio, co? Świetne radio, sześć zakreśłów. Dozorca się o nie przymawiał, ale wolę, żeby je wziął pan profesor. Albo niech pan weźmie lustro, pańska żona będzie miała pociechę, dziewiętnastowieczne, takiej tafli dzisiaj nie robią.

Poczułem zawrót głowy. Lustra, radia, paki, skrzynie — wszystko zawirowało wokół mnie, w uszach załomotało, jakby przez pokój przetoczył się pociąg pośpieszny.

— Dziękuję — powiedziałem. — Dziękuję, ale ja nie wezmę. Gdybym mógł kupić... Nie, nawet kupić nie chcę: czułbym się jak szmalcownik.

— Szkoda — mruknął ojciec Irki. — Chciałem, żeby to trafiło w dobre ręce.

— Mniejsza. Po co te sentymenty? — Staralem się być rzeczowy. — Niech pan lepiej poradzi, co mam zrobić z tymi pieniędźmi. Trzeba je dobrze zużytkować. Ta pani, która je ofiarowała, sama potrzebuje pomocy. Może jej odesłać?

— Nie — powiedział pan Łapiński. — Będzie urażona. — Kiwnąłem głową, zrozumiałem, że mam do czynienia z człowiekiem doświadczonym. — Nie, nie wolno odesłać.

Irka, która od kilku minut słuchała nas w milczeniu, odezwała się:

— Może Jacek to załatwi?

Jej ojciec ożywił się:

— To jest myśl. — I zawołał: — Panie Jacku!

Z sąsiedniego pokoju wyszedł dorodny młodzian w okularach i z blond brodą. Ojciec Irki wręczył mu pieniądze pani Iny i opowiedział, skąd się wzięły. Młodzian powiedział z uznaniem:

— Bezblędne.

— Na co je pan przeznaczy? — spytałem.

— Na adwokatów i na pomoc dla rodziców.

— Ofiarodawcy — przypomniałem — życzy sobie, żeby wszystko było *dla nich*. Dlatego tu przyszedłem.

Brodacz wzruszył ramionami.

— Ja nie dzielę kolegów na „nich” i „nie nich”. Ale niech się pan nie martwi, wszystko załatwi się bezbłędnie, to na ogół są oni.

— Rozumiem, dziękuję panu.

— Ja dziękuję. — Uśmiechnął się. — Rатуje nas pan. — Spytał cicho: — Będzie pan na dworcu?

— Postaram się.

— Ja nie. Muszę się pilnować. Cześć.

Ścisnął mi dłoń i wrócił do tamtego pokoju.

Kiedy zabierając się do odejścia sięgnąłem po kapelusz, zauważyłem w oczach ojca Irki jakieś wahanie. Zrozumiałem, że chce mi coś powiedzieć. Ośmieliłem go:

— Może panu coś załatwić? Może coś przysłać? Proszę bardzo, chętnie załatwię.

Pan Łapiński uśmiechnął się żałośnie:

— Gdybym mógł pana prosić... Irka, zatkaj uszy. Jak już będę gdzieś na stałe, to przysłę panu adres, a pan... nie, nie trzeba.

— Ależ proszę bardzo!

— No to niech będzie. Tylko proszę się nie śmiać. Gdyby mógł mi pan zaabonować *Przegląd Sportowy*... — Widząc moją zdziwioną minę, tłumaczył pośpiesznie: — Widzi pan, ja jestem stary kibic Cracovii i te patałachy w tym roku mają szansę wrócić do ligi. Nie wiem, czy pan to rozumie. — Dotknął mojej dłoni. — Odwdzięczę się panu.

Znowu był listonosz z pieniędzmi. Sześćset pięćdziesiąt złotych — zupełnie jak gdyby ktoś podjął się wypłacać mi regularnie zasiłek. Dorzuciłem je do tamtych pieniędzy w szufladzie. Jeszcze nie wiem, co z nimi zrobić.

Od kilku dni Pawełek chodzi znów do szkoły. Wraca ponury, szczególnie z lekcji wychowania obywatelskiego, bo kierowniczką bredzi, a on musi trzymać język za zębami. Problemy naszych dzieci, proszę — a mówiono, że to będzie pokolenie bezkonfliktowe.

Nie daje mi spokoju ten turecki fotel. Napomknąłem Henryce, że może by sprzedać. „Po co?” — spytała. Obojeśmy pobrali

raz jeszcze pensję, teraz już ostatnią. Idzie zima, perswadowałem, powinnaś sobie coś sprawić.

— Ty wyraźnie chcesz ogołocić mieszkanie — powiedziała zdziwiona.

Myślę, że się zaczerwieniłem. Zaprzeczyłem gorąco.

— Nie, nie, skąd. Tylko trzeba mieć gotówkę, naprawdę tylko o to mi idzie. Chcę, żebyśmy mieli dużo gotówki, wtedy łatwiej gospodarować.

— Zawsze zdążysz sprzedać — broniła swojego fotela.

Nie nalegałem, chociaż czasami wydaje mi się, że nie zdążę. Że lada dzień może przyjść zmiana, nagle rehabilitacja i wtedy okaże się, że ja w ogóle nie byłem poszkodowany, inni cierpieli a ja nie, ja prześliznąłem się przez ciężki czas jak spryciarz pierwszej klasy. Zapakowałem trochę książek do plecaka i zawiozłem je do antykwariatu współczesnego. Księgarz odrzucił połowę tego, co mu przywiozłem (i to tę, moim zdaniem, bardziej atrakcyjną), a za resztę wypłacił mi 102 złote. Dołożyłem trochę do tej sumy i kupiłem butelkę winiaku.

Henryka stała się milcząca. Jej twarz poszarzała. Już nie mówi: „Idź i wygarnij im”. Napisała list do brata, pierwszy od pół roku, gruby list, który ledwo zmieścił się do koperty. Słuchanie radia jest dla niej wielkim rozczarowaniem. Stale wspominają jednych i tych samych literatów, dużo mówią o kilku adwokatach, a nic — o nauczycielach. Ani słówka, oczywiście, o bibliotekarzach. Nie wiedzą, czy nie chcą wiedzieć?

Na Dworzec Gdański przyszedłem za kwadrans siódma. Państwo Łapińscy szli właśnie do wagonu. Za nimi podążał tłumek moich uczniów. Wymieniliśmy dyskretne ukłony. Szedłem między numerowymi, którzy dźwigali walizki. Ciekaw byłem ich reakcji, ale nie dostrzegłem nic ciekawego, wykonywali swój fach, tylko tym razem chętniej i bardziej dziarsko, bo po emigrantach można się spodziewać desperackiej hojności. Tunelem cisnęli się ludzie z kwiatami. Było kilku pijanych. Jakiś spóźniony odprowadzający, rozchełstany i spocony byk, przepychał się przez tłum wykrzykując: „Gdzie tu ten pociąg do Treblinki?” Ktoś się roześmiał, ktoś z tych wyjeżdżających.

Spostrzegłem nagle, że przyszedłem z pustymi rękami, bez kwiatów, bez słodyczy i że państwo Łapińscy mogą sobie o mnie coś brzydkiego pomyśleć. Wróciłem do budynku dworcowego i w kiosku ze słodyczami kazałem zważyć pół kilo eksportowych czekoladek Wedla. Zapłaciłem więcej niż dano mi w antykwariacie za książki. Wzruszony, z oczyma pełnymi łez pobiegłem do

wagonu. Państwo Łapińscy stali w oknie i przyglądali się odprowadzającym. Zdaje mi się, że ona płakała, ale on nie, uśmiechał się z roztargnieniem i nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że myślami jest już daleko od nas, jest po tamtej, zagadkowej stronie swojego życia.

Irka wciąż jeszcze była na peronie otoczona tłumem moich uczniów. Rozstąpili się przede mną, kiedy się do niej zbliżałem. Trzymałem torebkę przed sobą, niby puchar sportowy.

— Pozwolę sobie wręczyć — użyłem formuły uroczystej.

— Co to jest? — spytała.

— Czekoladki. Eksportowe. Zawieź je tam, dokąd jedziesz i reklamuj nasze wyroby.

Potrząsnęła głową.

— Nie mogę tego wziąć.

— Dlaczego? — zdumiałem się.

— Bo nie zgłoszone na cle.

— Ależ to czekoladki! Na drogę!

— To nieważne, panie profesorze. Wszystko musi być spisane i zgłoszone na cle. W trzech egzemplarzach. Nawet spinki i krawaty tatusia. Nawet bielizna, którą mam na sobie. Chusteczki do nosa. Kalendarzyk z adresami trzeba było dać do ocenzurowania — mówiła z narastającą goryczą. — Wszystkie zaświadczenia odebrano. Wszystkie legitymacje. Ocenzurowano każde zdjęcie i każdą notatkę. Rozkrecono nam lodówkę. Popruto nowe pantofle ojca. Popruto kołdrę i stwierdzono, że jest podwójna, że powinniśmy byli podać większą ilość kołder i musieliśmy zapłacić grzywnę. A potem sfilmowano nasze rzeczy i nas jak drapieżnie ograbiamy Polskę. Wkrótce zobaczy pan to w telewizji i będzie się pan mógł na nas oburzać.

Powiedziałem:

— Mnie to nie grozi, bo właśnie sprzedałem telewizor. — Wcisnąłem jej do ręki torebkę. — Weź to, dziewczyno. Weź. Część schrupiesz przed granicą, a resztę wyrzucisz przez okno.

Potem pocałowaliśmy się. Na chwilę owionął mnie zapach włosów mojej uczenicy. Potem odszedłem na bok i przyglądałem się jak młodzi ją obcałowywali. Ostatniego chłopca, z którym się żegnała (ale nie z mojej szkoły), chudego i bladego dragala, objęła kurczowo i wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Serce mi się ścisnęło. Julio, Julio, powtarzałem w myśli, biedna prześladowana Julio.

Rodzice wołali:

— Irka, czas już!

Spłakana dziewczyna weszła do wagonu. Po chwili jej twarzyczka ukazała się między ramionami rodziców. Uśmiechnęła się do nas. Julio, pomyślałem, Julio, serce nam pęknie. Jej ojciec

dostrzegł mnie w tłumie i kiwnął mi dłonią. Przypomniałem sobie o tym *Przeglądzie Sportowym* i zawołałem:

— Pamiętam!

Do odejścia pociągu pozostało kilka minut. Spędziliśmy je stojąc w milczeniu, my odprowadzający i oni, którzy na odjeżdżnym przyglądali nam się wytrwale z okien. Jak na ironię, ich twarze niczym się nie różniły od tych, jakie najczęściej się spotyka na Nowym Świecie.

Stoimy. Milczymy. Przyglądają nam się: jedni zachłannie, inni coraz bardziej oddaleni myślami, jak pan Łapiński, i jeszcze inni przez łzy, gryząc wargi. Ale najczęściej się uśmiechają — smutno, żałośnie. W sąsiednim oknie ktoś żartuje, opowiada anegdotę zwróconą przeciw samemu sobie. Wskazówka zegara na peronie przesuwą się: odjazd za minutę. Robi się cicho, naraz wszyscy milkną. Obok mnie ktoś szepcze:

— Codziennie to samo. Cały rytuał.

Pociąg ruszył tak cicho, że w odrętwieniu swoim omal tego nie przegapiłem. Twarze państwa Łapińskich drgnęły i łagodnie przesunęły się w lewo. Wszyscy troje oddalając się od nas nieśmiało wachlowali rękami. Pobiegłem za uciekającym wagonem. Krzyczałem:

— Do zobaczenia, panie Łapiński! Do widzenia! Do widzenia!

Nie usłyszałem odpowiedzi. Przypomniałem sobie rozpaczliwe westchnienie mądrej polskiej pisarki: „To ludzie ludziom”...

Odbyło się losowanie książeczek samochodowych, ale nasza nie wygrała. Henryka była bardzo rozczarowana. Ja też. Jak gdyby ktoś nad nami się znęcał. Jeden wygrany numer był bardzo blisko, gdyby wylosowano o „3” niżej, samochód byłby nasz. Mógłbym wtedy o rok dłużej robić swoje. Nie wiem, co to szkodziło Panu Bogu podsunąć tym ludziom przy urnie numer o trzy niższy. Zaczynam podejrzewać, że Pan Bóg wcale nie jest po naszej stronie. Wygląda na to, że jest konformistą i na wszelki wypadek woli (nie po raz pierwszy!) być po stronie silniejszych batalionów. Przez kilka dni chodziłem rozgoryczony. Dzwoniła pani Ina, zapewniłem ją, że wszystko załatwiłem tak, jak sobie życzyła. A ona na to: „Dziękuję ci, syneczku. Ja marzę już tylko o jednym: żeby się położyć spać i więcej się nie obudzić”. Rozumiem ją dobrze. Ja też chwilami pod ziemię bym się chciał zapaść. Ze wstydu i obrzydzenia. Teraz co do Pana Boga. Pomyślałem sobie, że jeśli chodzi o mnie samego, to może lepiej, że losowanie nie wypadło pomyślnie. Przez to wszystko staje się jakby czystsze. Nie sztuka protestować mając pełną kabzę. Zwierzyłem się z tej myśli Henryce. Uśmiechnęła się do mnie czule, bo sądziła, że

mówię tak dlatego, żeby ją pocieszyć. Słyszałem potem dobiegające z kuchni pochlipywanie i siąkanie nosem.

Turecki fotel! To jest ten przedmiot zbytku, który należałoby usunąć sprzed oczu. Jeśli nie da się sprzedać, to może, niby nie-umyślnie, złamać? Piękne i smutne ma oczy Chrystus z mozaiki raweńskiej i na pewno wyraziściej by wyglądały na tle pustej ściany.

— Dominik! — usłyszałem na ulicy wesoły okrzyk. — Jak się pan ma?!

Stała przede mną roześmiana para: Geograf i Zoologica. Uchyliłem kapelusza przed młodą nauczycielką, po czym pocałowałem ją w dłoń. Geograf klepnął mnie po plecach.

— No i jak? — wybuchnął rzeniem. — Jak cenne zdrowie? Wszystko gra, co? Wszystko będzie dobrze! — rżał nie dając mi zaprzeczyć. — Taki zdolny człowiek jak pan! Wszystko się utrże! A ja się chyba rozwiódę, panie kolego, zakochałem się, popatrz pan, w takiej pokrace, byliśmy razem w Bułgarii, popatrz pan, zostało jeszcze trochę opalenizny, przywiosło się po kożuszk, a potem Maryśka zrobiła prawo jazdy, weźmiemy jakiś wózek na raty, będę miał szofera w domu, jakoś to będzie, jak Boga kocham, grunt żeby był spokój, paru drani sobie pokrzyczy, to niech krzyczą, oni to lubią, diabli wiedzą dlaczego, a nam życie ucieka i trzeba korzystać, bo potem będzie za późno.

— Wcale się nie dziwię pańskiemu optymizmowi — powiedziałem. — Nasza koleżanka ma tak harmonijne kształty, nogi zaś w szczególności (— o, to pan zauważył? — zdziwiła się), tak, zauważyłem — czy sądzi pani, że byłbym w stanie przejść obojętnie? — wszystko tak kuszące, panie kolego, że zdolne przesłonić rzeczywistość. Ale nie jest ona tak wdzięczna jak uśmiech naszej koleżanki. — Uchyliłem kapelusza.

— E tam, nie przesadzajmy — pośpiesznie zaprzeczył Geograf. — Zobacz pan, utrże się jakoś. Wszyscy wracają na posady, wszyscy. Specjalną komisję zrobili do naprawiania krzywd. I tamto, wiesz pan, tamto też ma wkrótce ustać. Połapali się, że to szkodliwe i smaruje nam opinię. A pan kolega jak? Praca wre?

— Nie pracuję.

— Nie?

Czułem, że sprawiam mu przykrość, ale musiałem być szczery:

— Dla mnie jest tylko szkoła podstawowa i to za miastem.

— Z doktoratem? Uczyć „Ala ma kota”? Chyba na głowę upadli. Przecież to marnotrawstwo zasobów...

— Nie znam się na zasobach. Ja odmówiłem i zauważyłem, że mój przyszły kierownik był mi za to wdzięczny. Niech pan nie

myśli, że jeśli kogoś, kto z geografii zna tylko swoją rodzinną wieś, mianują jutro na pańskie miejsce, to ten ktoś będzie się wzbraniał i powoływał na to, że pan ma więcej kwalifikacji. Obliczy tylko, czy mu się nominacja opłaca — i to wszystko.

— Pan jest strasznym pesymistą — powiedział Geograf dotknięty.

A Zoologica zauważyła:

— Powinien się pan lepiej odżywiać, pesymizm to często sprawa niewłaściwej diety.

— Możliwe. — Nie oponowałem. — Moja żona została usunięta z pracy. Zarzucono jej, że kupowała nie te książki, które należało.

— Psia krew — zaklął Geograf.

— Dłubak awansował — dodałem — a Łapińscy wyemigrowali. Wyrzucono ich, mówiąc otwarcie, a przed wyjazdem musieli jeszcze zapłacić za remont mieszkania, które tracili.

— Cholera, co się dzieje! — Geograf westchnął ciężko. Ale zaraz nabrał na powrót animuszu. — Ale będzie dobrze, panie kolego, zobaczy pan, niech no tylko ta komisja się zbierze, w telewizji podobno popłoch, agenciaki wycinają sobie pośpiesznie wyrostki robaczkowe, zobaczy pan, niedługo wszyscy będą za liberałów i humanistów. Zobaczy pan!

Wyszczерzył w uśmiechu swoje piękne zęby, ona zamrugła sztucznymi rzęsami. Patrzyłem za nimi jak odchodzili tuląc się do siebie i pomyślałem, że jej spódnica, jak na taki wypięty zadek, jest może nazbyt krótka. Ale za to odsłaniała wysoko uda, może nie idealnie kształtne, ale rzeczywiście krzepkie i ładnie opalone.

Z Ewangelii Św. Mateusza: „Kto nie jest ze mną, przeciwko mnie jest, a kto nie zbiera ze mną, rozprasza”. Z Ewangelii Św. Łukasza: „Bo kto nie jest przeciwko nam, za nami jest”. Nie mam prawa nikogo potępiać, ani pochwalać. Odpowiadam tylko za siebie.

Przed wyjściem na spotkanie z Kwapieniem, spojrzałem na fotel, a potem, uniósłszy nieco wzrok, zobaczyłem dwoje głębokich i smutnych oczu Jezusa z Rawenny. Tak musiał wyglądać, kiedy mu do ust podano gąbkę z octem. „Fotel można by zaproponować Kwapieniowi”, pomyślałem. Nie wiedziałem, czego chce ode mnie mój były uczeń. Miałem trochę czasu, więc siedłem nie śpiesząc się i marząc o tym, że jest czas odwilży i denazyfikacji, że ktoś Ważny mnie wzywa i powiada: Najwyższy czas zrobić z tym wszystkim porządek, proszę się za to wziąć — ale ostrożnie, bez wstrząsów. Na ulicy ludzie mijali mnie obojętnie, podczas gdy ja podejmowałem się historycznego zadania. Zapytałem Ważnego:

Ile dymisji wolno mi dać? Ile trzeba, odpowiedział, nawet sto tysięcy. Roześmiałem się: Dwieście wystarczy, panie Ważny, dwieście zmian na stanowiskach, reszta sfory to papugi i kameleony. Byłem wspaniałomyślny dlatego, że gardziłem moimi przeciwnikami. Rosło moje szczęście i serce biło mi mocno.

Kwapien czekał na mnie w „Harendzie”, kawiarni naprzeciw pomnika Kopernika. Zamówił po lampce „Egri”. Zapytał, co u mnie słychać i tym razem pytanie to nie było konwencjonalne, żadne *how do you do*. Opowiedziałem mu. Potem zapytałem, czy nie kupiłby u mnie pięknego tureckiego fotela. Sprzedam tanio.

— Nie, nie kupię. — Kwapien uśmiechnął się przebiegle. — Ja mam dla pana profesora lepszy interes. Ja mam taką propozycję, że po roku pan profesor kupi sobie cały komplet tureckich mebli i psa owczarka na dodatek. Między nami, czy pan profesor musi całe życie robić w takim strasznym fachu? Nie dają odpowiedniego zajęcia, to pies z nimi tańczył, nie wolno dać się zgnoić, panie profesorze. To nie jest kraj, w którym można zginąć z głodu, wystarczy nauczyć się wbijać gwoździe w ścianę i od razu można żyć lepiej niż z dwoma doktoratami. Tu się daje premie za nieuctwo, nie połapał się pan w tym jeszcze? Im gość tępszy, tym ma więcej szans. Nie wolno tylko myśleć. Niech zauważą, że pan ma swoje koncepcje, już pan jest podejrzany. A nie daj Boże chcieć coś naprawić — gdzie indziej od takiej chętki ludzie zaczynają kariery polityczne, u nas idą za kratki. Toteż ludzie udają głębszych niż są i pan też powinien. I nie daj Boże zdradzić się, że się jest uczciwym. Do niczego pan nie dojdzie, bo uczciwych się cholernie boją, z uczciwym nic nie da się zrobić. Już lepiej przyznać się, że się jest inteligentnym. Współpracownik zawsze może liczyć, że inteligentny, ale za to świnią. Taki jeszcze ma szansę, jest równy, jak to mówią. Da się z nim konie kraść.

— Jestem dostatecznie głupi — powiedziałem — by nie udawać inteligentnego. Gorzej z tą uczciwością.

— W tym wyjątkowym wypadku ona nie będzie przeszkadzać — powiedział Kwapien, mój były uczeń, a teraz pyzaty, łysiejący trzydziestolatek. — Ja, widzi pan profesor, rozkręcam nowy interes, pracownię pizam popelinowych i potrzebny mi jest zaufany człowiek. Żeby nie kradli materiału. Będzie pan zarabiał dwa albo trzy razy tyle, co w pańskiej szkole. — Podniósł kieliszek. — Będzie pan błogosławił tego kopniaka, którego pan dostał! — wykrzyknął. Mrugnął porozumiewawczo. — Znam już kilku takich, którzy dzięki dymisjom nareszcie po ludzku wyładowali, niech przez te drzwi nie przejdę. — Stanowczo nie zachowywał się jak uczeń wobec profesora. — Za rok, panie profesorze, napisze pan wiernopoddany i dziękczynny list do KaCe, w którym zaznaczy pan, że dzięki dalekowzrocznej polityce partii z nygusa

i głodomora stał się pan człowiekiem zamożnym. Zdrowie pana profesora.

Przyglądałem się ponuro winu.

— Kwapien — powiedziałem surowo, a łysiejący pyzatek spojrzał na mnie zaniepokojony. — Zapominasz, że jestem nauczycielem, historykiem.

— I co z tego? Kiedy oni pana nie chcą!

— Oni — to nie jest takie ważne. Ważne jest to, co się ma do spełnienia. Dziękuję ci bardzo, chłopcze, ale ja wcale nie chcę porzucać mojego zawodu. Taka poprawa losu jest złudna. Przyjmę od ciebie każdą poprawę losu, ale w obrębie mojego powołania. Jeśli możesz mnie mianować dyrektorem liceum, czy choćby na początek ministrem oświaty — zrób to, ja się podporządkuję. Nie przypatruj mi się tak, ja nie zwariowałem. Nie jestem zwolennikiem pracy organicznej, skromnym pozytywistą. Nie jestem też romantykiem. Nie! Nie jestem spadkobiercą szczytnych ideałów literatury. I to nie! Jestem po prostu kimś, kto się wstydzi. Bo czuje się współodpowiedzialny. Byłem kilka razy w życiu dumny z naszej zbiorowości, ale kilka razy w życiu odczuwałem też wstyd. Raz, jeszcze w szkole, kiedy przerabialiśmy czasy saskie, a potem Targowicę, wezwanie wojsk Katarzyny dla obrony swobód szlacheckich, które wtedy nazywano narodowymi, a potem wszystko, co się działo wokół drugiego rozbioru Polski. Potem, w trzydziestym ósmym, miałem wtedy jedenaście lat, kiedy wódz rozkazał maszerować na Zaolzie. I w czterdziestym szóstym, po pogromie kieleckim. I teraz. Tylko teraz ten wstyd, to nie jest uczucie takie zupełnie przykre. Bo ja jestem dumny i szczęśliwy z tego, że umiem się wstydzić i że wiem, że wstydzić się trzeba. I tego uczucia zniszczyć nie chcę, ono jest dobre i ono mnie chroni. Z tymi twoimi pieniędzmi, chociaż uczciwie zarobionymi — nie śmiałbym tamtym spojrzeć w oczy. Oni i tak na mnie dziwnie patrzą. Kiedy spotykam któregoś z nich na ulicy, widzę nieufność ukradkowych spojrzeń. Oni się zastanawiają, czy ja też tak chętnie wierzę temu panu, co z pianą na ustach wygrażał im pięścią, kazał się samookreślać, albo wynosić. Zastanawiają się, czy ja też wziąłem po którymś z nich posadę, mieszkanie, fortepian. Kwapien, posłuchaj mnie, to nieżnośne. Nie miej mi za złe, proszę cię, wiem że powinienem ci być wdzięczny, i jestem ci wdzięczny — za twoje serce, ale ja, taki jaki jestem, przynajmniej nie odpowiadam za niczyją krzywdę. Jeśli coś mnie martwi, to tylko własna bezsilność.

„Dwieście posad — mówiłem Ważnemu — dwa oświadczenia, pięć komunikatów i większość ptaszków zmieni upierzenie. Bądźmy wspaniałomyślni. Wystarczy, panie Ważny, dać pierwszeństwo rzeczywistym kwalifikacjom. — Od czego pan zacznie?

— spytał Ważny niespokojnie. — Od samokrytyki. Od przyznania się do błędów. Pan to robi pierwszy. W życiu publicznym — pouczalem, a stoliki kawiarniane zawirowały przede mną — najważniejsza jest odwaga. „On, ten Ważny, był smutny, zrezygnowany, zdał tym razem wszystko na mnie: działaj pan. Ludzie się ucieszą, pomyślałem. Ludzie chcą być po stronie dobra, szlachetności, marzyłem niepoprawnie. Kwapięń mówić:

— Nie namawiam, panie profesorze, jak pan uważa. Pan wie najlepiej, co pan robi. Wróciłem z wycieczki zagranicznej, cały samochód miałem opluty. Moja żona mówi: co za ludzie, a ja na to: nie wściekaj się, dziewczyno, zaraz wyjdę z samochodu i sam dopłuję, jeśli się zachowało jakieś czyste miejsce. Co się należy, to się należy. Ma pan rację: najadłem się wstydu. Mówię do żony: popatrz co za czasy, popatrz co wyprawiają z naszym historykiem, na mózg łobuzom rzuciło. Z bratem się tak pokłóciłem, że w ogóle z sobą nie rozmawiamy. Jak z obcym. Awansowałem o szczebelek w dzielnicowej radzie i już wszystko jest dobre. Najlepszy krojczy rzucił wszystko w pierony i jutro wyjeżdża. Nikt go nie ruszał, niech pan profesor mi wierzy, urządził pożegnalną wódkę, pytam dlaczego pan właściwie wyjeżdża, a on na to, że nie może już patrzeć na tego pana, co czyta „przegląd prasy” i że raz rzucił lampą w telewizor, kiedy akurat było takie szlachetne gadanie o obronie praw człowieka i walce delegata polskiego w OeNZecie z rasizmem, wtedy on nie wytrzymał, poszła lampa i telewizor, ale zrobiło się spokojniej. Piliśmy u niego do rana, popłakaliśmy się, dałem mu parę adresów, a jutro na dworzec, z kwiatkami.

„Zacząć trzeba od samokrytyki — powiedziałem Ważnemu. — Spowiedź oczyszcza”. Ważny kiwał posępnie głową.

Na klatce schodowej zaczepił mnie dozorca.

— Na słóweczko — szepnął. Nachylił się ku mnie i owionął zapachem alkoholu. — Pytali o pana opiekunowie. Czy ja czegoś podejrzanego nie zauważyłem. Mówię uczciwie, jak jest: nic a nic. No to dawaj pan oko, mówią, bo to dobra gadzina, rękę podniósł na zebraniu przeciw władzy. Ja obiecałem, co miałem robić? Pan doktor wie jak to jest: gospodarz domu to osoba rządowa.

— Naturalnie — powiedziałem z przekonaniem. — Nigdy nie wątpilem.

— No, ale jak to w życiu, jak pan doktor ma zrozumienie, to i ja nie będę gorszy. Czy to ja taki, żeby dobrego lokatora wrabiać? Czy ja nie wiem, co to znaczy cudze dzieci uczyć? Z posady wyrzucili, mówią, bo podniósł rękę. Za taki psi grosz, to ja, panie doktorze, nie tylko rękę, ale obie nogi bym podniósł! Jed-

nym słowem, bądź pan spokojny. Jakby co, to dam znać. — Ścisnął mi długo dłoń. — Spokojnie, panie doktorze — zapewniał mnie. — Jak Polak Polakowi... Byle nam Rzeczpospolita kwitła, to mniejsza o plan. Można stracić obie ręce — zdrowie ważniejsze. Tylko ostrożnie, panie doktorze, ostrożnie, farba płam i potem trudno wywabić.

Dopiero wszedłszy na półpiętro zrozumiałem, o czym mówił. Zobaczyłem na ścianie wymalowany czerwoną farbą napis: ZŁATA PRAHA. Tylko tyle. Wzruszenie ścisnęło mi gardło. Chwyciłem się balustrady. „Kolego — pomyślałem. — Witaj, kolego”.



Nieoczekiwanie zjechał do nas Stach, brat Henryki. Przywiózł tuczonego indyka, dwa zakalcowate kołaczki, pięć kilo jabłek z własnego sadu. Henryka nie wydawała się zaskoczona jego przyjazdem i zaczynam podejrzewać, że to ona go sprowadziła. Nie widziałem Stacha lata całe. Schudł jeszcze bardziej, wyrósł jakby przez to, rysy mu stwardniały, oczy straciły miękkość, ale to były już wszystkie zmiany, jakie można było dostrzec. Poza tym wydawał mi się jeszcze bardziej skrupowany wobec mnie niż niegdyś. Prowincjonalność jego przejawiała się, rzecz charakterystyczna, w zbyt skrupulatnym przestrzeganiu form towarzyskich. My tu w Warszawie jesteśmy bardziej rozluźnieni, nonszalancy, pewniejsi siebie. Stach podsuwał wciąż siostrze krzesło, zrywał się kiedy ktoś nadchodził, cmokał panie po rękach, posługiwał się ceremonialnie nożem i widelcem, jadł powoli. Ugrzązł w tej swojej wiejskiej szkole na Dolnym Śląsku, zrezygnował z ambicji, stracił kontakt ze środowiskiem twórczym, o które kiedyś się otarł — wtedy kiedy jeszcze był uczniakiem i pisywał wiersze. Ofiarowano mu pięcioizbowy dom i zabudowania gospodarskie i to go przywiązało. Ożenił się, posypały się dzieci. Opowiadał jak żyje: gotówki niewiele, ale żyć można, hodują świniały, trzymają krowę, mają własne kartofle i owoce. Dzieci, chwala Bogu, uczą się dobrze, córka ma zdolności do rysunków. Przy stole wciąż za coś przeproszał, a kiedy do niego się zwracałem potakiwał: „właśnie”, „słusznie”, a najczęściej „o to chodzi”. Dlatego zdziwił mnie, kiedy po kolacji, skorzystawszy z tego, że zostaliśmy na chwilę w pokoju sami, wstał, pochylił się nade mną i powiedział stanowczo:

— Zabieram Henrykę.

Spojrzałem na jego dłonie, suche, twarde, chłopskie. Spytałem:

— Co ci strzeliło?

— Nie pozwolę im się tu zmarnować! — Jego sucha dłoń

zaczęła się w pięść. — Myślisz, że nie widzę, co się tu dzieje?

Siedziałem milcząc. Szczęście zapierało mi dech. Sam, sam — sam i zrujnowany! — myślałem gorączkowo. Stach mówił:

— Pobędą u nas ten roczek, a na wakacje może zjedziesz. Pokój wyszykowaliśmy. Luksusów nie ma, ale ciepło będzie. Swoi ludzie, bliscy, nie skrzywdzimy. Henryka dostanie pracę — przy nauczycielstwie. I bibliotekę poprowadzi. A Paweł skończy podstawówkę.

Przyglądałem się uporczywie tureckiemu fotelowi. Jutro go tu już nie będzie. Stach powiedział:

— Henryka ci wypocznie, zatęskni się.

— Chyba masz rację — mruknąłem.

— O to chodzi. A Paweł będzie miał przyjaciela. Mój Michaś doczekać się go nie może.

— Aha — zrozumiałem. — To cały spisek.

— O to chodzi.

Stach próbował się uśmiechnąć. Spytałem:

— Podoba ci się ten fotel?

— Chyba piękny.

— Można za niego coś dostać — rzuciłem niedbale.

— Właśnie.

— Henryka powinna się cieszyć, że ma takiego czułego brata.

— O to chodzi — zgodził się skwapliwie. — Ty — urwał poszukując właściwego słowa. — Ty dobrze powiedziałeś. A zatęsknisz się — przyjeżdżaj. O to chodzi.

Weszła Henryka z herbatą. Powiedziałem:

— Z mojej strony przeszkód nie ma.

Całą noc pakowaliśmy walizki.

W teczce między moimi papierami udało mi się schować złotą bluzkę Henryki. Szukała jej zdenerwowana, bezradna, ale pocieszyłem ją, że jak znajdę, to prześlę bluzkę pocztą. Teraz, kiedy jestem już sam, wyciągam bluzkę z teczki. Nie mogę znaleźć nożyczek. Klnę i postanawiam ciąć żyłtką. Z ramienia bluzki wycinam sobie złotą opaskę. To na później.

Fotela już nie ma. Jest pusta ściana, a na niej Jezus z Rawenny, z oczyma wpadniętymi i krwawiącymi, Jezus-Edyp, oślepiiony i złotą napojony. „Tedy oni napełniwszy gąbkę octem, a obłożwszy hizopem podali do ust jego. A gdy Jezus skosztował octu, rzekł: „Wykonało się”; a nachyliwszy głowę oddał ducha”.

Do końca, do końca, do samego dna. Iść otwarcie, z podniesionym czołem. Na złotej opasce wymalowałem czarnym tuszem

sześcioramienną gwiazdę Prześladowanych. Założyłem opaskę na lewym ramieniu. Sprawdziłem, czy gwiazda rzuca się w oczy. Potem wyszedłem z domu. Na schodach nie spotkałem nikogo. Przemknąłem przez podwórko wzdłuż muru po lewej stronie i z bramy wyrząłem na ulicę. Szli ludzie. Zacerpnałem tchu. Do końca, do dna — pomyślałem. Serce waliło, kiedy wyszedłem z bramy. Pobiegły ku mnie zdziwione, wylękle spojrzenia przechodniów. Spełniło się.

KORAB

Warszawa, luty/marzec 1969.

„NA ANTENIE”

Miesięcznik Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, ukazujący się dotychczas łącznie z tygodnikiem „Wiadomości”, począwszy od numeru na maj 1969 ukazywać się będzie jako

SAMODZIELNE CZASOPISMO

Prenumerata roczna £ 2-2-0, \$ 5,00 lub F. 25,00. Cena pojedynczego egzemplarza 3/6, \$ 0,50, lub F. 2,50. Zamawiać należy w KSIĘGARNI SPK — PCA PUBLICATIONS LTD., 16/20 Queens Gate Terrace, LONDON S.W.7.

„NA ANTENIE” w swym numerze na maj zawierać będzie m.in. „Ostatnie słowo Kuronia i Modzelewskiego”; „Poradnik dla świadków i więźniów”; Romana Karsta „Kronikę walki z literaturą polską”; A. Kowalskiego „Oś Pankow-Warszawa”; M. Żytomirskiej „List do Rodziców”; St. Mękarskiego „Skarby polskie we Lwowie”; „Za kulisami” oraz wybór innych audycji, komentarzy i dokumentów.

„Na ANTENIE” ukazywać się będzie w ostatnim tygodniu każdego miesiąca poczynając od maja 1969.

Wiersze

Jan LESZCZA

Z NOTATEK EXROMANTYCZNEGO POETY

*będąc Poetą pisalem
„cierpię
za miliony”*

*będąc antypoetą
piszę
„cierpię sam”
po co komu
zawracać głowę*

*każdy przecież ma
dziurę w bucie*

*drząc za paznokciem
i puste miejsce*

na serce

Z NOTATEK STAREGO UMIERAJĄCEGO EMIGRANTA

*myślałem o re-emigracji
choć musiałbym
przezwyćżyć w sobie
różne opory*

ostatecznie

*byliby mnie grzali
na przypiecku
jak wyziębnętą butelkę
wyjętą z morza*

Z NOTATEK GULIWERA

*dopłynąłem
szczęśliwie
do wyspy*

*śpię
budzę się
odżywiam się korzonkami
wymiotuję*

*ale jakaż to ulga
myśleć o sobie
w oderwaniu od rzeczywistości
która rozbiła się
w katastrofie okrętu!*

P O T

*na liściu
spoczywają
trzy krople
potu*

rosa = krople potu

*wyrażające
stan
zmęczenia
liścia*

POWRÓT BOHATERA

*położył usta
na płomyku żywota
uśmiecha się
idzie*

*tarcza na sznurku
wyszczerbiona
blacha*

*pierwsze witają go
wierne psy
poznały pana*

poznała też Penelopa

*(spocona twarz
stopa w sandale
obrzęka
za duża)
domostwo
zmurszałe
małe*

*posztukowane drzewa
z papieru
potykają się
by pierwsze
dopaść ręki*

gospodarza

Jan LESZCZA

Adam SOLIKOWSKI

OPOWIADANIE

*Są podobno kraje, gdzie wrzosa potrafią zasłonić
stojącego mężczyznę. Inne, gdzie drzewa są tak stare
i tak ogromne, że tu nikt sobie tego nie może wyobrazić,
kraje, w których możesz podróżować przez wiele dni
i to wszystko nazywa się ciągle ojczyzna. Tam podobno Bóg
wysłuchuje modlitwy i za pracę daje chleb, o który prosisz.*

*A tu, mój dziadek znosił drewno z lasu,
aby obcy żołnierze mogli się grzać przy ogniu.
Mój ojciec wyjechał na dziesięć lat, potem budował dom,
potem ten dom ktoś spalił. Ja oglądam ziemiste
mundury i buty w harmonijkę, jakie noszą
znów obcy żołnierze. Ojczyznę mogę zacisnąć w pięści.*

Adam SOLIKOWSKI

Refleksje współczesne (3)

Młodzi są przeciwko wszystkim wojnom — słusznym czy niesłusznym. My starzy, choćbyśmy nie mieli odwagi do tego się przyznać patrzymy na wojnę inaczej. Lecz bez względu na to czyj punkt widzenia jest słuszny — nie można negować faktu, że potencjały atomowe rujnują demokrację. Powstaje fenomen, który należałoby określić „atomowym absolutyzmem”. Kilku ludzi na Kremlu i kilku ludzi w Waszyngtonie posiada władzę jakiej nigdy nie miał żaden car ani żaden monarcha absolutny. Zbyt mało ludzi dzierży zbyt wielką władzę — co stanowi odwrót od ideału demokracji.

Ponieważ pokój lub zagłada zależą od minimum odprężenia pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą — wydaje się, że za to odprężenie należy zapłacić każdą cenę. W ten sposób w stosunki międzynarodowe wbudowany został mechanizm stałego szantażu.

Można argumentować, że los Czechosłowacji Amerykanów nie obchodzi. Nikt mnie jednak nie przekona, że wyrównanie stosunków z Chinami nie leży w bezpośrednim interesie Ameryki. Nie Chińczycy są przeciwnikami normalizacji stosunków z Ameryką. Tej normalizacji nie życzy sobie Waszyngton. Czy tylko Waszyngton? Tej normalizacji nie życzy sobie Moskwa i to jest punkt decydujący. Jeżeli ktoś szuka zbliżenia z Sowietami musi być antychiński.

Dawniej obowiązywała zasada, że „sojusznicy naszego sojusznika — są i naszymi sojusznikami”. Dziś przyjęliśmy zasadę, że „wrogowie naszego głównego wroga są i naszymi wrogami”.

Amerykanie bojkotują Chiny w przekonaniu, że komunizm chiński stanowi większe zagrożenie dla ludzkości niż pragmatyczny komunizm sowiecki. Rosja nie życzy sobie zbliżenia amerykańsko-chińskiego ponieważ Moskwa uważa Chiny za swoją strefę wpływów. Na Kremlu wnioskuje, że po zniknięciu ze sceny Mao w Pekinie dojdą pewnego dnia do głosu realiści, którzy podejmą rozmowy z Moskwą. Dalekofalowym celem polityki sowieckiej

jest sojusz sowiecko-chiński i powrót marnotrawnego syna chińskiego na łono Moskwy.

Błąd polityki amerykańskiej w stosunku do Chin polega na tym, że Chiny można uznać za potencjalnego sojusznika Stanów Zjednoczonych. W razie wojny rosyjsko-chińskiej najprymitywniej pojęta zasada *balance of power* wymagałaby by Waszyngton poparł Chiny. Gdyby Ameryka zmieniła swój kurs w stosunku do Pekinu, można sobie wyobrazić, że za dziesięć czy piętnaście lat Chiny traktowałyby Stany Zjednoczone za przyjazne mocarstwo.

O ile Chiny mogłyby kiedyś przekształcić się w zaprzyjaźnione z Ameryką mocarstwo — o tyle Związek Sowiecki dopóki będzie istniał, będzie zawsze rywalizował ze Stanami Zjednoczonymi. Jeżeli dziś Rosja daje do zrozumienia Waszyngtonowi, że ceną za odprężenie jest postawa antychińska — to w gruncie rzeczy Sowiety zapraszają Amerykanów, by kręcili bicz na samych siebie.

Im polityka amerykańska w odniesieniu do Chin jest bardziej nieprzejednana — tym frakcja pro-sowiecka w Chinach zyskuje twardszy grunt pod nogami. Można powiedzieć bez wielkiej przesady, że Amerykanie swą „pro-rosyjską orientacją” pchają Chiny w objęcia Moskwy. Chiny, pojednane i znormalizowane, potrzebne są Sowietom nie w tym celu by utrwalić przyjaźń sowiecko-amerykańską — lecz przeciwnie, potrzebne są jako sojusznik Rosji w rywalizacyjnej walce ze Stanami Zjednoczonymi.

Chiny w obrębie dekady będą musiały wydobyć się z izolacji, bo inaczej nie wyżywią nadmiaru swej ludności. Będą musiały szukać pomocy technologicznej i finansowej, by zmodernizować i rozbudować przemysł. Jeżeli obecna polityka amerykańska nie ulegnie zmianie — Pekin nie będzie miał po prostu innego wyboru tylko szukać wyrównania stosunków ze Związkiem Sowieckim.

Chiny są trzecim potencjalnym super-mocarstwem i przysłowiowym języczkiem u wagi w grze sowiecko-amerykańskiej. Wyrównanie stosunków z Chinami, a w dalszej kolejności, pełna odnowa tradycyjnej przyjaźni amerykańsko-chińskiej — ułatwiłyby Stanom Zjednoczonym zdobycie trwałej przewagi nad Sowietami.

Młodzi powiedzą w tym miejscu, że jestem wyznawcą staroświeckiej, reakcyjnej *power politics*. Można uważać szachy za grę staroświecką lecz wygrać partię szachów można tylko wówczas jeżeli zna się dokładnie reguły gry. Osobiście nie jestem wyznawcą *power politics* — lecz konflikt, który toczy się w ramach *power politics* może być rozstrzygnięty tylko metodami *power politics*. Nie można wygrać partii szachów stosując reguły obowiązujące w warcabach.

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że Związek Sowiecki prowadzi *power policy* i nie wystarczy „uzbrojoną pięść NATO przemienić w otwartą dłoń gotową do przyjacielskiego uścisku” — by sytuacja uległa zmianie. Zgadza się z młodymi, że trzeba potępić i wytepić wszelki imperializm, ponieważ imperializm plus broń nuklearne prowadzić musi do totalnej katastrofy.

Wydaje mi się jednak, że nie wystarczy protestować, gdy Bry-

tyjczycy wysłał kilkunastu policjantów na jedną z wysepek karaibskich. Zwłaszcza że w tym samym czasie Rosjanie dorzynali Czechosłowację ustanawiając przykład *power policy* nieznany w dziejach imperializmu zachodnioeuropejskiego.

Rosję trzeba odwieść i oduczyć od stosowania *power policy* tzn. polityki przemocy i terroru. Wyłączając przewrót czy rewolucję, wydaje mi się, że Rosja nie porzuci *power policy* dopóki będzie zwycięska. Związek Sowiecki musi ową *power game* — przegrać. Przegrana nie musi nastąpić na polu bitwy. Jeżeli Zachód zdoła z czasem zjednać sobie Chiny, jeżeli zdoła politycznie i militarnie uaktywnić Japonię, która już dziś jest kandydatem na super-mocarstwo — jeżeli zdołamy przekonać młodych w orbicie Zachodu, że siła militarna i technologiczna nie jest niczym złym *per se* i może służyć nie tylko do tłumienia lecz i do obrony wolności — jeżeli jednym słowem zdołamy dowieść Rosji, że bez wojny nie ustąpimy nigdzie jednego cala a w razie wojny zrównamy Rosję z ziemią — wówczas, lecz dopiero wówczas nadejdzie moment wyciągnięcia ręki do zgody.

Musimy Rosji udowodnić, że wielką partię przegrała. Jest tylko jedna metoda, która prowadzi do tego celu. Ową wielką partię musi wygrać Zachód.

Młodzi ludzie w listach pisanych do mnie zarzucają mi, że podobnie jak „niezłomni” na emigracji — konflikt współczesny rozpatruję w terminach zwycięstwa i przegranej.

Zasady gry w tym konflikcie narzuca Rosja. Osobiście nie podzielam opinii tych sowietologów, którzy sądzą, że stosując elastyczną, pojednawczą politykę Zachód umacnia pozycję „gołębi” w sowieckim Politbiurze.

To jest strategia całkowicie fałszywa. W rzeczywistości „gołębiom” w sowieckim kierownictwie politycznym pomagają ci politycy na Zachodzie, którzy są zwolennikami twardej linii i nieustępliwego oporu. Ci politycy bowiem dostarczają „gołębiom” argumentu, że *power policy* poza ryzykiem wojny nie przynosi konkretnych rezultatów. Ponieważ zwolenników twardej linii na Zachodzie jest bardzo mało — „jastrzębie” na Kremlu są górą. „Jastrzębie” argumentują nie bez racji, że Zachód cofnie się raczej niż zaryzykuje zbrojny opór i wskutek tego *power policy* nie jest dziś konfrontacją siły z siłą tylko ratalnym inkasowaniem słabości przeciwnika.

Naszym odległym celem jest zdemokratyzowanie — względnie, jak to w *Kulturze* określamy, zeuropeizowanie Rosji. W tym przedmiocie istnieją dwie szkoły myślenia. Victor Zorza, który otrzymał nagrodę „Dziennikarza Roku” (rzadkie i zaszczytne wyróżnienie) — wyraził pogląd, że za 15 lat jego stanowisko stanie się zbędne. Rosja będzie do tego stopnia zdemokratyzowana, że sowietolodzy nie będą potrzebni. Zorza jest ewolucjonistą i wierzy, że poszerzenie marginesu wolności w Sowietach i liberalizacja ustroju będą konsekwencją rozbudowy technologiczno-przemysłowej i wzrostu dobrobytu.

Osobiście jestem również ewolucjonistą, lecz z pewną odmianą.

Nie wierzę, że Rosja przestanie być państwem imperialistycznym na skutek ewolucyjnych przemian wewnętrznych a rozbudowa techniki i przemysłu niekoniecznie wpływa na demokratyzację. Wierzę natomiast, że złamanie imperializmu sowieckiego jest nieodzownym warunkiem jakichkolwiek przemian wewnętrznych w Rosji. Na to by „gołębie” mogły zdobyć władzę i podjąć dzieło wewnętrznych reform, „jastrzębie” muszą być doprowadzone do bankructwa. Politycy na Zachodzie, którzy karmią „jastrzębie”, którzy gotowi są do przyjaznych rozmów ponad dogorywającą Czechosłowacją — ci karmiciele „jastrzębi” odsuwają proces przemian w Sowietach w nieskończoność.

„Jastrzębie” karmią się sukcesem, który zdobywają siłą, szantażem, zagrożeniem. Początkowe bezkrwawe sukcesy Hitlera przekonały koła umiarkowane w Niemczech a przede wszystkim zawodowych wojskowych — że *power policy* w wydaniu hitlerowskich „jastrzębi” przynosi zdumiewające sukcesy.

Polityka twardej linii, strategia oporu — a gdzie trzeba manifestacja siły — to wszystko pociąga za sobą pewne ryzyko. Lecz nie ma polityki bez ryzyka. Daleko większym ryzykiem jest tuczenie „jastrzębi” łatwymi sukcesami. W tej *power game* każdy sukces sowiecki jest z definicji przegraną Zachodu.

Ktoś powie, że powyższe wywody dyktuje typowa polska nieawiaść i emigracyjny „kompleks rosyjski”. Młodzi powinni zrozumieć, że nuklearne super-mocarstwa nie mają *de facto* polityki wewnętrznej. Wszystko co dzieje się w Stanach Zjednoczonych i w Związku Radzieckim jest dosłownie sprawą ludzkości. Jest rzeczą absurdalną by dwa rządy dzierżyły losy świata w swych rękach. Bronie nuklearne muszą być poddane ścisłej międzynarodowej kontroli. Dopóki na Kremlu rządzą „jastrzębie”, perspektywy rozwoju po tych liniach są równe zeru. W grę wchodzi coś więcej niż inwazja Niemiec czy inwazja całej Europy. W grę wchodzi katastrofa bez precedensu, której nie znamy.

Wojny nuklearnej nie można dziś wyłączyć. Wielu ludzi sądzi, że wcześniej czy później do niej dojdzie. Osobiście uważam, że jeżeli cywilizacja ma trwać, jeżeli mamy kiedyś wydobyć się z obecnego chaosu — wojna nuklearna musi być skreślona z rejestru rzeczy możliwych, tak jak na obszarze naszej cywilizacji dżuma została skreślona z rejestru rzeczy możliwych. Dlatego problem demokratyzacji Rosji jest zagadnieniem centralnym naszych czasów. Przywrócenie demokracji w Grecji czy liberalizacja ustroju w Hiszpanii to są rzeczy pożądane lecz dotyczące tylko Greków i Hiszpanów. Natomiast od zdemokratyzowania Rosji zależy będzie niezmiernie wiele — być może wszystko.

Protesty antybombowe nie prowadzą do niczego. Groźne są nie bomby lecz ludzie. Groźni są imperialiści, którzy nie wahali się nigdy detonować bomb, by osiągnąć swoje cele.



Barometrem kryzysu jest zawsze ekonomia. W Zachodniej

Europie ekonomia uległa dziwnej metamorfozie. Z nauki gospodarczej przekształca się na naszych oczach w dyscyplinę moralną. Kanclerze i ministrowie skarbu przejmują rolę, którą przez stulecia spełniał kościół i kler.

Dobrobyt i zamożność przestały być rezultatem sprawnej i wydajnej gospodarki. Dziś są to nagrody za dobre sprawowanie i cnotliwe życie. Ministrowie skarbu większość swych przemówień utrzymują w kaznodziejskim, moralizatorskim tonie. Zainteresowani są w coraz większym stopniu moralnością i w coraz mniejszym stopniu gospodarką.

Ekonomia w uderzającej mierze przypomina teologię. Raj dobrobytu ku któremu zmierzamy — to zawsze „jutro” — nigdy „dzisiaj”. Na to by osiągnąć ów raj musimy oszczędzać, przyciągać pasa, nie kupować luksusowych towarów, konsumować mniej, eksportować więcej, nie uprawiać hazardu, nie popadać w alkoholizm, stać z dala od narkotyków — jednym słowem musimy prowadzić cnotliwe życie.

Wierzę, że cnota jest jedyną pewną drogą, która wiedzie do raju pozagrobowego. Czy cnota wiedzie do raju ekonomicznego na ziemi — wątpię. Jestem agnostykiem w stosunku do współczesnej teologii ekonomicznej.

Jeden z ekonomistów brytyjskich w dyskusji, której się przysłuchiwałem — wyraził pogląd, że stopa życiowa w Ameryce jest trzykrotnie wyższa niż w Wielkiej Brytanii. Wydaje mi się, że to jest sąd nieco przesadny — przyjmijmy więc dla pewności, że stopa życiowa w Stanach Zjednoczonych jest tylko dwukrotnie wyższa niż na tych wyspach.

Czy to oznacza, że Amerykanie dwukrotnie ciężiej pracują niż Brytyjczycy, dwukrotnie mocniej dociskają pasa, dwukrotnie mniej konsumują alkoholu i dwukrotnie mniej oddają się grom hazardowym?

Nonsens. Sądzę, że przeciętny Amerykanin nie jest ani bardziej ani mniej cnotliwy od przeciętnego Brytyjczyka. Podobnie jak jego kuzyn brytyjski, Amerykanin lubi dobrze zjeść i wypić, lubi ładnie mieszkać i co roku zafundować sobie nowy samochód. Amerykańska *prosperity* nie jest więc rezultatem heroicznych cnót moralnych.

Oszczędności od nikogo nie można się domagać. W państwie demokratycznym każdy ma prawo nie oszczędzać a nawet wydawać więcej niż zarabia, pod warunkiem, że swoje długi spłaca terminowo.

Oszczędność nie prowadzi do zamożności. Przeciwnie zamożność prowadzi do oszczędności. Człowiek ubogi kupuje bowiem wszystko najdrożej i na najmniej korzystnych warunkach. Człowiek zamożny nie kupuje niczego na raty, ma możność wykorzystania różnic cen sezonowych, nie płaci wysokiego czynszu, ponieważ mieszka we własnym domu itd. itp.

Moją opinię, opartą na wieloletnim doświadczeniu można streścić następująco: im się jest biedniejszym tym *de facto* żyje się drożej. Człowiek biedny, tzn. bez kapitału, nie może kupić

zimowego płaszcza sobie czy żonie na letnich wyprzedażach, nie może zrobić zapasu danego gatunku mięsa wówczas kiedy jest tanie, bo nie ma kosztownej lodówki w której można przechowywać artykuły żywnościowe przez trzy miesiące — jednym słowem człowiek biedny nie kalkuluje, bo nie może kalkulować, tylko kupuje wówczas kiedy ma nóż na gardle. Za pożyczone pieniądze kupuje płaszcza zimowy gdy jest dziesięć stopni mrozu. Oczywiście kupuje płaszcza po najdroższej cenie. Lecz człowiek biedny liczy zawsze, że zima będzie łagodna, bo na co innego ma liczyć?

Brytyjczycy są narodem niezmiernie oszczędnym i nie oszczędzają tylko ci z nich, którzy dosłownie nie mają z czego oszczędzać.

Od czasu do czasu ktoś puka do moich drzwi i mówi, że jest z gazowni czy z elektrowni. Zdarza się, że w tej właśnie chwili wychodzę z psem na spacer. Zostawiam obcego człowieka w pustym domu, wierząc mu na słowo, że jest z gazowni i proszę go tylko, by po zakończeniu swych czynności wychodząc zatrzaskał za sobą drzwi. Postępowanie tego rodzaju w każdym innym kraju byłoby lekkomyślnością. W Anglii wszyscy tak robią. Brytyjczycy są niewątpliwie jednym z najbardziej uczciwych społeczeństw pod słońcem.

Gdyby dobrobyt i bogactwo były bezpośrednim rezultatem cnót społeczno-gospodarczych — Wielka Brytania powinna być jednym z najbogatszych krajów na naszym globie. Niestety tak nie jest. Z tego wypływa logiczny wniosek, że moralizatorskie podejsście do ekonomii nie trafia w sedno.

W tym miejscu pada słowo: strajk. Jeżeli dana fabryka pracuje normalnie to nie jest *news*. Jeżeli strajkuje dwa tysiące robotników to jest *news*. W rezultacie strajki są przez prasę dramatyzowane. Zawsze tak było i zawsze tak będzie.

Reklamowana na jesieni ubiegłego roku tzw. grypa azjatycka okazała się w Wielkiej Brytanii na szczęście niewypałem. Lecz poważniejsza wielotygodniowa epidemia grypy — której nigdy nie można wyłączyć — spowodowałaby dla ekonomii znacznie większe straty niż wszystkie strajki w obrębie roku. Czy z tego należy wnioskować, że będziemy kwitnąć gospodarczo tylko wówczas gdy nie będzie epidemii grypy?

Strajki oczywiście powodują wielkie straty. Nie oznacza to jednak, że gdyby strajków nie było Wielka Brytania pozbyłaby się wszystkich swoich kłopotów gospodarczych.

Kryzys w Wielkiej Brytanii nie jest zjawiskiem izolowanym. Podobne kryzysy obserwujemy we Francji, we Włoszech a obecnie — o zgrozo! w Szwecji. Przez wiele lat Szwecja uchodziła za wzór i niedościgniony model zbiorowych umów negocjacyjnych pomiędzy kapitałem a pracą. Obecny kryzys w stosunkach przemysłowych w Szwecji jest nie mniejszy niż w Anglii i minister Barbara Castle nie ma powodu pielgrzymować do Sztokholmu.

W mojej opinii ekonomiści zachodnioeuropejscy zrobiliby dobrze gdyby mniej moralizowali a natomiast podjęli gruntowne

studia socjologiczne. Wydaje mi się, że kryzysy o których mówimy — są w większym stopniu kryzysami społecznymi niż czysto gospodarczymi. Dlatego owe kryzysy są nie do rozwiązania w płaszczyźnie biurokratycznej.

Ekonomiści powtarzają uporczywie, że wzrost płac robotników musi się mieścić w ramach przyrostu dochodu narodowego. Jeżeli dochód narodowy wzrasta o 3 procent rocznie płace robotnicze nie mogą wzrastać o 6 procent rocznie.

To jest logiczna teza z punktu widzenia czystej ekonomii. Ta sama teza przetłumaczona na język socjologiczny brzmi nieco inaczej. Tłumaczy się robotnikom, że muszą zadawać się podwyżkami w racjonalnej proporcji do produkcji — mimo postępującej drożyzny — ponieważ w przeciwnym wypadku gospodarce grozi katastrofa. Mówiąc inaczej, żąda się całkowitej solidarności robotników z aparatem gospodarczym. Z czym aparatem?

Robotnicy są dzisiaj niepomniernie bardziej oświeceni niż dwadzieścia lat temu. We Włoszech czytają roczne sprawozdania takich bogatych koncernów jak Fiat, Pirelli, Olivetti czy subsydiowanego przez państwo giganta ENI. Bilanse mówią o fenomenalnym sukcesie i olbrzymich zyskach. Równocześnie tysiące robotników włoskich co roku emigruje za kawałkiem chleba do Szwajcarii, Francji i Niemiec. Kto ma prawo domagać się od tych robotników solidarności z włoskim aparatem gospodarczym? Powtarzam: kto?

To jest jedna z przyczyn dla których ekonomiści winni zejść z moralizatorskiej kazalnicy ponieważ moralność nie zawsze jest po ich stronie.

Ekonomiści mają na wszystko gotową odpowiedź. Przejście kraju rolniczego w fazę szybkiego uprzemysłowienia pociąga za sobą dysproporcje i nierówności. To są nieuchronne „bóle porodowe” procesu, któremu na imię włoski cud gospodarczy. Nie sądzę by robotnicy włoscy byli zachwyceni powyższą teorią.

Osobiście nie dopatruję się dramatu w strajkach, w niepokoju, w fermencie — jaki obserwujemy w klasie robotniczej większości państw zachodnioeuropejskich. Przyczyny dramatu tkwią gdzie indziej. Trudno oprzeć się wrażeniu, że pod naciskiem trudności gospodarczych — w znacznej mierze wywołanych sytuacją międzynarodową — wielu przekonanych socjalistów utraciło wiarę w socjalizm. Owym przywódcom, którzy są ludźmi najlepszej woli — wydaje się, że opanować kryzys gospodarczy można tylko za cenę pewnych odstępstw od teorii i praktyki socjalistycznej.

Socjalizm demokratyczny — w przeciwieństwie do komunizmu — nie opiera się na dogmatyce i podlega prawom rozwoju i przystosowania. Oznacza to jednak, że w prawidłowo funkcjonującym ustroju socjalistycznym — socjalizmu winno stale przybywać a nie ubywać.

Robotnicy krajów wysoko uprzemysłowionych, jak Francja czy Anglia, są niezmiernie uczuleni na wszelkie próby odgórnego regulowania, kwalifikowania czy wręcz ograniczenia prawa strajku. Rezultatem tego typu reform byłoby nie zmniejszenie liczby

strajków — tylko wydatne zwiększenie liczby strajków nieoficjalnych.

Robotnicy będą solidarni z kapitałem — a tym samym z całością aparatu gospodarczego — jeżeli w owym kapitale będą uczestniczyli. Jeżeli robotnikom nie można płacić tak wysokich stawek jakich żądają — trzeba im zapłacić coś innego. Trzeba zwiększyć ich bezpośredni udział w zarządzie przedsiębiorstw — trzeba uczynić ich współakcjonariuszami zakładów przemysłowych — trzeba jednym słowem zlikwidować choćby częściowo ów podział na „my” i „oni”. W ustroju socjalistycznym wszyscy muszą być „my”.

Klucz do sytuacji leży w socjologii a nie w ekonomii. Tylko bowiem poprzez reformy socjalne można będzie zreformować gospodarkę i przezwyciężyć kryzys.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

LOGIKA GORZKIEGO CHLEBA

List księży Dekanatu Londyn zamieszczony w kwietniowym numerze *Kultury* stanowi zdumiewający dokument. Siedemnastu księży, którzy uchwalili jednogłośnie tekst owego listu — zarzuca *Kulturze*, że „godzi w dobro narodu”. Po 21 latach pracy *Kultura* doczekała się oceny, która pokrywa się w całości z opinią Gomułki.

Mój artykuł w styczniowym numerze naszego miesięcznika poświęcony sprawie księży z paszportami reżymowymi — został w cytowanym liście określony jako „napaść” na episkopat polski oraz „zniesławienie” Kardynała Wyszyńskiego.

Muszę stwierdzić, że dostałem nie 17 lecz ponad dwadzieścia listów od polskich księży lecz żaden z moich korespondentów nie zarzuca mi „napaści”, „zniesławienia” czy „godzenia w dobro narodu polskiego”.

W mojej ocenie list londyńskiego Dekanatu jest arogancki w tonie i oszczerczy w treści. Najwięksi nasi przeciwnicy polityczni na emigracji nie zarzucali do tej pory *Kulturze*, że „godzi w dobro narodu polskiego”. Taką potwarz rzucił na nas tylko reżym komunistyczny i Dekanat londyński. Nie więc dziwnego, że reżymowe pismo ukazujące się w Londynie, wzięło kościół w obronę przed „napaściami” *Kultury*. Czy polska hierarchia katolicka na obczyźnie reflektuje na tego typu obrońców?

Jeden z wybitnych katolików emigracyjnych powiedział mi, że list Dekanatu czytał ze wstydem i zażenowaniem. Ów działacz katolicki nie popiera w całości stanowiska *Kultury* — uważa jednak, że ton listu jest niedopuszczalny.

W londyńskim *Tygodniu Polskim* z 19 kwietnia br. ukazał się wywiad

p. Józefa Płoskiego z ks. biskupem Rubinem. Niestety ów wywiad nie przyczynił się do wyjaśnienia sprawy.

Ksiądz biskup Rubin powiedział m.in.: „Posłani do Polaków na emigracji, stanowimy z nimi jedno, czujemy jak oni; żyjemy na emigracji od czasów wojny jako byli żołnierze i zajmujemy takie stanowisko jakie zajmuje emigracja w sprawach dotyczących ojczyzny naszej i jej wolności”.

Piękne słowa i gdyby tak było istotnie — problem by nie powstał.

Nie wątpię, że większość księży z reżymowymi paszportami „zajmuje takie stanowisko jakie zajmuje emigracja w sprawach dotyczących ojczyzny naszej i jej wolności”. Lecz paszport reżymowy uniemożliwia danie wyrazu temu stanowisku.

W sensie jurysdykcji księży polscy podlegają miejscowym biskupom. Kardynał Heenan z całą pewnością nie zabroni polskiemu księdzu w Londynie odprawienia nabożeństwa za ludzi pomordowanych przez Bezpiekę. Nie zabroni również danemu księdzu zapisania się do Stowarzyszenia Kombatanów czy jakiegokolwiek innej polskiej niepodległościowej organizacji. Nie miejscowy biskup angielski czy francuski zabroni księdzu z reżymowym paszportem uczestniczenia w organizacjach niepodległościowych. Zabroni mu tego jego własny konsul reżymowy, któremu podlegają wszyscy obywatele PRL przebywający zagranicą.

Innymi słowy ksiądz z paszportem reżymowym jako kapłan podlega miejscowemu biskupowi — jako Polak podlega miejscowemu konsulowi PRL. Miejscowy biskup jest jego władzą kościelną — miejscowy konsul PRL jest jego władzą polityczną i państwową. Emigracja i jej dążenia w tym układzie nie wchodzą w ogóle w grę, ponieważ ksiądz reżymowy bez względu na jego prywatne uczucia i poglądy — nie jest emigrantem tylko obywatelem PRL, który jak wszyscy obywatele Polski Ludowej podlega swojej ambasadzie czy swojemu konsulatowi.

Doprawdy trudno jest pojąć jak można mieć w tej sprawie jakiegokolwiek wątpliwości. Paszport nie jest świstkiem papieru — tylko dokumentem państwowym, który niesie z sobą pewne określone uprawnienia i pewne określone obowiązki.

Polak obywatel brytyjski czy francuski — może brać pełny i aktywny udział w politycznym i społecznym życiu emigracji — ponieważ demokracje zachodnie nie wymagają od swych obywateli konformizmu ideologicznego czy politycznego. To samo dotyczy Polaków obywateli amerykańskich. Kazimierz Wierzyński od wielu lat był obywatelem amerykańskim. Lecz równocześnie był nie tylko patriotą i wielkim poetą lecz również aktywnym polskim emigrantem politycznym.

Jeżeli ktoś nie chce — czy nie może ze względów praktycznych — być bezpaństwowcem jak niżej podpisany — winien przyjąć obywatelstwo państwa demokratycznego, które nie identyfikuje przyjęcia nowej lojalności z wyrzeczeniem się polskości w jej sensie niepodległościowym i wolnościowym. Z tych przyczyn wszystkie organizacje i instytucje emigracyjne przyjmują do swego grona Polaków obywateli państw demokratycznych — a nie przyjmują Polaków obywateli PRL, czy Polaków obywateli sowieckich. Zarówno bowiem Polska Ludowa jak Związek Sowiecki wymagają od swych obywateli określonego konformizmu ideologiczno-politycznego, który jest nie do pogodzenia z postawą emigracji.

Każdy naród ma taką hierarchię kościelną na jaką zasługuje. Rząd w

Polsce jest narzucony — lecz hierarchia nie jest narzucona. Skąd się bierze hierarchia? Hierarchia wywodzi się z laikatu. Jaki laikat taka hierarchia.

Otrzymałem wiele listów i telefonów od poważnych ludzi. Owe wypowiedzi można streścić w jednym zdaniu: „zasadniczo *Kultura* ma rację — lecz nie należy poruszać tej sprawy by nie szkodzić kościołowi w Polsce”.

Filozofia polskiego laikatu — w mojej opinii skrajnie fałszywa — streszcza się w powyższym zdaniu.

Albo mamy rację i wówczas nie szkodzimy ani kościołowi ani nikomu. Albo nie mamy racji i wówczas trzeba to udowodnić nie kłótwami tylko argumentami.

Szkodzą kościołowi i narodowi ci, którzy — choć są przekonani o słuszności danej sprawy — milczą. Milczą w 90 wypadkach na sto ze strachu o swą pozycję, posadę, opinię.

Rezultatem takiej postawy emigracyjnego laikatu — w danym wypadku laikatu londyńskiego — jest cytowany na wstępie tego artykułu list Dekanatu. Jest rzeczą wykluczoną by katolicki biskup angielski skierował list utrzymany w takim tonie do jednego z miesięczników czy tygodników brytyjskich. To jest dosłownie nie do pomyślenia. Kościół katolicki w Anglii prowadzi dialog z innymi wyznaniem chrześcijańskimi i swoim własnym laikatem. Wystarczy rzucić okiem na katolicką prasę brytyjską by się przekonać, że ów dialog prowadzony jest na niezmiernie wysokim poziomie. Nikogo się nie potępia, nikomu nie zarzuca się „godzenia w dobro ojczyzny” — tylko prowadzi się kulturalną dyskusję w oparciu o rzeczowe argumenty.

Ponieważ w świecie anglosaskim po obu stronach Atlantyku wychodzi dziesiątki tysięcy pism — pozycji żadnego z owych pism nie można przyrównać do pozycji *Kultury* w świecie polskim. Na emigracji wychodzi pism niewiele i wskutek tego *Kultura* tak jako ośrodek wydawniczy jak i polityczny zajmuje pozycję specjalną. Przyznają to nawet komuniści z Gomułką na czele.

Jednak 17-tu księży, którzy przyjęli jednogłośnie tekst listu Dekanatu — uznało „odpowiedź merytoryczną za zbyt cenną”. Z *Kulturą* nie ma powodu dyskutować — wystarczy oskarżyć ją o „godzenie w dobro narodu”.

Nie będziemy licytować się kto lepiej służy dobru narodu. Lecz patrząc na setki zeszytów *Kultury* i setki tomów „Biblioteki *Kultury*” — jestem spokojny o wyrok Historii w tej sprawie.

Duch soborowy — duch porozumienia poprzez dialog i argumentację — nie dotarł jeszcze do Polskiej Misji Katolickiej w Londynie. Kłótwy i potępienia byłyby dziś poza kontekstem współczesności — gdybyśmy nawet kwestionowali pewne artykuły wiary. Lecz *Kultura* nie kwestionuje artykułów wiary tylko poruszyła problem, który ma charakter polityczno-społeczny a nie teologiczny.

Ponieważ ów problem usiłuje się zaciemnić — niech mi wolno będzie stwierdzić co następuje.

Jeżeli młody ksiądz przyjeżdża z Polski do Rzymu czy Paryża by pogłębić swoje studia i wrócić do Kraju — jest zrozumiałe, że zatrzymuje paszport reżymowy. Ów ksiądz ani nie udaje emigranta ani nie zamierza zostać emigrantem. Wykształceni, światli księża są potrzebni w Polsce i w takim wypadku decyzji powrotu nikt nie może kwestionować.

Sytuacja ulega zmianie jeżeli dany ksiądz postanawia pozostać zagranicą i pracować z emigrantami i wśród emigrantów. W Związku Pisarzy czy w

Związku Dziennikarzy nie może pracować Polak, który jako obywatel PRL podlega władzy zwierzchniej i opiece reżymowej Ambasady czy reżymowego konsulatu. Czy duszpasterstwo jest czymś mniej ważnym niż Związek Pisarzy czy Związek Dziennikarzy?

Wydaje mi się, że emigracja ma pełne prawo moralne stosowania tych samych zasad w odniesieniu do swoich księży, jakie stosuje do swoich pisarzy, uczonych czy działaczy katolickich. Żaden świecki, emigracyjny działacz katolicki nie mógłby mieć paszportu reżymowego. Dlaczego inną miarką mierzyć mamy świeckich działaczy katolickich na emigracji a inną miarką księży katolickich? Czy powołanie kapłańsko-misyjne jest tańsze od powołania pisarza emigracyjnego czy uczonego?

I punkt ostatni. Nie wymagamy od naszych księży niczego więcej i niczego innego niż wymagamy od samych siebie. Chleb emigracyjny bywa gorzki — lecz jeżeli ktoś chce pracować wśród nas musi go dzielić **z nami**.

REALIŚCI I ROMANTYCY

W prasie emigracyjnej dokonano sekcji Czechosłowacji. Upadek Dubczeka i rewolucji reformatorskiej — musi każdego napełnić smutkiem i gorczyzą. Lecz obrzydliwa jest postawa tych publicystów, którzy jakby z poczuciem osobistego triumfu — kraczą: „Myśmy od początku mówili, że tak się musi skończyć”.

Znam ludzi na emigracji, którzy choć mogli i powinni byli należeć do AK — siedzieli zaszyty na wsi i nie wzięli udziału w walce z okupantem. Ci panowie twierdzą, że to wszystko było niepotrzebne wykrwawianie narodu, że Powstanie Warszawskie musiało tak się skończyć jak się skończyło itp. Oczywiście daleko łatwiej jest powiedzieć sobie, że się jest realistą niż tchórzem.

Osobiście jestem przeciwnikiem romantycznej szkoły w polityce. Byłem i jestem zwolennikiem pragmatyzmu i realizmu. Równocześnie twierdzę, że naród, który składałby się z samych realistów nigdy by do niczego nie doszedł. Realizmu można domagać się od wszystkich — poświęcenia i ofiary od niewielu. Lecz jeżeli tych niewielu braknie — sam realizm nie wystarczy. Naród, który nie produkuje ludzi zdolnych do ofiary i poświęcenia — nie jest w stanie prowadzić realnej polityki. Przez ofiarę rozumiem nie tylko śmierć na barykadach. Są ofiary trudniejsze. Podjęcie programu reform i głoszenie owego programu z przeświadczeniem osobistej klęski — jest ofiarą wyższego rzędu niż śmierć w ogniu walki. Obrona słusznej sprawy podjęta z narażeniem własnej pozycji — bez widoku bezpośredniego sukcesu — jest również poświęceniem wyższego rzędu.

Największy sympatyk Dubczeka nie może określić go mianem realisty. To był człowiek, który mierzył siły na zamiary — nie zamiary podług sił. Jestem niemal pewien, że nie przewidywał inwazji — ponieważ był zbyt rusofilski. W przeciwnieństwie do Husaka, który jest chłodnym, bystrym, kalkulującym realistą — Dubczek mimo swej brzydoty jest człowiekiem wielkiego osobistego uroku i ludzkiego, serdecznego ciepła. Tym porywał tłumy.

Dubczek przegrał. Tacy ludzie zawsze przegrywają. Lecz coś niezmiennie istotnego po nich pozostaje.

Na filmie dokumentacyjnym — nagrany przez Brytyjczyków przed inwazją — młody człowiek w czasie zebrania w jednej z fabryk w Pradze powiedział do mikrofonu: „Mam 23 lat i pierwszy raz w życiu uczestniczę w prawdziwym zebraniu politycznym”.

Oczywiście ów młody człowiek mówił w imieniu całego pokolenia wychowanego w epoce stalinizmu. Nagle ci młodzi zobaczyli, że zebranie partyjne w fabryce nie musi być chórem potakiwaczy — tylko swobodną dyskusją.

Dubczek przekonał Czechosłowaków, że partia może rządzić w oparciu nie o policję lecz o społeczeństwo, że rząd i partia nie boją się wolnego słowa, że Czechosłowacy zdolni są do wypracowania ustroju który łączyłby wolność z socjalizmem.

To jest wizja, której nikt nie wymaże z pamięci Czechosłowaków. To jest wizja z którą będzie się musiał liczyć każdy realista na kierowniczym stanowisku.

Postęp nawet w demokratycznych społeczeństwach polega na tym, że reformy głoszone przez niekonformistów a czasem buntowników — podejmowane są w następnym pokoleniu przez realistów i stają się elementem „ustalonego porządku rzeczy”. Sufrażystki rozpędzono policją i uważano powszechnie za histeryczki a dziś Barbara Castle jest czołowym ministrem w rządzie brytyjskim. Historia jest utkana z tego rodzaju przykładów.

O realizmie danej reformy nie decyduje sąd współczesnych realistów. Dana idea przestaje być koncepcją buntownika-niekonformisty i przekształca się w realny program wówczas, gdy popiera ją większość społeczeństwa. W tej fazie realisci ową buntowniczą koncepcję włączają ochoczo do swej platformy wyborczej.

Naród, który nie jest suwerenny znajduje się w szczególnej sytuacji. W Czechosłowacji głosy Rosjan liczą się więcej niż głosy Czechosłowaków. Lecz kardynalną wadą imperializmu jako organizacji politycznej jest fakt, że imperializm jest niezdolny do ewolucji. Jeżeli danej kolonii przyzna się status dominialny — to wiadomo, że następna faza musi oznaczać pełną niepodległość czyli koniec imperializmu.

Dubczek do czasu inwazji działał tak jakby Czechosłowacja była dominium a nie kolonią sowiecką. Kolonializm angielski upadł najpierw w Londynie a dopiero w następnej kolejności w Indiach czy w Burmie. W Anglii przyszedł do steru rząd Labour Party, który zastąpił rząd koalicyjny z Churchilllem jako premierem. Socjaliści postanowili przyznać Indiom niepodległość. Postąpili mądrze i dalekowzrocznie.

Na daleką metę jedynym kryterium realizmu w polityce jest poparcie większości. To nie my jesteśmy utopistami. Breżniew, Gomułka, Ulbricht są utopistami. Nas jest przytłaczająca większość w Polsce, w Rosji, w Czechosłowacji — w całym bloku wschodnim. Jest rzeczą śmieszną uważać się za realistę i równocześnie głosić, że większość nie dojdzie do głosu. Większość w końcu zawsze dochodzi do głosu.

Romantycy typu Dubczeka spełniają niezmiernie ważną rolę. Otwierają ludziom oczy. Czesi byli prorosyjscy, bo Rosjan nie znali. Dziś, dzięki Dubczekowi, Rosjan poznali i przestali być prorosyjscy.

W zdrowym, normalnie funkcjonującym społeczeństwie musi być zachowana określona proporcja pomiędzy romantykami a realistami. Jeżeli w danym społeczeństwie — nie zagrożonym od zewnątrz — obserwujemy zbyt wielu ludzi protestu, romantyków, bojowników przegranych spraw — ozna-

cza to, że realiści w danym społeczeństwie w gruncie rzeczy nie są realistami. Nie są realistami ponieważ nie widzą wzbierającej fali przemian dojrzających do reformy.

W społeczeństwach wtłoczonych siłą w system imperialny — owa normalna równowaga pomiędzy romantykami a realistami jest zachwiana. Potencjalni romantycy stanowią większość. Gdyby jutro na przedpolu Warszawy pojawiły się kolumny sowieckich czołgów — trzeźwi, realistyczni warszawiacy rzuciliby się do budowania barykad i w kilka godzin przemieniliby się w czystej krwi romantyków.

W polskim systemie — bez względu na ustrój — istniała zawsze przepaść pomiędzy romantykami a realistami. Polacy nie rozumieją, że romantycy i realiści potrzebni są jedni drugim i winni stanowić zespół a nie dwa zwalczające się obozy. Nie mamy tradycji centrum — tzn. ludzi „złotego środka”. Z tej przyczyny — tak w oczach polskich romantyków jak i realistów — każdy kompromis jest zawsze „zgniły”.

W ruchu Labour Party istnieją w tej chwili daleko bardziej zasadnicze różnice opinii niż w polskim socjalizmie na obczyźnie. Lecz w Labour Party nie brak ludzi centrum, którzy godzą realistów z romantykami. Ci ludzie „zlepiają” Labour Party i chronią ją przed rozłamem.

Dla realisty polityka to jest gra rzeczy możliwych. Dla romantyka polityka to jest zwycięstwo słusznej sprawy bez względu na ofiarę. Realista nie jest cynikiem tylko człowiekiem, który waży straty i zyski.

W narodach, które były i są krzywdzone, jak Polacy, Czesi czy Węgrzy, słuszność sprawy liczy się więcej niż rachunek strat i zysków. Być może Husak uczyni wszystko co możliwe w obecnej sytuacji. Być może ma większą szansę niż ktokolwiek inny wynegocjować ewakuację wojsk sowieckich z Czechosłowacji. Lecz za 10 czy 20 lat o Husaku będzie głucho i cicho. Natomiast Dubczek będzie figurował w każdym podręczniku historii Czechosłowacji. I słusznie — ponieważ otworzył nowy rozdział w dziejach swojego narodu.

Historia wschodnioeuropejska jest często niesprawiedliwa dla realistów. To się nie zmieni dopóki nie odzyskamy i nie utwalamy niepodległości. Wówczas właściwa społecznie proporcja pomiędzy realistami a romantykami wróci do normy.

GENERAŁ DE GAULLE

Mój pewien pro deGaulle'izm wywodzi się z faktu, że mieszkam w kraju anglosaskim. Masowa krytyka (kupą mości panowie!) budzi we mnie zawsze sprzeciw. Oczywiście są wyjątki. *The Guardian*, który prenumeruję od dziesiątków lat — pożegnał de Gaulle'a pięknym artykułem wstępnym.

Człowiek wybitny, zwłaszcza gdy jest zawodowym wojskowym, wydaje się zawsze niedemokratyczny. Czy demokracja jest tylko dla przeciętniaków i czy wybitność wyłącza postawę demokratyczną?

Niewątpliwie wielu mężowie stanu wykazują większe skłonności autokratyczne niż politycy przeciętnej miary. Lecz cóż powiedzieć o przeciętnych politykach, których konstytucja państwowa wyposaża w olbrzymią władzę. Stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych zaprojektowane jest dla wybitnego męża stanu. Lecz nie wszyscy prezydenci odpowiadali tym wymogom.

W mojej subiektywnej ocenie de Gaulle był największy w wojennym Londynie.

Myśmy mieli szosę zaleszczycką i Kuty. Francja jednak poniosła nie tylko błyskawiczną klęskę, ale wyprodukowała również Vichy. Francja była daleko większym mocarstwem niż Polska i dlatego efekt i wstyd klęski były niewspółmiernie większe.

De Gaulle nie tylko wziął to brzemień na siebie lecz pod nim się nie ugiął. Choć początkowo nie dysponował żadną armią — zachowywał się ze wspianą dumą jakby reprezentował mocarstwo. Powiedział wówczas: „Jestem słaby i dlatego muszę być nieugięty”. Generał nie miał wobec Anglosasów cienia kompleksu niższości, jaki w wojennym Londynie cechował wielu Polaków. De Gaulle wydobyl Francję z dna klęski i poniżenia i przywrócił jej naczelne stanowisko na kontynencie.

Dziś wszyscy politycy są ekonomistami. (Nie jestem pewien czy tu nie leży jedno z głównych źródeł permanentnego kryzysu gospodarczego). Ekonomistą jest premier Wilson i większość jego ministrów — ekonomistą w pewnej mierze jest Pompidou, były generalny dyrektor banku Rotschilda.

De Gaulle ekonomistą nie jest. W czasie konferencji prasowych jego wypowiedzi na tematy ekonomiczne bywały czasem żenujące. Lecz generał — człowiek stary i „wczorajszy” — miał jednak zrozumienie problematyki społecznej. Partycypacja jest właściwą drogą pod warunkiem, że ową drogą pójdzie się dostatecznie daleko. Partycypację jako próbę „ożenienia kapitalizmu z socjalizmem” — wykpiwają ci, którzy nawet nie wiedzą jak ożenić związki zawodowe z partią socjalistyczną.

Z odejściem generała de Gaulle’a zamyka się okres próby restauracji Europy. Europy z potężną Francją, świadomą swych historycznych przeznaczeń.

De Gaulle — jak wielu wielkich ludzi — łączył realizm a nawet chytróść i bezwzględność z romantyzmem. Wydaje mi się, że to jest ostatni europejski mąż stanu tego typu. Jego romantyzm był anachronizmem. Przywrócenie Europie jej świetnej roli sprzed pół wieku jest mrzonką. Może czeka nas wojna czy wojny — lecz na pewno nie czeka nas nowy traktat wersalski. Nie w Wersalu decydować się będą losy Europy i świata.

LONDYŃCZYK

Szanowny Panie Redaktorze!

Już po raz trzeci napisał p. Mieroszewski o naszych duszpasterzach emigracyjnych z paszportami PRL. Sprawa jest bardzo aktualna i wymaga szerszego omówienia, zwłaszcza kiedy się zważy, że prasa kościelna albo milczy, albo zamiast piórem posługuje się kadzielnicą, stosownie do swego starego zwyczaju. Fakt posiadania takiego właśnie paszportu jest rzeczą zrozumiałą, ale mentalność która często kryje się pod nim i kompromisy do których zmusza, winny być jasno napiętnowane.

Emigracja nie jest Krajem. Ma ona swoje oblicze i swoje zadania. Ksiądz przyjeżdżający z Polski na pracę wśród emigracji nie powinien przenosić „polskiej rzeczywistości socjalistycznej” na nasze tereny. Pierw-

szym jego obowiązkiem jest poznać nasze problemy i respektować nasze wartości ludzkie o które walczymy. Otóż coraz częściej zdarza się, że paszport PRL i chęć wyjazdu do Kraju przysłaniają nie jednemu z nich widok na tę właśnie rzeczywistość. Wielu z nich cierpi na chroniczną „afonię” w sprawach zasadniczych. Słowu „polityka” daje się wtedy swoistą treść. I tak, „robie niem polityki” jest dla nie jednego wszystko to co może mu utrudnić otrzymanie z łaskawych rąk reżymu wizy wjazdowej na wakacje do Polski. Cnotą obywatelską staje się milczenie, a nawet ataki na emigrację polityczną i na „polski Londyn”. Przykładem takiego właśnie pojmowania „polityki” jest ów O. Edward misjonarz, który w wydawanym we Francji „Głosie Katolickim” pozwolił sobie na „a-polityczne” w jego mniemaniu wystąpienie, za które na pewno dostanie wizę wjazdową na wakacje w Polsce. Wyciągnął on „a-polityczny” wniosek ze słów ewangelii, że „nie można dwóm panom służyć”, dlatego potępił p. Mieroszewskiego i wybrał Gomułkę — odrzucił polski Londyn i wybrał reżymową Warszawę.

Od duszpasterza emigracyjnego żądamy bezpartyjności i respektu wartości ludzkich o które walczymy. Winien on mieć tyle odwagi i wolności ducha, by wejść w każde środowisko emigracyjne — nawet to sanacyjne — i tam spełnić swą specyficzną rolę. Ksiądz pracujący społecznie — a takim jest zawsze duszpasterz emigracyjny — nie może być a-polityczny, tzn. nie może żyć poza nawiasem wielkich problemów ludzkich, które każdemu z nas stawia polityka. Stronienie od całych ugrupowań emigracyjnych jest aktem politycznym. Odmówienie odprawienia nabożeństwa za ofiary Katynia lub Jana Palacha itp., to są akty polityczne i na dodatek — jeżeli się nie mylę — moralnie złe. Odkąd zamilczanie zbrodni weszło w katechizm polski? Odkąd przyznawanie się do obozu niepodległościowego przestało być cnotą obywatelską?

Dziwna rzecz, że ci, którzy w tych sprawach boją się uprawiać „politykę”, uważają za akt „a-polityczny” obecność na przyjęciu w ambasadzie PRL! Zamula się własne sumienie sloganami, czy sofizmatami o podwójnej lojalności, podczas gdy w rzeczywistości mamy tu do czynienia z kompromisem, który ułatwia... otrzymanie wizy wjazdowej do Polski.

Emigracja nie jest Krajem! Duszpasterz emigracyjny jest dla emigrantów. Pracuje w ich sytuacji i podziela ich sposób życia. Jeżeli tego nie potrafi — niech wraca skąd przyszedł!

Protest ks. prałata Brandysa i księży dekanatu londyńskiego, jest moim zdaniem, typowo polskim *qui-pro-quo*. Nikt nie odmawia klerowi polskiemu, tak niższemu, jak i wyższemu, patriotyzmu. Nie uważamy jednak, że o tych sprawach z „boską nieomylnością” mogą mówić tylko oni. To są zjawiska czysto ludzkie o których z równą kompetencją może mówić i człowiek świecki. Dlatego możemy zakwestionować posunięcie hierarchii, która nowego biskupa dla emigracji wprowadza na drogę „afonii”. Oczywiście — święcenia biskupie przy grobie św. Wojciecha, w bazylice prymasowskiej itd., mają swój romantyczny urok. Odpowiedzenie rodziny w nowych fioletach, też jest wielką przyjemnością — ale wydaje się nam, że trzeba umieć z nich zrezygnować, kiedy trzeba za nie płacić aż taką cenę! Czy emigracji nie stać na biskupa, który by, jak niezapomniany arcybiskup Gawlina, umiał w pełnej wolności ducha powiedzieć wszędzie to co myśli?

Zresztą nie jesteśmy znowu tak dalecy od prawdy, bo św. Wojciech w Gnieźnie odmówił swego udziału w takim właśnie załatwieniu sprawy i wszystko skończyło się w prywatnej kaplicy prymasowskiej. Podtrzymujemy opinię, że sakra nowego biskupa w kościele św. Stanisława w Rzymie, czy u św. Andrzeja Boboli w Londynie miałyby dla emigracji wymowniejsze znaczenie w dzisiejszej sytuacji. Kiedy się jest na kierowniczym stanowisku, wtedy trzeba się zdecydować płacić za wolność wielką cenę!

Łączę wyrazy poważania,

Jacek DYWIŃSKI

Demokracje ludowe po Pradze

Czy najazd na Czechosłowację, w sierpniu 1968 r., był tylko *accident de parcours*, jak oświadczył p. Debré, minister spraw zagranicznych Francji czy też kamieniem milowym na drodze „demokracji ludowych” do wolności i do demokracji? Jaką odpowiedź dać trzeba co do przyszłości krajów włączonych w Jałcie do imperium sowieckiego: hegemonia sowiecka, powrót do nacjonalizmu, integracja regionalna?

Nad tymi problemami — i nad wielu innymi, związanymi z aktualną sytuacją i przyszłością Europy Wschodniej — obradowało w Bruges, w dniach 27, 28 i 29 marca br., kollokwium zorganizowane przez Kolegium Europejskie. Od sześciu lat, na wiosnę każdego roku, Collège d'Europe organizuje „Tydzień Bruges”; po raz pierwszy tematem kollokwium była Europa Wschodnia. W kollokwium wzięło udział ok. 250 osób należących do 22 narodowości. Wśród uczestników (naukowcy, dyplomaci, funkcjonariusze Wspólnot Europejskich, dziennikarze i pewna ilość „niestowarzyszonych”) było wielu młodych, w tym studenci Kolegium Europejskiego w komplecie. Trzeba bowiem dodać, że wiosenne kollokwia urządzone są z myślą zetknięcia studentów Collège d'Europe z osobistościami ze świata politycznego i naukowego, a także dania im okazji wypowiedzenia się na tematy będące przedmiotem ich studiów i prac naukowych.

Kolegium Europejskie obchodzi w roku bieżącym swoje dwudziestolecie. Jego absolwenci zajmują obecnie stanowiska w życiu politycznym i naukowym w swoich krajach, i to po obydwu stronach „żelaznej kurtyny”! Na marcowym kollokwium dawni uczniowie Kolegium znajdowali się także wśród referentów, jak np. Piotr Wandycz z promocji 1950/51 r.

Celem niniejszej notatki nie jest streszczenia dwunastu referatów, obejmujących kilkaset stron maszynopisu i długich a ciekawych dyskusji po każdym z nich. Odsyłamy Czytelników do sprawozdania, które ukaże się za kilka miesięcy w formie książkowej i obejmie — poza tekstami referatów — także stenogram z dyskusji.

Po powitaniu uczestników przez Rektora Kolegium (od jego założenia w 1949 roku) prof. dr Hendrika Brugmansa przemówił p. Jean-François Deniau (Francuz), członek Komisji Wspólnot Europejskich, w zastępstwie jej prezesa p. Jean Rey. Sprawy stosunków między E.W.G. (tzw. Wspólnym Rynkiem) a Europą Wschodnią należą do resortu p. Deniau, ale w jego przemówieniu nie było żadnych rewelacji; stwierdził on to co wszyscy wiedzą: Sowiety i ich satelici potrzebują wymiany handlowej i współpracy gospodarczej ze Wspólnotą, ale nie chcą jej oficjalnie uznać z powodów politycznych.

Dyrektor kollokwium, prof. Jerzy Łukaszewski z Collège d'Europe, wygłosił referat wprowadzający. Po krótkiej analizie okresu po-stalinowskiego, mówca stwierdził, że wydarzenia w Jugosławii (1947), w Polsce i na Węgrzech (1956), a wreszcie w Czechosłowacji (1968) są najlepszym dowodem jedności Europy, w której obie jej części — wolna i nie-wolna — mają to samo podejście do zasadniczych wartości cywilizacyjnych.

Przypominając analizę kryzysów świata kapitalistycznego, przeprowadzoną w roku 1961 przez XXII kongres Partii Komunistycznej ZSSR, prof. Łukaszewski stwierdza, że Praga jest symbolem trzeciej fazy kryzysów... świata sowieckiego. Ponieważ przyspieszanie tempa procesów historycznych obejmuje także obóz (a może już dzisiaj... obozy!) komunistyczny, trzeba zmienić analizę statyczną krajów za żelazną kurtyną na nową formę analizy, zawie-

rającą element zmian. Inną istotną uwagą tego wstępnego referatu było stwierdzenie, że wypadki w krajach Europy Wschodniej nakazują wprowadzenie różniczkowania między rządami i reżymami w tym regionie, a narodami.

Profesor Piotr Wandycz z uniwersytetu Yale, mówił o świeżych tradycjach poszukiwania jedności Europy Wschodniej: projekcie konfederacji polsko-czeskiej, negocjowanym w czasie wojny w Londynie i projekcie konfederacji jugosłowiańsko-bułgarskiej, który zrodził się na miejscu, w głowach komunistycznych przywódców. Obydwa zostały storpedowane przez Sowiety.

Druga ekipa dyskutowała jednocześnie nad ciekawym referatem p. Hansa Kuby, wyższego urzędnika Parlamentu Europejskiego: „Kraje Europy Wschodniej w układzie bi-polarnym świata”. Ponieważ obydwie ośrodki przyciągania: Waszyngton i Moskwa mają w swoim zasięgu część narodu niemieckiego, nic dziwnego, że referent poświęcił sprawie niemieckiej część swego przemówienia. Choć sam Niemiec, wywołał protesty ze strony niemieckich uczestników Kollokwium.

Następny dzień poświęcił pierwsza ekipa na dyskusję nad problemem nacjonalizmu w Europie Wschodniej: gdzie są jego korzenie, jakie są jego aktualne przejawy, jakie są jego perspektywy historyczne. Kolejnymi referentami byli prof. Ghita Ionescu, Rumun z Londynu i prof. E. Lemberg, Niemiec z Frankfurtu. W dyskusji podkreślono, że dla zdobycia (lub odzyskania) niepodległości i demokracji, jedne narody Europy Wschodniej zdecydowały się iść przez niepodległość ku demokracji (Rumunia), a drugie — przez demokrację do niepodległości (Czechosłowacja); w jednym i w drugim wypadku, nacjonalizm był jednym z głównych motorów działania. Poza teoretyczną częścią dyskusji, w której dzielono nacjonalizm na obronny (dobry) i ofensywny (zły), próbowano analizować jakie są realne szanse nacjonalizmu w Europie Wschodniej. Inny problem: czy należy się specjalnie cieszyć, na długą metę, z nacjonalizmem w granicach Imperium Sowieckiego? Czy nie będzie on w pewnym momencie siłą, która zahamuje procesy integracyjne, a więc opóźni wyrównanie różnic między wschodnią i zachodnią częścią naszego kontynentu, choćby zakładając poważną ewolucję a nawet zniknięcie komunizmu. A co się stanie, jeżeli nacjonalistyczna treść zostanie wlana w ramy komunistycznego ustroju, co w końcu nie jest takie niemożliwe?

Równocześnie druga ekipa dyskutowała nad referatem p. Johna Pindera (Anglika) „Czy Komekon jest wschodnioeuropejskim 'Wspólnym Rynkiem'?” Koreferentem miał być p. C. Konecny, członek Instytutu Polityki i Ekonomii Międzynarodowej w Pradze, ale nie mógł on przybyć do Bruges.

Analizę przeszkód na drodze do integracji Europy Wschodniej przeprowadził prof. J. Montias z uniwersytetu Yale. Jego koreferentem był prof. V. Pavlat ze Szkoły Ekonomicznej w Pradze. Lektura tekstu p. Pavlata jest najlepszym dowodem jak trudno jest w obecnych warunkach urządzać dyskusję Wschód-Zachód, nawet na poziomie profesorów uniwersytetu; prof. Pavlat ogromną uwagę poświęcał nomenklaturze, usiłując udowodnić, że analizę sytuacji w Czechosłowacji można przeprowadzać tylko „od wewnątrz”, a nie przez porównanie z sytuacją na Zachodzie.

Na posiedzeniu plenarnym, jakie zakończyło Kollokwium referat prof. Zbigniewa Brzezińskiego z Instytutu Badań Spraw Komunistycznych przy uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, był niejako syntezą Kollokwium i nawiązywał do poprzednio wygłoszonych referatów. Swoją analizę zakończył prof. Brzeziński pięcioma propozycjami działania na rzecz zbliżenia Europy Wschodniej do Zachodu:

1. — należy występować z propozycjami generalnymi, których celem byłoby także ułatwienie regionalizacji Europy Wschodniej; trzeba się starać, aby kraje te były objęte coraz gęstszą siecią zinstytucjonalizowanej współpracy wielostronnej (a nie dwustronnej, jak to sugerował gen. de Gaulle

na przykład); trzeba prowadzić dyskusje nie oficjalne na najwyższym szczeblu, ale na wszystkie tematy, włącznie z wojskowymi, w ramach instytucji typu „Bilderberg”; można też wykorzystywać istniejące struktury, jak np. OECD;

2. — należy uznać przewagę sowiecką w Europie wschodniej jako realną i stwierdzić, że nasze zainteresowania w dzisiejszej Europie Wschodniej są po prostu częścią ogólnego interesu, aby stosunki Wschód-Zachód stały się bardziej ustabilizowane;

3. — nie trzeba sztucznie stwarzać dylematu: jedność albo odprężenie. Możemy zmobilizować opinię publiczną dla jedności Zachodu jedynie w wypadku jeżeli ta jedność będzie jednocześnie użyta dla budowy nowego układu stosunków Wschód-Zachód. (Tu prof. Brzeziński chwali Willy Brandta za jego pozytywną odpowiedź na propozycje sowieckie konferencji europejskiej, zawarte w apelu budapesztańskim);

4. — wszystkie propozycje powinny obejmować jednocześnie i Sowiety i kraje Europy Wschodniej, a nie koncentrować się na podsycaniu narodowego komunizmu; wszystkie projekty powinny być otwarte dla krajów Europy Wschodniej;

5. — jest coraz bardziej konieczne, aby polityka europejska postawiła sobie szersze niż dotychczas cele i zadania, żeby objęła swoim zasięgiem takie dziedziny jak technologia, rozwój gospodarczy, problemy urbanistyczne i socjalne, które są ściśle związane z życiem najbardziej rozwiniętych krajów. Problemy te trzeba oddzielić od ideologii i od polityki i przerwać, na ile to możliwe, ich związek z zimną wojną.

Udział Polaków (o różnych paszportach oczywiście!) w Kollokwium był dosyć duży. Na dziesięciu obecnych, wliczając w to trzech referentów, było dwu młodych naukowców świeżo przybyłych z Polski, dwu dziennikarzy, dwie osoby reprezentujące zawody nie-polityczne i... jeden Ubek w charakterze dyplomaty reżymowego. Dziwne jest, że nie widzieliśmy na tym Kollokwium nikogo z tzw. sfer politycznych polskiego Londynu*.

Kollokwium w Bruges było chyba pierwszą tak szeroką i dobrze przygotowaną dyskusją na aktualne tematy Europy Wschodniej, jaka od dłuższego czasu miała miejsce.

J. J.

* Poza Polakami naliczyliśmy ok. 15 osób różnej narodowości mówiących po polsku.

Odra, Dunaj i Łaba

Polska i Czechosłowacja skazane są na ścisłą współpracę gospodarczą. Tego podstawowego faktu nie zmieniła inwazja i udział wojsk PRL w najeździe na Czechosłowację. Rok ubiegły był okresem największego, od czasu wojny, kryzysu w stosunkach między Warszawą a Pragą. Rok obecny przynosi pewną poprawę, przynajmniej w dziedzinie gospodarczej. Cały marzec poświęcony był intensywnym rozmowom polsko-czechosłowackim, którym zresztą nie nadawano specjalnego rozgłosu.

4 marca rozpoczęły się w Warszawie rozmowy Komisji Mieszanej w sprawie wspólnych inwestycji, po czym — 13-go — podpisano protokół dotyczący wydobycia i sprzedaży miedzi. 8 marca delegacja PRL, z członkiem Biura Politycznego B. Jaszczukiem na czele, udała się do Pragi. Po powrocie tej delegacji zarówno w Pradze, jak i w Warszawie ogłoszono, że jeszcze w roku bieżącym handel polsko-czechosłowacki wzrośnie o 14 % w porównaniu z rokiem ubiegłym i Czechosłowacja zajmie drugie miejsce wśród partnerów handlowych PRL, za Sowietami, ale po raz pierwszy od czasu utworzenia NRD, przed Niemcami Wschodnimi.

24 marca oba kraje zawarły umowę o współpracy w przemyśle budowlanym i materiałów budowlanych, a 25 marca podpisano nowy kontrakt o żegludze towarowej na Odrze. Odżyła też sprawa wspólnej budowy kanału łączącego Odrę z Dunajem i Łabą.

Rozpatrując dokładniej zawarte porozumienia nie trudno się zorientować, że po raz pierwszy oba kraje starają się podejść do rozwiązania szeregu problemów gospodarczych wspólnie i w sposób kompleksowy. Chodzi tu przede wszystkim o problemy gospodarki wodnej i komunikacji, inwestycji surowcowych i kooperacji przemysłowej.

Do niedawna Polska była nierównym partnerem handlowym dla Czechosłowacji. Przez wiele lat powojennych Polska potrzebowała czechosłowackich maszyn i urządzeń przemysłowych, nie mając w zamian za to wiele do zaoferowania. Czechosłowacja

wywoziła więc do Polski maszyny i środki inwestycyjne, a Polska do Czechosłowacji surowce i żywność. Jeszcze w początkach lat sześćdziesiątych ekonomiści czechosłowaccy narzekali, że eksport do Polski osłabia tendencje do unowocześniania przemysłu czechosłowackiego, ponieważ Polska zgłasza zapotrzebowanie na przestarzały sprzęt i maszyny.

Obecnie sytuacja zmieniła się znacznie. Przed dwoma laty eksport maszyn i sprzętu przemysłowego z Polski do Czechosłowacji przekroczył 50 % ogólnej wartości polskiego eksportu, a obecnie wynosi prawie 62 %. Na terenie Czechosłowacji działają już przedstawicielstwa i stacje obsługi Motoimportu, Polmotu, Metalexportu, Polmexu i Elektrimu. Czechosłowacja sprowadza z Polski maszyny elektryczne wysokich i niskich napięć, obrabiarki do metali, maszyny tekstylne, rolnicze, budowlane, drogowe i przemysłu drzewnego, dźwigi, środki transportowe, konstrukcje stalowe i wagony kolejowe. Tak więc stosunki handlowe między obu krajami nabierają powoli charakteru współpracy między dwoma poważnymi kompleksami przemysłowymi.

Wszystko to nie oznacza, by ta współpraca nie napotykała na trudności. Przeciwnie, pierwsze dwadzieścia lat wspólnej przynależności do „oboju socjalistycznego” oddaliły od siebie oba kraje i to zarówno w dziedzinie politycznej, jak i gospodarczej. Wynikało to ze specyficznej polityki Moskwy, która zwalczała wszelkiego rodzaju porozumienia regionalne i narzucała poszczególnym krajom własne wzory rozwoju gospodarczego, co doprowadziło w końcu lat pięćdziesiątych do powstania niemal identycznych struktur gospodarczych w poszczególnych krajach, nie uzupełniających się, lecz konkurencyjnych.

Lata sześćdziesiąte przyniosły jednak pewne rozluźnienie stosunków gospodarczych w Bloku i stopniowe przestawianie się na koncepcje integracyjne, oparte na wzajemnym uzupełnianiu się, a nie identyczności struktur.

Takie uzupełnianie się jest tylko wówczas korzystne dla obu stron, jeśli ich poziom rozwoju gospodarczego jest wyrównany. Rozbudowa przemysłu w Polsce — dwukrotnie większej od Czechosłowacji pod względem ludnościowym i terytorialnym — postawiła oba kraje na równej stopie. Łączny potencjał gospodarczy Polski i Czechosłowacji przewyższa w wielu kluczowych dziedzinach potencjał Francji, a niemal dorównuje potęgze W. Brytanii, czy Niemiec Zachodnich.

Nic więc dziwnego, że w Warszawie i w Pradze istnieje, przynajmniej u niektórych ludzi świadomość jak wielkie korzyści przyniosłaby ściślejsza współpraca.

Ani Polska, ani Czechosłowacja nie mają jednak dobrych doświadczeń z dotychczasowej współpracy prowadzonej w ramach i na warunkach panujących w RWPG. Te warunki zakładały przede wszystkim nadrzędność współpracy ze Związkiem Sowieckim, który zawsze miał pierwszeństwo w dostawach. Czechosłowacja była zresztą od wielu lat największym, obok Niemiec Wschodnich, dostawcą sprzętu przemysłowego dla wszystkich krajów

Bloku Komunistycznego. Eksport czechosłowacki stale przekraczał import co powodowało tworzenie się poważnych nadwyżek. Ze względu jednak na niewymienialność walut i brak efektywnego systemu rozliczeniowego nadwyżki czechosłowackie były w praktyce kredytem i to bezpłatnym, a często i bezzwrotnym, udzielanym jej komunistycznym partnerom. Trudno się dziwić, że w tej sytuacji ekonomiści czechosłowaccy starali się przestawić swój eksport na bardziej opłacalne rynki zachodnie.

Inwazja położyła temu kres. Czechosłowacja znów musi się opierać na rynkach wschodnioeuropejskich. Związek Sowiecki, choćby z racji swego potencjału, będzie zawsze największym „partnerem” handlowym Czechosłowacji. Drugim były już tradycyjnie Niemcy Wschodnie, jako kraj najbardziej uprzemysłowiony. Teraz jednak rośnie znaczenie Polski.

Można się w tym oczywiście dopatrywać względów zarówno politycznych, jak i ekonomicznych. Z gospodarczego punktu widzenia istnieje szereg konkretnych przyczyn zbliżenia polsko-czechosłowackiego.

Przede wszystkim rozwój przemysłu i technologii wytwarza we wszystkich uprzemysłowionych rejonach świata tendencje do prowadzenia gospodarki wykraczającej poza granice państwowe.

Po drugie — w ramach RWPG nie udało się ustalić wspólnych kryteriów powiązań gospodarczych.

Po trzecie — istnieją ściśle geo-ekonomiczne powiązania między Polską, a Czechosłowacją. Główne okręgi przemysłowe obu krajów położone są w bliskim sąsiedztwie. Sprzyja to kooperacji przemysłowej i skłania do wspólnego rozwiązywania zasadniczych problemów. Tymi problemami są: zaopatrzenie przemysłu w wodę i surowce i rozwiązanie trudności komunikacyjnych. Jeszcze jednym wspólnym problemem odczuwanym przez oba kraje jest brak kapitałów.

Zaopatrzenie przemysłu w wodę może być rozwiązane tylko przez kompleksowe rozwiązanie całej gospodarki wodnej w rejonie Śląska i Moraw. I w związku z tym właśnie odżyła sprawa wspólnej budowy kanału Odra-Dunaj-Łaba. Ciekawe szczegóły podaje na ten temat *Głos Ludu*, pismo polskie wychodzące w Ostrawie, w Czechosłowacji. W wywiadzie przeprowadzonym z przedstawicielem miejscowych władz pismo to podaje trzy interesujące informacje, a mianowicie, że istnieje już i pracuje Komitet budowy kanału, w którego skład wchodzi przedstawiciele wielkich przedsiębiorstw, przeważnie hut, że jeszcze w tym roku mają się rozpocząć rozmowy na ten temat na szczeblu rządowym, oraz że przewiduje się zainteresowanie kapitału zachodniego tą inwestycją.

Przedstawiciel władz miejscowych twierdzi, że gdyby kanał nie został wybudowany, to już w roku 1980 zaczęłoby brakować wody.

Budowa tego rodzaju kanału rozwiązuje również szereg problemów komunikacyjnych. Już teraz Odra jest ważną drogą dla Czechosłowacji. 24 marca Polska i Czechosłowacja podpisały we Wrocławiu umowę przewidującą, że w roku bieżącym drogą wod-

na przez Odrę przetransportowanych będzie 300 tysięcy ton towarów czechosłowackich. Czechosłowacja dysponuje w Szczecinie własnymi urządzeniami portowymi i własną, choć niewielką, flotą. Z Warszawy nadchodzą obecnie wiadomości, że władze PRL liczą się z przyznaniem Czechosłowacji większych uprawnień w Szczecinie. Byłoby to uzasadnione, gdyby doszło do budowy wielkiej drogi wodnej łączącej Odrę z Dunajem i Łabą. Taka inwestycja wymagałaby oczywiście wielkich nakładów kapitałowych. Ramię kanału na Odrze miałoby wynosić 70 km. długości, na Dunaju 209 km., a na Łabie 180. Zainteresowanie inwestorów zachodnich tą inwestycją mogłoby znacznie przyspieszyć jej realizację.

Pozostaje oczywiście pytanie, czy Sowiety zgodziłyby się na tak daleko idące plany inwestycji polsko-czechosłowacko-zachodnich. Mamy aż zbyt wiele dowodów, że Rosja nie pozostawia swobody wyboru kierunku rozwoju gospodarczego swym „partnerom”. Ale Rosja nie pozwalając na takie eksperymenty niewiele ma do ofiarowania w zamian. Od dłuższego już czasu mówi się o reformie RWPG, a w szczególności o integracji gospodarczej Bloku opartej na uzasadnionym ekonomicznie „podziale zadań produkcyjnych”. Jak dotychczas nie przyjęto jednak żadnego konkretnego programu i wszystko pozostaje w zawieszeniu. Na ostatnim II Plenum KC B. Jaszczuk powiedział wyraźnie, że w braku programu specjalizacji w RWPG nie można ustalać narodowych planów gospodarczych na okres dłuższy niż 3 czy 4 lata. Planowanie wielkich inwestycji jest w tych warunkach bardzo utrudnione. Nie jest więc wykluczone, że ten fakt zastoju w RWPG skłania kierownictwo PZPR-u do powrotu do dawnej koncepcji tzw. „Żelaznego Trójkąta” — to jest ściślejszej współpracy gospodarczej między Polską, Czechosłowacją a Niemcami Wschodnimi. Wkrótce po wizycie Jaszczuka w Czechosłowacji delegacja PZPR z Gomułką na czele udała się do Niemiec Wschodnich. Skład tej delegacji, w której znalazł się również Jaszczuk, wskazuje, że omawiane były w pierwszym rzędzie problemy gospodarcze. Taki „regionalizm” pozwoliłby na rozwiązanie wielu problemów gospodarczych wszystkich trzech zainteresowanych krajów, a na pewno nie byłby wymierzony przeciw Rosji. Zbliżenie między Pragą, Warszawą a Wschodnim Berlinem zmieniałoby jednak w poważnym stopniu układ sił i dotychczasową strukturę RWPG i tego Rosja może się obawiać.

Jan KROK-PASZKOWSKI

Z sowieckiej prasy

Pojawienie się w druku nowych rozdziałów powieści laureata nagród Nobla i Lenina — Michała Szołochowa — poprzedziła intensywna kampania propagandowa. Mówiło się powszechnie, że Szołochow ma „trudności z cenzurą”, że szereg pism odmówiło druku jego książki, gdyż była zbyt „antystalinowska”. Te plotki przeniknęły również do prasy zachodniej.

W połowie marca nowe rozdziały powieści pt. „Oni walczyli za Ojczyznę” ukazały się na szpaltach *Prawdy*. Rzeczywiście mowa w nich jest przede wszystkim o Stalinie, o stalinowskim rządzeniu krajem w przededniu wojny. Jasno i po prostu Szołochow odpowiada na zapytania o przestępstwa Stalina. Zresztą dla niego nie są to przestępstwa, a tylko chwilowe zaćmienie, które trwało od 1937 roku do 1941 i urwało się akurat w wigilię wojny: „Towarzyszowi Stalinowi po mału zaczynają się otwierać oczy... Rozgryzł on już Jeżowa... Może i Berię zacznie powoli rozgryzać”... — oświadcza jedna z postaci powieści.

Akcja nowych rozdziałów powieści rozgrywa się w naddońskiej stolicy, do której na urlop do brata przyjeżdża generał, który odsiedział ponad 4 lata w więzieniu i łagrze na skutek fałszywego oskarżenia.

On to wykłada poglądy Szołochowa o Stalinie i stalinizmie. Generał porusza w rozmowie z bratem „metody przesłuchiwań, zeznania wymuszane torturami, metody prowadzenia śledztwa, porządki w łagrach”. Zgadza się, że „tak rzeczywiście było”. Oświadcza jednak, że to nie jest ważne i że nie ma się nad czym zastanawiać. Ważne jest co innego: „kto jest winien”. I odpowiada: „Dla mnie to jest całkowicie jasne, jego (tj. Stalina) źle informowali, nieprawdopodobnie oszukiwali, po prostu mistyfikowali ci, komu było powierzono bezpieczeństwo ojczyzny, poczynając od Jeżowa...”

I tak wszystko jest w porządku, wszystko jest doskonale. Stalin tak jak w swoim czasie ojczulka cara — oszukiwali niegodni ministrowie, a on sam niczemu nie był winien — czysty i sprawliwy.

Szołochow nie tylko rehabilituje Stalina, nie tylko oczyszcza go z winy za przestępstwa popełniane w okresie jego rządów, ale nawet je usprawiedliwia i tłumaczy ich konieczność.

Generał wraz z bratem idą nocą na ryby i na brzegu rzeki spotykają starego pastucha, jakby to można powiedzieć: przedstawiciela ludu. Pastuch, który słyszał o aresztowaniu generała, dopytuje się dlaczego go tak szybko uwolniono. I dodaje, że jego synową, która w 1933 roku — by uratować dzieci od głodowej śmierci — wzięła z pola 4 kilogramy przenicy — skazano na

10 lat. A generał, który dopiero co wyszedł z łagru, ze zdumiewającym spokojem oświadcza: „Jeśli by za 4 kilogramy skradzione go ziarna nie skazywano, to kradliby po 4 cetnary na człowieka”.

Nie było zapewne w rosyjskiej literaturze drugiego pisarza, który by domagał się rozstrzeliwania swoich kolegów-pisarzy za ich twórczość, który by usprawiedliwiał 10-letnie ciężkie roboty za kradzież 4 kilogramów zboża dla umierających z głodu ludzi.

W swoim opowiadaniu „Paschalnyj krestnyj chod” Aleksander Sołżenicyn jest przerażony widokiem współczesnej młodzieży sowieckiej. Czyż może być ona inna mając takich duchowych przewodników jak Szołochow i inni?

O praktycznym wprowadzeniu w życie myśli wypowiedzianych przez Szołochowa mówi partyjny pracownik, W. I. Załużnyj, w notatkach zatytułowanych „Dla twórczości nie ma granic” (*Oktiabr*, nr 3, 1969). Tytuł rzeczywiście charakterystyczny. Lepiej o Stalinie piszą chyba tylko w Tiranie. W prasie sowieckiej *Oktiabr* doszedł w tym sensie do granic możliwości. „Co to właściwie znaczy pojęcie leninowskiego stylu pracy? — mówi w zamysleniu jeden z rozmówców (Notatki partyjnego pracownika Załużnego pisane są w formie „Platońskich Dialogów”).

— Jak to co? Przypomnij sobie Stalina: rewolucyjny rozmach, rzeczowość... „Prawda, jak pamiętamy, u Stalina mówiło się o rosyjskiej rewolucyjnej dynamice i amerykańskiej rzeczowości, ale najważniejszym nie jest prześcignięcie nieważnych dzisiaj Amerykanów, ale to, że tak jak za dawnych dobrych czasów: leninowski styl to praca metodami stalinowskimi”.

— Jak to się mówi — jesteśmy w domu.



Głównym tematem zagadnień międzynarodowych, który zajmuje czołowe miejsce w prasie, są Chiny. IX Zjazd chińskiej kompartii, albo jak to pisała prasa sowiecka „Ogólnochiński IX Zjazd K.P.Ch. — wywołał wzmożoną falę artykułów, komentarzy oskarżeń i żalów pod adresem chińskich przywódców. Trzeba jednak stwierdzić, że najcięższe oskarżenia i najordynarniejsze wymysły znajdujemy w artykułach zagranicznych autorów, jak np. Bułgara D. Pejczynowa czy Ceyłończyka Aszoki Kadataskottaja, którego książkę „Człowiek, Bóg czy sfinks. Polityczny portret Mao Tse-tunga” w pięciu numerach drukowała *Literaturnaja Gazieta*.

Wykorzystywanie dziennikarzy zagranicznych dla atakowania wrogów Związku Sowieckiego, to stara wypróbowana taktyka stalinowskiej propagandy. Tak na przykład najbardziej obrzydliwy pamflet na Tito napisał w swoim czasie francuski publicysta René de Jouvenel. Zresztą wchodnia mądrość głosi: dlaczego gospodarz ma czekać, skoro ma psa.

Oświadczenie TASS'a, zamieszczone w całej prasie, podsumowuje rezultaty IX Zjazdu K.P.Ch. Jeśli jednak w „nieoficjalnych” artykułach zagranicznych publicystów oskarża się Mao

Tse-tunga o stałe naruszanie ustalonej przy pomocy Kominternu linii partyjnej, jednym słowem za niechęć podporządkowania się dyktatowi Moskwy, to obecnie komunikat TASS'a wyraża w pierwszym rzędzie niepokój, że „represje i czystki w partii i w kraju będą się wzmaczać”. Jednocześnie TASS imiennie wylicza tych chińskich *leader*ów, których Mao odsunął od kierownictwa, jak gdyby ich biorąc pod swoją opiekę. W tym spisie „prawdziwych” (z moskiewskiego punktu widzenia) chińskich komunistów zwraca uwagę nazwisko Wan Mina, długoletniego przedstawiciela K.P.Ch. w Kominternie, wiernego wykonawcy stalinowskich dyrektyw.

Czytając w prasie sowieckiej o zjeździe chińskich komunistów trudno opędzić się myśli, że to wszystko już było. Porównajmy dwa zjazdy IX Zjazd K.P.Ch. i XVIII Zjazd W.K.P.(b). Jeden z nich ustabilizował zwycięstwo Mao a drugi Stalina. Mao pomiędzy VIII a IX Zjazdem przeprowadził rewolucję kulturalną, rozprawił się ze swymi przeciwnikami i całkowicie zmienił skład Komitetu Centralnego, obsadziwszy go oddanymi sobie ludźmi. Ależ przecie on tylko powtórzył to co zrobił między XVII a XVIII Zjazdem (od 1934 do 1939 roku) Stalin, który rozstrzelał 51 członków K.C., z 71 wybranych na XVII Zjeździe. Chwilowo trudno jest ustalić czy Mao przybliżył się do tego rekordu. Ze starego składu K.C. Stalin zachował jedynie 16 wiernych sobie paladynów, Mao niewielu więcej. W oświadczeniu TASS'a nie przypadkowo mówi się, że „represje i czystki w partii i kraju” — w Chinach, będą kontynuowane. Przecież one trwały i po 1939 roku w Związku Sowieckim. Autorzy tego oświadczenia niewątpliwie wiedzą, że mówią o sprawach analogicznych. Różnica polega jedynie na tym, że jak twierdzi TASS „głównym oparciem grupy Mao jest armia”. Możliwe. Ale jednak czy to jest gorsze od NKWD, która była główną podporą grupy Stalina?

Prowadzona w prasie sowieckiej propaganda antychińska spowodowana jest nie tylko odległymi strategicznymi celami, ale również zbliżającą się światową konferencją partyj komunistycznych. Z myślą o tej konferencji wypuszczono gruby tom „Trockizm — wróg leninizmu”. Temu tomowi poświęcona jest „teoretyczna” rozprawa w *Komuniście* (Nr 3) i popularna, w masowym tygodniku *Ogoniok*. W *Komuniście* znajdujemy lakoniczną formułę, która pozwala nam przewidzieć linię walki z partią chińską na światowej konferencji. Formuła ta brzmi: „Trockizm był i pozostaje najgroźniejszym wrogiem leninizmu, ZSSR i całego światowego ruchu komunistycznego”.

Mogą więc odetchnąć z ulgą i imperialiści i zachodnioniemiecycy odwetowcy i rewizjoniści, a nawet syjoniści: głównym wrogiem ZSSR jest trockizm.



W związku z ogłoszeniem projektu ustawy o gospodarstwie kołchozowym, który opracowywano przez cztery lata, w prasie

ukazało się dużo ciekawych informacji o wiejskim gospodarstwie, które przypomina chorego na raka, pocieszającego się, że mu z każdym dniem jest lepiej i lepiej. Ponieważ na chorobę nie ma lekarstwa, leczy się on u znachora. Jefim Dorosz w swoim „wiejskim dzienniku”, wydrukowanym w 1 i 2 numerach *Nowego Mira* z bieżącego roku, bardzo trafnie mówi o tych znachorskich metodach, przy pomocy których partia usiłuje leczyć chore na raka kołchoźnicze gospodarstwo. Dorosz pisze o przewodniczącym kołchozu, który „przeżył w swoim życiu i wczesne siewy i głęboką, na 24 centymetry w całej Rosji, orkę i króliki i wielokłosową pszenicę, a teraz właśnie przeżywa kukurydzę”. Te wszystkie cudowne lekarstwa od królików i kukurydzy do ziem dziewiczych — nie pomagają. W latach 1965-1968 przeciętnie w całym Związku Sowieckim kołchoźnicy zbierali około 12 cetnarów z hektara. Jest to prawie że 2 razy mniej niż w indywidualnym i daleko nieprzodującym gospodarstwie rolnym polskim. Do tego, jak zaznacza się w nrze 3 *Nowego Mira*, 17 % całej produkcji gospodarstwa wiejskiego brutto dają państwu działki przyzagrodowe, które reprezentują 3 % powierzchni uprawnej ziemi. Na tych działkach kołchoźnicy produkują 60 % całego zbioru kartofli brutto, 73 % jaj i 42 % mięsa. Jednym słowem cały kraj w znacznym stopniu karmi działki przyzagrodowe, przeżytek zacofanych, kapitalistycznych form gospodarki wiejskiej.

W miesięczniku *Oktiabr*, obrazując socjalistyczne kierownictwo gospodarcze, mówi się o skutkach zagospodarowania ziem dziewiczych. Autor artykułu cytuje książkę F.T. Morguna „Myśli o ziemiach dziewiczych”: „To zaczęło się mniej więcej po 1958 roku. Sprzeczne i często bezsensowne rady i polecenia przychodziły do rejonów, do gospodarstw, stale i periodycznie... W latach 1959-1961 więcej niż połowa zagospodarowanych ziem dziewiczych została dotknięta klęską zachwaszczenia. Pasożyty (osty) objęły w 1961 roku 7 milionów hektarów, w 1964 — 11 milionów hektarów, czyli 70 % całej powierzchni uprawy zbóż. W niedługim czasie przyszła kara: Z wielkich obszarów wiatry zwiewały górną warstwę ziemi... albo na odwrót zostawały one zasypywane piaskiem. Jednym słowem nadeszła katastrofa podobna do tej, która w swoim czasie dotknęła dziewicze ziemie Kanady”. Autor artykułu twierdzi co prawda, że znaleziono na to lekarstwo: Decyzje plenum KC w październiku 1964 i w marcu 1965. Wiadomo jednak, że przyroda mniej chętnie podporządkowuje się decyzjom plenum KC niż dziennikarze. I trudno uwierzyć, że zniszczone w ciągu 8 lat Kazachska i Syberyjska ziemie odrodziły się jak na skinienie różdżki czarodziejskiej na drugi dzień po usunięciu ze stanowiska 1 sekretarza KC, twórcy epopei ziem dziewiczych, Nikity Chruszczowa.

◆

Miesięcznik *Znamja* od chwili swego powstania zwraca specjalną uwagę na armię i problematykę wojskową. W ostatnich numerach pisma specjalnie ciekawe są notatki sowieckiego woj-

skowego specjalisty w północnym Wietnamie, W. Kuplewachskiego. Są to notatki zawodowego wojskowego, opisującego ze znawstwem działalność wyrzutni rakietowych, znajdujących się pod jego opieką, i rzeczowo omawiającego działalność amerykańskiego lotnictwa. „Często słyszy się pytanie, — pisze on — „czy Amerykanie w tej 'lokalnej', jak to oni nazywają wojnie, walczą z całkowitym wysiłkiem wojennym, czy jest to tylko poligon, na którym wypracowują taktykę działalności swojego lotnictwa i wypróbują nową aparaturę rakietową”. Czytając notatki W. Kuplewachskiego dochodzi się do wniosku, że Wietnam to poligon nie tylko dla Amerykanów.

A jednak o ileż bardziej ludzkie są te notatki zawodowego wojskowego, nie mówiąc już że ciekawsze, w porównaniu z notatkami zawodowego dziennikarza Jurija Żukowa, który nie dawno zwrócił na siebie uwagę artykułami-donosami na Czechosłowację. „Widzę, słucham, piszę. Listy z frontu ideologicznej walki”. Tym pretensjonalnym tytułem opatrzył on swoje dzieło. Głównym celem Żukowa, który większość swego życia spędził na Zachodzie w charakterze korespondenta *Prawdy*, jest wykazanie jak było mu ciężko na tym przeklętym Zachodzie.

Notatki Żukowa to jakby rozwinięcie zabawnego wystąpienia Aleksandra Korniejczuka na posiedzeniu Związku Pisarzy Sowietów, osądzającym książki Aleksandra Sołżenicyna. Na sypiące się ze wszystkich stron zarzuty, że jego książki mogą być „wykorzystane” na Zachodzie, Sołżenicyn odpowiedział: „Dlaczego Zachód jest traktowany jakby jakaś wyższa instancja? Nigdy nie byłem na Zachodzie. Żyję w Rosji, piszę o Rosji”. Korniejczuk, który często jeździ po całym świecie, potraktował to jako aluzję do siebie i oburzył się: „Nie myślcie, że my jeździmy za granicę na odpoczynek. My jeździmy walczyć. My powracamy wymęczeni, wyczerpani”. I Żukow pisze przede wszystkim o tym, jak wyczerpywała jego siły walka na froncie ideologicznym.



Współczesna literatura sowiecka, jej wpływ na wychowanie kształtowanie, sowieckiego człowieka jest tematem zajmującym dużo miejsca na stronach pism i periodyków. Specjalnie w nrze 2 *Nowego Mira* temu zagadnieniu poświęcony jest najciekawszy materiał w artykule Natalii Iljinoj „Literatura a masowe nakłady”. Iljina analizuje książki wychodzące w fantastycznych nakładach, po 3 miliony egzemplarzy w *Roman Gaziecie*, i dochodzi do wniosku, że premiuje się i popularyzuje najbardziej niezdarne, najbardziej prymitywne, schlebające drobnomieszczańskiemu gustowi powieści. Jednocześnie nie ma dużych nakładów książek rzeczywiście zasługujących na rozpowszechnienie jak np. „Babij Jar” Kuzniecowa, „Prywocznoje dzieło” Biełowa, czy „Dwie zimy i tri leta” Abramowa.

Ma się rozumieć nie można zaprzeczyć, że i dobre książki ukazują się w wydawnictwach sowieckich. Jak to wygląda mówi o

tym w 3 nrze *Nowego Mira* W. Łakszyn, w recenzji z naukowej pracy pt. „Tekstologia utworów sowieckiej literatury”, wydanie 4-te. W tej pracy analizuje się teksty klasycznych pozycji sowieckiej literatury: „Czapajewa”, Furmanowa, „Wirinej” Sejfulinowej i inne. Okazuje się, że te książki, jak i wiele innych znanych książek pisarzy sowieckich, ukazują się nie w oryginalnym brzmieniu. Są one zmieniane albo przez redaktora, albo przez samego autora w przystępie autocenzury. Łakszyn pisze że np. powieść „Cement” Gładkowa była ostrugana przez autora do tego stopnia, że nie zostało w niej bodaj ani jednego słowa z pierwotnego tekstu. W szczególności żona głównego bohatera, Dasza, zwolenniczka wolnej miłości, stała się przykładną żoną.

O tym do czego prowadzi tego rodzaju polityka kulturalna świadczy bardzo interesujący artykuł Ł. Oczalowskiej pt. „Rozmyślanie nad listami”, ogłoszony w *Izwestiach*. Dziennikarka melancholijnie analizuje listy, przychodzące do redakcji. Cóż piszą czytelnicy, których dzień w dzień karmi się artykułami Jurija Żukowa, *Roman Gazietę* i przeredagowanymi nie do poznania klasykami sowieckiej literatury? Piszą oni: „Ja bym zakazał wyświetlania wszystkich zagranicznych filmów, a częściowo i naszych”. „Trzeba zakazać tej głupiej mody na krótkie sukienki”. „Czy już nie czas bardziej wnikliwie kontrolować zawartość książek?” „Słusznie stawia się problem kar. Zdarzało się, ojciec przeciągnie pasem, długo pamiętasz. I niepotrzebnie wyśmiewa się zwyczaj smarowania drzwi dziegiem. Może to jednej nie pomoże, za to inne będą w strachu”.

Piszą szeregowi sowieccy obywatele, nowi sowieccy ludzie.

Adam KRUCZEK

ZAPRENUMERUJ ZESZYTY HISTORYCZNE

Refleksje rocznicowe

Jest nas w Polsce 240 tysięcy na kilkunastu wyższych uczelniach w całym kraju. 240 tysięcy młodych ludzi, urodzonych w Polsce Ludowej. Wojnę znamy z literatury, nie przeżyliśmy stalinizmu, a Październik roku 1956 jest tylko bajką opowiadaną nam przez starszych. Wmawiano nam przez 12 lat bezideowość, konsumpcyjny stosunek do życia, odmawiano prawa głosu w sprawach dotyczących nas samych. 12 lat temu rozpoczynaliśmy naukę w szkole podstawowej. Dwanaście lat biernej wegetacji i pogodnego marazmu to było całe nasze życie do marca roku 1968. Dziś jesteśmy starsi o rok. O rok znaczący wielokroć więcej niż tuzin poprzednich. W roku 1968 z bezosobowej masy rówieśników staliśmy się Pokoleniem. Pokoleniem marcowym.

Narodziny Ruchu

Rok to niewiele czasu. Nie pozwala na wszechstronną, rzeczową analizę, lecz daje podstawy do refleksji. Jacy byliśmy rok temu, a jacy jesteśmy dziś. Nie jestem socjologiem ani politykiem. Jestem — a właściwie byłem studentem — jednym z tych, których pobito 8 marca na Uniwersytecie, zatrzymany przez milicję na ulicy spędziłem 2 dni w areszcie, by wrócić na Uczelnię na strajk okupacyjny. Wraz z innymi przepisywałem po nocach ulotki i rezolucje, dyskutowałem do białego rana, patrzyłem i słuchałem i... dziwiłem się. Chyba nie potrafię się zdobyć na bezstronność. Mogę pisać tylko o tym co czuję i w co wierzę.

Próbuję dziś sam sobie odpowiedzieć na kilka pytań: Jak się to zaczęło? Czy mieliśmy świadomość celu naszego działania?

Dlaczego skazani byliśmy na przegraną? Czego wreszcie się nauczyliśmy? Skąd się więc wziął marzec?

Nie byłoby „wydarzeń marcowych” bez grupy „komandosów”, Czechosłowacji i — prawdopodobnie — bez spełnienia warunku trzeciego, prowokacji policyjnej.

Kim byli tzw. „komandosi”? W większości studenci Uniwersytetu Warszawskiego, młodzi, ideowi i zaangażowani, chyba ostatni polscy komuniści młodego pokolenia. Pewne umiejętności organizacyjne zdołali uzyskać w czasie działalności w Partii i ZMSie, zanim nie usunięto ich z tych organizacji za nadmiar myślenia i krytyczny stosunek do naszej społeczno-politycznej rzeczywistości. Po części dzieci „dobrych rodzin” zgrzeszyli tym, że choć mieli wszelkie warunki by stać się „złotą młodzieżą” wybrali inną przygodę, znacznie bardziej niebezpieczną — politykę. Dotychczas uważani za dziwaków nie mieli wśród nas szerokiego poparcia chyba dlatego po prostu, że uważali się za komunistów... Tymczasem, po jesiennych demonstracjach studentów w Pradze na styczniowym plenum KPCz odchodzi Novotny. I oto wbrew wpojonym nam przekonaniom ujrzeliśmy jak socjalizm na naszych oczach ulega ewolucji i u naszych południowych sąsiadów zaczyna nabierać ludzkiej twarzy.

Niektórzy mówią nawet coś o możliwości zniesienia cenzury przewencyjnej... A więc jest to możliwe i nie oznacza krwawej kontrrewolucji. Przecież w kraju tym rządzą nadal komuniści, którzy w dodatku nigdy nie cieszyli się takim poparciem. Brakowało jeszcze tylko elementu trzeciego — prowokacji — by postawić nas wobec wyboru. A tego nam władze nie poskąpiły. Dziś, znając dalszy rozwój wypadków, wiem że wybór ten, choć świadomie polityczny miał znaczenie głównie moralne. Był to bowiem jedynie wybór pomiędzy postawą zaangażowaną, a biernością. Wynik jego znamy, lecz skutków niesposób jeszcze ocenić. Zagadnieniu prowokacji poświęcono wiele rozważań. Chyba polegała ona przede wszystkim na okresowej względnej „liberalności” służby bezpieczeństwa, która umożliwiła nam przygotowanie wiecu w dniu 8 marca. („Niech sobie młodzi poszumiają, a my tu już z pałeczką czekamy”).

Dla ogromnej większości z nas dopiero brutalne rozpędzenie wiecu uniwersyteckiego stało się nakazem działania. Byliśmy nieprzygotowani, a nasi najbardziej aktywni koledzy zostali aresztowani w ciągu kilku pierwszych dni. Lecz nagle poczuliśmy się silni. Było nas bardzo dużo i czuliśmy to samo. Świadome, solidarne działanie rodziło radość i satysfakcję jakich nikt z nas dotąd nie doświadczył. Dotąd systematycznie upupiani, protekcyjnie klepani po ramieniu, dotknięci gombrowiczowskim kompleksem niedojrzałości, mogliśmy oto mówić głośno to co myślimy,

po raz pierwszy w życiu — publicznie. Zdawało nam się, że tworzymy Historię i z właściwą młodości naiwnością przypisywaliśmy sobie w niej przesadnie wielką rolę. Otworzyliśmy sobie przebojem drogę do świata ludzi dorosłych. Droga ta prowadziła przez bramę więzienia...

Początkowo wszystko było jasne, krzywda zbyt oczywista, by o niej dyskutować. Potem, na gorąco, powstawać zaczął program, na gorąco był dyskutowany i głosowany. Jak się okazało, czasu mieliśmy diabelnie mało. Kontrofensywa nabierała rozmachu.

Przegrana bitwa

Dziś wiemy już, że skazani byliśmy na porażkę. Władza nie mogła uznać naszych żądań. Ba, nie mogła pozwolić sobie na luksus dyskusji. Ta władza nie potrzebuje poparcia Społeczeństwa. Jest ono wysoce szkodliwe, bo zmusza do liczenia się z tymi, którzy nas popierają, a więc do ustępstw. Tego błędu wobec nas nie popełniono. Słabością naszą był dogmat legalizmu tkwiący u podstaw wszystkich podejmowanych działań.

Naszym zgromadzeniom staraliśmy się za wszelką cenę nadać status legalności, gorliwie odcinaliśmy się od „chuligańskich wybryków” ulicy i chowaliśmy się w salach naszych audytoriów, wreszcie uchwaliliśmy strajk, w czasie którego nie opuszczaliśmy zajęć (!). Użycie doraźnych haseł ekonomicznych — pomimo ustawicznie rosnących cen artykułów pierwszej potrzeby — wydawało nam się demagogią nie do przyjęcia, a wezwanie robotników do strajków solidarnościowych — przestępstwem, jakiego sumienie nasze nie byłoby w stanie znieść. Z takiej postawy, z naszego poczucia odpowiedzialności rodził się nakaz działania pozytywnego: „wolno krytykować, ale tylko jeśli przedstawi się program naprawy”. I jeszcze, gdy wylewano nam na głowy kubeł nieczystości próbowaliśmy się otrząsnąć i zachować spokój i rozwagę. Staliśmy na pozycjach spalonych. Nasi przeciwnicy nie mieli tych skrupułów. Musieliśmy wreszcie zrozumieć, że jesteśmy psim ogonem, któremu wydawało się, że może machać swym Panem. Walczyliśmy Słowami, a słowa te wpadały w ogromną, mielącą maszynę propagandy, która odzierała je z wszelkiego sensu i pozbawiała jakiegokolwiek znaczenia. Byliśmy bezbronni. Pozostał strach i gorzyc porażki. Nasza rola się skończyła a burza trwała dalej, ale już ponad naszymi głowami.

Dorośli

Otoczeni podszytą tchórzostwem życzliwością Ludzi Starszych, w działaniu byliśmy praktycznie sami i choć przegraliśmy, nie

była to klęska. Zwyciężyliśmy moralnie. Pokolenie naszych wychowawców pozbawiono nawet tej satysfakcji. Ich klęska była oczywista. Próbując ratować swe posady, lub w imię fałszywej lojalności umywali ręce mówiąc nam: Kochamy Was i szanujemy, jesteśmy z Was dumni, zachowaliście się wspaniale i słuszność była po Waszej stronie... Niestety, my nie możemy udawać, że nie wiemy co nam wolno a czego nie. Przez chwilę możemy być z Wami szczerzy, tylko prosimy Was, nie notujcie i nie powołujcie się na nas. Gdy budowaliśmy to Państwo z gruzów, nie wiedząc że urodzimy potworka, wtedy cieszyliśmy się po prostu z tego, że Polska istnieje. To co Was dziś spotyka jest oburzające, ale musicie zrozumieć, że z nami obchodzono się znacznie gorzej — nam wrywano paznokcie w UB. To prawda, że to my pozwoliliśmy potem pogrzebać zdobycze Października, ale przecież uniknęliśmy losu Węgier a Armia Czerwona jest dziś jeszcze potężniejsza. Tak mówili ludzie uczciwi. Co mówili inni — przeczytać mogliśmy w gazetach. Było tam wiele o NRF, Izraelu i imperializmie amerykańskim a nic o nas i naszych sprawach. Zadziwiająca dialektyczna jedność przeciwieństw: dla ratowania socjalizmu w Polsce na pomoc wzywa się NRF.

Exodus

Minął marzec, kwiecień, maj. Zbliżały się egzaminy. W milczeniu śledziliśmy cichą i zażartą walkę o partyjny „rząd dusz”, pracowaliśmy rozpamiętując nasze porażki, szacując rozmiary strat i oczekując wieści od przyjaciół siedzących w więzieniach. Świadomość nasza przyswajała sobie nowy element — przynależność rasową. Było to dla nas doświadczenie nowe. Nikt nas dotąd nie nauczył, że Żyda poznać można po długim nosie i po skłonności do knowań przeciw socjalizmowi i Polsce. Teraz dowiedzieliśmy się co znaczą egzotyczne słowa: chałat, pejs, goj czy jarmułka. Ogrom bzdury był tak wielki, że jak zahipnotyzowani odmienialiśmy w kółko: Żyd, Żyda, Żydem. Buntowaliśmy się przeciw tej nowej polityce narodowościowej, lecz nie mogliśmy nic zrobić. Antysemityzmu nie udało się nam zaszczepić. Gdy zaczęły się masowe wyjazdy na emigrację odprowadzaliśmy naszych kolegów i koleżanki na Dworzec Gdański, do pociągu odchodzącego do Wiednia o godz. 19.10. Nie przestawali być jednymi z nas i trudno było pogodzić się z tym, że opuszczają nas może na zawsze. Dręczyło nas pytanie: Czy oddając swe dowody osobiste milicji i zamieniając je na dokument podróży przestają być Polakami? A może to z nimi wyjeżdża stąd kawałek Polski?

Czechosłowacja

Gdy skończyły się wiece, dyskusje i szczere rozmowy, gdy na Uczelni rządził już niepodzielnie tępy terror, a najlepsi z nas siedzieli w pawilonach ulicy Rakowieckiej pozostała jeszcze jedna nadzieja — Czechosłowacja. Poprzez Pragę dowiadywaliśmy się w marcu o wydarzeniach we Wrocławiu, czy w Krakowie. Docierały do nas wiadomości o solidarnościowych manifestacjach studentów czeskich i słowackich. Ideały o które oni walczyli były najbliższe naszych własnych. Świadomość, że istnieje kraj w którym buduje się taki socjalizm, jaki my wyczarowaliśmy sobie z marcowych dyskusji, dodawała otuchy.

Pierwsze ostrzeżenia pojawiły się wcześniej. W marcu usunięto z Polski korespondentów *Młodej Fronty*, potem nastąpiło przekazanie Czechosłowacji noty protestacyjnej naszego rządu protestującej przeciw rzekomej „antypolskiej kampanii propagandowej”, rozwijającej się jakoby w kraju naszych południowych sąsiadów. Po tym preludium następne zdarzenia nabrały znaczenia znacznie bardziej złowieszczego. Zanim dokonano zbrodni, starannie przygotowano nas do roli jej świadków. Przeżywaliśmy ją na raty. Po raz pierwszy w początku maja, gdy w przededniu dnia zwycięstwa nad faszyzmem i święta narodowego Czechosłowacji na zwołanych we wszystkich instytucjach zebraniach partyjnych, lektorzy wydziałów propagandy zapowiedzieli interwencję a niektórzy posunęli się do podania dnia i godziny (czwartek 9. V. godz. 11-ta). Potem był haniebnny „list pięciu”, przez Polskę znów ciągnęły wojska i znów chwile optymizmu — Czarna i Bratysława. Gdy nastąpiło TO, pamiętnej sierpniowej nocy, byliśmy na wakacjach lub na praktykach, rozproszeni po całym kraju, niezdolni do protestu. Przyjęliśmy to jako klęskę osobistą i narodową ze wstydem, oburzeniem i rozpaczą...

Z i m a

Jesienią powróciliśmy na Uniwersytet, który nie był już tym samym uniwersytetem. Nadszedł Zjazd nam przynosząc tylko nowe aresztowania. Wiedzieliśmy, że jesteśmy spacyfikowani, naszpikowani szpiclami, że każdy nasz krok jest śledzony i notowany. Mogliśmy ufać tylko najbliższym. Mogliśmy jednak również patrzeć i słuchać. Odbywała się przed nami parada kukieł, drewniana pustka drętwej mowy, pompatycznie celebrowanej przez „towarzyszy” pragnących przekonywać innych o czymś, w co sami nie wierzą. Partyjni manipulatorzy organizowali zjazdy, kongresy i konferencje, trwała nieprzerwanie karuzela foteli, kończyły się

jedne kariery, rozwijały inne. Wszystko to przeszło obok nas. Z nami nie odważono się dyskutować, władza zadowolona się papierowym poparciem jakie ochoczo zadeklarowali jej „działacze” ZMSu i ZSP. Dyskusja z prawdziwymi reprezentatami naszego środowiska odbywała się na innym forum w pawilonach MSW, więzienia centralnego i w gmachu Sądu Wojewódzkiego. Rozliczano się z nami powoli, na zimno, kolejne procesy przynosiły kilkuletnie wyroki. Część z naszych kolegów wychodziła na wolność, wynosząc z sobą pozamykane śledztwa, gwarę więzienną i praktyczną znajomość Kodeksu Postępowania Karnego.

Rocznica

Za kilka dni znów miniemy datę 8 marca, dzień który nigdy nie będzie się już nam kojarzyć ze Świętem Kobiet. Będzie to nasz Polski Dzień Studenta. W mojej sprawie śledztwa nie było. Skończyło się na usunięciu z Uczelni. Praca zarobkowa, jaką musiałem podjąć, pasowała mnie na „dorosłego człowieka”. Dorosłem wraz z całym mym pokoleniem, które poznało swe Przeznaczenie i smak zakazanego owocu, o który warto walczyć. Jesteśmy ostrożniejsi niż przed rokiem. Wiemy, że telefon służy tylko do ustalenia godziny spotkania, wychodząc z domu sprawdzamy czy w którejś z kieszeni nie zabłąkała się jakaś stara, lub nowa ulotka, czy deklaracja. By porozmawiać umawiamy się w niewielkich grupkach zaufanych przyjaciół i mówimy o tym, że jednak było warto walczyć i że walka nie jest skończona, bo przyszłość Polski należy do ludzi takich jak Ty i Ja, i ci, którzy w imię swych ideałów i godności osobistej gotowi byli poświęcić swą wolność i karierę. Tym bardziej będą wolni gdy znów znajdą się wśród nas.

W stylu Termidora

Opinia publiczna w kraju, mimo że rok minął od wypadków marcowych 1968, nadal szuka odpowiedzi: jak doszło do tak sprawnej i szybkiej czystki wśród inteligencji, która rozmiarami przewyższyła wszystko co w tej mierze uprzednio osiągnięto w PRL? Jakakolwiek próba wyjaśnienia wymagałaby cofnięcia się do sytuacji politycznej ubiegłego dziesięciolecia, omówienia Ruchu 8 marca na tle walk frakcyjnych oraz środków represji podjętych wobec społeczeństwa grubo wcześniej, a wówczas być

może wypadki marcowe utraciłyby walor zaskoczenia, jaki im się przypisuje. Zostawiając na boku pokusę uogólnienia warto przekazać opinii publicznej szczególny dokument, który do tej pory nie został podany do wiadomości, dokument rzucający światło na kulisy zorganizowanej — i nie mającej nic z cech przypadkowości — nagonki. Mianowicie, kursuje w kraju wiele na ten temat relacji, których wiarygodność trudno podważyć, że w marcu ub.r. na samym wstępie rozgrywki określone koła ułatwiły sobie rozprawę z inteligencją rozsyłając szereg poufnych instrukcji w formie list proskrypcyjnych, aby zapobiec ewentualnej obronie prasowej osób szantażowanych, względnie z góry wyeliminować z życia politycznego osoby niewygodne. Podkreślenia wymaga fakt, że spisów podobnych sporządzono wiele; jeden z nich zawiera nazwiska, Amsterdamski, Assorodobraj, Augustyniak, Baczko, Bauman, Blass, Brus, Ehrlich, Eilstein, Ginsbert, Gwiżdż, Hirszowicz, Katz-Suchy, Kochański, Kołakowski, Kowalik, Kerszman, Krajewski, Lachs, Litwin, (J. i A.) Łaski, Manelli, Morawski, Naszkowski, Pomian, Rosner J., Sachs, Szacki, Zakrzewska, Żółkiewski. Powyższa lista osób, za wiedzą i aprobatą sekr. Kępy rozważana w KW i tam uzupełniona skierowana została drogą służbową do dyrekcji wydawnictw, redakcji dzienników i periodyków warszawskich. Nie ma dowodów, chociaż nie wykluczone, że lista 31 nazwisk dotarła poza stolicę do innych ośrodków prasowych; z zestawu nazwisk wynika, co skąd inąd znajduje potwierdzenie w faktach, że adresatem powyższej listy był PWN. Celem tego, jak innych tego rodzaju spisów, było obłożenie zakazem druku wymienionych; powtarza się (choć bez formalnych podstaw), że polecenia docierały do określonych instytucji bez wiedzy i zgody KC w lutym, marcu, kwietniu 1968. Jest znamienne, że mimo opanowania prasy, radia, telewizji przez uległych „partyzantom” agentów, uznano za konieczne zastosować nadzwyczajne środki ostrożności, jak powyższa instrukcja prewencyjna. Wiadomo, że na jednym z zebrań na UW, w czerwcu 1968, kiedy osobnik atakowany i ostatecznie usunięty tego dnia z partii — powołał się publicznie na spisy proskrypcyjne nadesłane m.in. do PWN i pozwolił sobie określić głośno ich charakter, bojówka twardych pomagierów „partyzanckich”, aktywnie działających na tym terenie (Lam, Rohoziński, Detko, Sroka i in.) zagłuszyła to bezprzykładne w tym okresie wystąpienie okrzykami: „Milczeć, to oszczerstwo!”, „Odebrać głos!”, „Obraża nas!”, „Wyrzucić, won!” itd. Obecny na tym zebraniu dr honoris pałka J. Z. Jakubowski, najwidoczniej zorientowany w poufnym charakterze instrukcji, dokładał wszelkich starań, aby bojówkę podtrzymać i kłopotliwy incydent zagłuszyć. Jak tyle razy do tej pory, wygłosił swe słynne i opatentowane przemówienie, zaczynające się od słów: „Ja co prawda z Mieciem nie we wszystkim się zgadzam, nie we wszystkim, ale...” I tutaj nastąpiła ułańska szarża Pana Profesora, stek hasel, wyzwisk, demagogicznych pretensji skierowanych hurtem do liberałów, kleru, syjonistów, rewizjonistów, literatów, Kołakowskiego, Kisiela, Baumana, Żółkiewskiego,

coś z ducha i stylu amalgamatów Termidora. Zarówno próby tuszowania praktyk przewencyjno-proskrypcyjnych, poufny charakter instrukcji, tryb ich rozpowszechniania, dyskrekcja jaką otoczono te i inne „półśrodki” stosowane w tym okresie przez Kępę i „partyzantów” — nasuwają wniosek, że w chwili rozesłania ta i inne jej podobne instrukcje miały charakter, formalnie rzecz biorąc, nielegalny i jakkolwiek szeroko kolportowane, winny były pozostać w zamierzeniu inicjatorów utrzymane w stanie półjawnym, przynajmniej do chwili, kiedy ani KC ani Gomułka już nie mogliby w żaden sposób podobnych zaleceń policyjnych zdementować, ani zapobiec ich rozpowszechnianiu. Wszelkie możliwe komentarze podkreślają decydującą rolę sekretarza Kępy przy realizacji tych praktyk, co skądinąd zgadza się z innymi faktami, znanymi powszechnie. Udział instruktorów KW w licznych czystkach na uczelniach, w urzędach, ministerstwach, teatrach przez licznych świadków został potwierdzony. Z inicjatywy Kępy i KW każdy protestujący lub nie zgadzający się z decyzjami władz, bezpartyjny i partyjny, udzielone miał prawo „odwołania” do KW, w praktyce do KD, i mógł złożyć w formie pisemnej swą wypowiedź na zebraniu, poza protokołem jaki drogą urzędową i tak tam docierał. W tym celu powołane zostały przez KW komisje odwoławcze, przed którymi delikwenci stawali. Na ogół o ile wiadomo, ludzie stanowczo podtrzymywali swe zdanie wygłoszone uprzednio — również i przed komisją. Temu należy przypisać m.in. rozmiary czystki, oraz ogólne zaskoczenie i popłoch.

Listy proskrypcyjne, akcja prowokacyjnych zebrań zwoltywanych w trybie przyspieszonym, nagła nagonka prasy zsynchronizowana z akcją wiecową, udział radia i telewizji w masowej kampanii personalno-szantażowej — wszystko to obliczone było na natychmiastowe sparaliżowanie opinii, zastraszenie społeczeństwa (częściowo chyba partii!), stworzenie faktów dokonanych, których przeciwne frakcje nie były w stanie odwrócić. Na podstawie znanych faktów, cała ta akcja zwana „marcową” weszła w fazę ostatecznych przygotowań i końcowych prób latem i jesienią 1967, chociaż zaplanowano ją wyraźnie już grubo wcześniej. W każdym razie, bez KW i sekr. Kępy niemożliwe było takie natychmiastowe wprowadzenie jej w życie. O ile wiadomo, niektórzy oficjalni adresaci tych list proskrypcyjnych, odpowiedzialni za ich realizację, chowali je pod sukno i nie podawali do wiadomości swoim pracownikom, inni, jako niedość zaufani, nie otrzymywali ich wcale, co nie znaczy, że w tych instytucjach takie paskudztwa nie krążyły wśród określonych kół nieoficjalnie. Co również nie znaczy, że ktokolwiek z wymienionych mógł w tym czasie zabrać publicznie głos w swej obronie.

Żałować należy, że lista powyższa jest niekompletna i że do tej pory innych podobnych spisów przewencyjnych nie ujawniono drukiem.

Sama zawartość listy i skład nazwisk wymaga próby rzeczowego omówienia, któremu stawia pewien opór fakt, że wymienieni nie reprezentują ani zwartej grupy politycznej, ani powiązanej

ze sobą grupy zawodowej. Intencja tych, którzy ją układali jest mimo to czytelna: stanowi przykład, jak w pośpiechu sporządzano prymitywny inwentarz „rewizjonizmu”. W tym bezładnym zbiorze nazwisk, gdzie historyk literatury występuje obok ekonomisty, prawnik obok filozofa, urzędnik ministerialny obok socjologa i profesor obok publicysty, da się wyłowić kryterium doboru. Kryterium to rozpada się na kilka wskaźników ściśle personalnych, którymi inicjatorzy wyraźnie kierowali się przy sporządzaniu chwalebnej instrukcji. 1-o: wszystkie nazwiska wymienione w liście stanowią zbiór publicystów partyjnych. 2-o: wszystkie nazwiska osób wymienionych łączą się w ten czy w inny sposób z gronem profesorskim UW, a większość z nich stanowią stali wykładowcy Uniwersytetu Warszawskiego (co daje pewne pojęcie o podobnych listach proskrypcyjnych przygotowanych przez policję w innych ośrodkach akademickich i o ich obfitości w skali całego kraju!). 3-o: wszystkie nazwiska osób wymienionych składają się na niepełny w tym kontekście wybór wykładowców usuniętych z katedr i pracy dydaktycznej oraz pozbawionych w praktyce kontaktu z młodzieżą studencką w toku wypadków marcowych i późniejszej czystki anty-inteligenckiej. 4-o: wszystkie nazwiska osób wymienionych łatwo odnaleźć w spisach treści miesięcznika *Nowe Drogi*, ponieważ byli oni stałymi i wieloletnimi współpracownikami organu teoretycznego KC PZPR. 5-o: wszystkie nazwiska osób wymienionych wskazują na długotrwałą przynależność partyjną proskrybowanych i w istocie rzeczy stanowili oni grono starych członków PZPR, a wielu z nich kadrę działaczy KC. 6-o niektórzy z wymienionych należeli do stałej ekipy wykładowców szkół partyjnych, kursów politycznych w rodzaju IKKN, INS, WSzP przy KC PZPR (Krajewski, Litwin, Kochański, Żółkiewski, Brus). 7-o: niektórzy z wymienionych łączeni byli w opinii publicznej z wydarzeniami Października i w latach 1956-1968 wykazywali pewne tendencje liberalne (np. Kołakowski, Assorodobraj, Baczko, Bauman, Brus, Pomian). 8-o: niektórzy z wymienionych wspierali czynnie studentów w latach 1966/7 w ich akcji solidarnościowej przeciwko relegacji kolegów. 9-o: niektórzy z wymienionych otwarcie poparli Ruch 8 marca i zachowali ludzką i zawodową lojalność w dniach strajków studenckich. 10-o: niektórzy z wymienionych mieli za sobą prelekcje i odczyty w klubach młodej inteligencji w latach 1956-1961 oraz wystąpienia w KKK. 11-o: dwóch spośród wymienionych „płatało” tytuł członka KC PZPR w marcu 1968 (Naszkowski, Żółkiewski). Niektórzy związani byli uprzednio swą pracą z ośrodkami dyplomacji PRL (Lachs, Katz-Suchy, Naszkowski). Krótko mówiąc z analizy dokumentu wynika wyraźny obraz końcowego etapu walk frakcyjnych, w toku których „partyzantom” udało się wyeliminować szerokie kręgi przeciwników z okresu Października. Jeśli listy podobne uzupełnić oficjalnymi komunikatami prasy codziennej z okresu marzec-czerwiec ub.r., to efekty czystki okażą się zgoła imponujące. Proskrybowani na przytoczonej liście w sposób przejrzysty układają się na linii aktualnej polity-

ki personalnej PZPR, która ostatecznie rozprawiła się z „żydomuną”. Konstatacja taka wynika z zestawienia faktów i daje pogląd na rzeczywisty kierunek ewolucji partii rządzącej. Uzupełnieniem do tego stanu rzeczy mogą być dokumenty innego rodzaju, prasa, radio w roku 1968, kierunek partyjnej propagandy przed V zjazdem, niestarannie tuszowane od końca ub.r.

Jaki wynika z tego wniosek? Swoisty Termidor zapoczątkowany w marcu 1968 jest procesem nieodwracalnym i niezbiecie przekreśla nadzieje na ewolucję pojęć — jedyny interesujący program głoszony na emigracji przez Juliusza Mieroszewskiego (*Ewolucjonizm* 1966, *Neurozy polityczne* 1967), który był naturalnie ciłą nadzieją inteligencji w kraju, młodzieży studenckiej, kół naukowych, artystycznych, dziennikarskich. Elementy Termidora da się wyśledzić na przestrzeni całego 12-lecia gomułkizmu, o czym przy innej okazji warto szerzej pomówić. Polityka Termidora, zwana obecnie neostalinizmem, z okresowymi przerwami prowadzona jest od 1965 roku (? — *Red.*) aż do chwili obecnej, a tylko słabnie i narasta okresami w okolicznościach, kiedy łatwo zauważyć wpływ sytuacji międzynarodowej na politykę wewnętrzną totalizmu. (Czechosłowacja, Chiny, Rumunia). Wniosek ten nie przekreśla całkowicie tezy o ewolucji pojęć w społeczeństwie totalnym, ale określa jej nieprzekraczalne granice: mentalność rządzącego „centrum” nie ulega zmianie na korzyść.

Nie o egalitaryzm chodziło

W miesięczniku *Kultura* (nr 12/1968) ukazał się artykuł Zygmunta Baumana „O frustracji i o kuglarzach”. Jest to w zasadzie pierwsze syntetyczne opracowanie wydarzeń, jakie rozegrały się w marcu 1968 roku w Polsce, jeśli nie liczyć niepublikowanych dotąd drukiem tekstów, rozpowszechnianych w środowiskach akademickich. Synteza zaproponowana przez Baumaną wydaje się przekonywająca w tej przede wszystkim części, w której przedstawia interpretację posunięć władz PRL i ich ewentualnie inspirującą rolę w przygotowaniu wydarzeń, zarazem jednak budzi wątpliwości w ocenie ideologii ruchu studenckiego i, szerzej, w obrazie społeczeństwa polskiego w okresie poprzedzającym przedwiośnie 1968 roku. W szczególności Bauman zdaje się przypisywać ruchowi studenckiemu pewien własny punkt widzenia, bynajmniej nie powszechnie akceptowany. Wydaje się, że połączono tu w jedną całość dwa artykuły: tekst o frustracji, pisany najwyraźniej z pozycji egalitarysty, i tekst o kuglarzach, uzasadniający dość prawdopodobną hipotezę na temat przyczyn tzw. wydarzeń marcowych.

Przyczyny ruchu studenckiego

Bauman doszukuje się pokrewieństwa ruchu studenckiego w Polsce z falą buntu młodych, która ogarnęła w 1968 roku — lub wcześniej jeszcze — całą praktycznie Europę i Amerykę. W tym celu stara się ustalić cechy, które charakteryzując studentów jako studentów lub szerzej — jako ludzi młodych — potrafiłyby taki punkt widzenia uprawomocnić. Źródeł buntu Bauman dopatruje się w trudnościach przejścia z „macierzystej struktury rodzinnej” do struktury zawodowej (s. 6). Píše też: „Amerykańskich hippies i warszawskich studentów z marca 1968 łączy bunt przeciw podziałowi świata na aktorów i widzów, postulat przywrócenia jedni i pełni społecznej osobowości, zwrócenia podmiotowości ludziom skazanym na odbiór”. (s. 7). Studenci, jego zdaniem, „mają z racji trudności swych zadań adaptacyjnych szczególnie wiele powodów do buntu”. (s. 11). W sytuacji jednak, która panowała i panuje w Polsce, siła frustracji jest niewątpliwie większa gdzie indziej. Gdyby szło tylko o to, studenci mieliby stosunkowo najmniej powodów do buntu, przy czym główne ich ewentualne frustracje raczej nie dotyczą „trudności zadań adaptacyjnych”, a trudności adaptacji do struktury zawodowej pojawiają się przecież później.

Na to, by frustracją tłumaczyć powstanie ruchu studenckiego, trzeba by, jak się zdaje, rozszerzyć nieco znaczenie słowa. Sfrustrowana jest „nowa klasa średnia”, której, jak słusznie zauważa Bauman, zablokowano drogi awansu. Ruch studencki był ruchem w obronie wartości, i by uczynić zeń ruch frustratów, trzeba frustracją nazwać wszelki stan, w którym jakieś podzielane przez nas wartości są naruszane; jest to nie zawsze to samo, co uniemożliwienie realizacji celu. W każdym razie, jeśli w grę wchodzi frustracje, to frustracje innych dążeń, niż dążenie do przedłużania pobytu w „macierzystej strukturze rodzinnej”.

Sugestia Baumana, iż postulaty studenckie miałyby być wyrazem „społecznej agresywności” (s. 16), zrodzonej z frustracji, wypacza charakter nader pokojowego ruchu studenckiego. Agresywność występowała rzeczywiście, ale po drugiej stronie, o czym niżej. Sugestia, że ruch studencki był wyrazem protestu przeciw podziałowi świata na aktorów i widzów, i pod tym względem daje się porównać z buntem młodzieży na Zachodzie — również wydaje się nietrafna. Studentom w marcu chodziło w pewnym sensie i o to, przez kogo miejsca aktorów są zajęte, lecz polegało to na dostrzeżeniu, że ci aktorzy źle grają. Pofrustracyjną agresywność wywołaną brakiem miejsc „na górze” wyraziście za to demonstrował tzw. aktyw społeczno-polityczny.

Ideologia studencka. Czy tylko socjalizm?

Bauman pisze: „Wychowanie socjalistyczne [...] wywarło głębokie piętno na sposobie myślenia społeczeństwa polskiego”. (s.

6). Znalezione są zapewne autorowi badania nad światopoglądem młodzieży, przeprowadzone latem 1959 r. Badano wówczas próbę ogólnopolską, prawie 3 tys. osób, w wieku od 15 do 24 lat, i zadano między innymi pytanie: „Jakie są twoje przekonania polityczne?” A oto wyniki: „Uważam się za komunistę” — 2,3 %, „Uważam się za socjalistę” — 5,5 %, „Uważam się za demokratę” — 21,2 %, „Jestem zwolennikiem ustroju kapitalistycznego (liberalizmu gospodarczego)” — 4,2 %, „Nie czuję się związany z żadnym kierunkiem politycznym, ale odpowiada mi istniejąca rzeczywistość polityczna w Polsce” — 27,9 %, „Nie posiadam zdecydowanych przekonań politycznych” — 38,8 %.

Można traktować te wyniki tylko jako wyraz sympatii do terminów „komunista”, „socjalista”, „demokrata” — i to byłoby już znamienne. Dalsza analiza pokazuje jednak, że odpowiedzi mają sens nie tylko jako wyraz emocji. Na pytanie: „Czy uważasz, że władza państwowa ma prawo więzić ludzi za ich przekonania polityczne?” odpowiedź „tak” dało 18,8 % „komunistów”, 17,2 % „socjalistów”, a 8,6 % „demokratów”. Na pytanie „Czy uważasz, że władza państwowa ma prawo więzić ludzi za ich działalność polityczną?” odpowiedź „tak” dało 65,4 % „komunistów”, 56,3 % „socjalistów” i 38,1 % „demokratów”. Na pytanie: „Co przede wszystkim rozumiesz przez demokrację?” odpowiedź: „swobody i wolności obywatelskie (wolność myśli, słowa, wyznania, zrzeszania się itp.)” cieszyła się największą popularnością we wszystkich grupach młodzieży z wyjątkiem „komunistów”, wśród których najwięcej osób rozumie przez demokrację „sprawowanie władzy w interesie większości narodu”. Z wyborem: „komunista”, „socjalista”, „demokrata” wyraźnie wiążą się zatem postawy ogólniejsze. Do znaczenia terminu „socjalizm” w marcu 1968, przejdziemy niżej.

Ideologia studencka. Egalitaryzm?

„Młodym, urodzonym i wyrosłym w atmosferze socjalistycznym dekalogiem, ideał egalitaryzmu dostarczał formuły negacji i rekonstrukcji zastanego świata” — pisze dalej autor artykułu „O frustracji i o kuglarzach”. (s. 6). „Rewolucyjna młodzież polska [...] protestuje przeciw pogłębiającej się nierówności konsumpcji”. (s. 7). „... w połowie lat sześćdziesiątych ideologiem buntu młodych był ten, kto przymierzał rzeczywistość społeczną do ideału społeczeństwa egalitarnego”. (s. 7). W stwierdzeniach powyższych Bauman przypisuje ruchowi studenckiemu ideały, jak się wolno domyślać, własne. Przypomnijmy znów rezultaty badań socjologicznych.

Opracowując przeprowadzoną w roku 1958 wśród studentów Warszawy ankietę, dotyczącą przede wszystkim poglądów, badano znaczenie opowiadania się przez studentów za tym, by „świat szedł w kierunku jakiejś formy socjalizmu”. (Zdecydowanie tak — 24 %, raczej tak — 44 %, raczej nie — 9 %, zdecydowanie nie

— 2 %). Jak się okazało, wśród rozmaitych postulatów uznawanych za przejawy ideologii socjalistycznej, postulaty dotyczące egalitaryzmu stanowią całość swoistą. Aprobata praktyki egalitarnej wykazuje niewielki związek zarówno z ową chęcią, aby świat szedł w kierunku jakiejś formy socjalizmu, jak i z takimi składnikami ideologii socjalistycznej, jak akceptacja uspołecznienia podstawowych gałęzi gospodarki, odczuwanie potrzeby działalności społecznej, postulowanie kierowniczej roli rad robotniczych w zakładach pracy lub określanie siebie jako marksisty (procenty odpowiedzi na pytanie: „Czy uważasz się za marksistę?” były następujące: zdecydowanie tak — 2 %, raczej tak — 11 %, raczej nie — 34 %, zdecydowanie nie — 34 %). Warto dodać, że między egalitaryzmem a tolerancją przebiegała zależność następująca: studenci, którzy ujawniali większe tendencje do egalitaryzmu, okazali się zarazem mniej tolerancyjni.

Cytowane badania nad ideologią młodzieży były prowadzone kilka lat temu, i choć ich wyniki stanowią argument w sprawach, o których pisze Zygmunt Bauman, to jest to argument pośredni, oparty o założenie, że czynniki oddziaływające na światopogląd młodzieży nie uległy w tym czasie zasadniczym zmianom. Założenie to zostało potwierdzone przez powtórzenie w roku 1961 na próbie studentów Politechniki tej samej ankiety, na którą odpowiadali studenci Warszawy w 1958 roku.

Bezpośrednim argumentem, podważającym tezy Baumana, są jednak teksty rezolucji i odezw studenckich. Jeśli występuje w nich hasło „socjalizm”, to prawie zawsze uzupełnione hasłem „demokracja”. Oprócz zauważonego przez Baumana mechanizmu socjalistycznej indoktrynacji i przekształcania przez młodzież wpajanych jej haseł w środek krytyki rzeczywistości, istnieje również inny mechanizm: rodzenia się postulatów demokratycznych, których bynajmniej nie lansowano odgórnie, lecz które powstawały jako wynik protestu wobec zastanego stanu rzeczy. W jednym z tekstów studenckich pojęcie socjalizmu zostaje wyjaśnione — „Jesteśmy za socjalizmem: jesteśmy za społeczną kontrolą nad decyzjami gospodarczymi”. Kiedy indziej socjalizm to, jak się zdaje, po prostu „bardzo dobra rzecz”, tak jak w artykule Leszka Kołakowskiego „Czym jest socjalizm?”, w którym długo i ładnie mówiło się, czym on nie jest, a pozytywnie stwierdzało się właśnie to, co wyżej. Hasła „demokracji” i „wolności” otrzymały interpretację bogatszą.

Trudno jest wśród dokumentów ruchu studenckiego odnaleźć tekst wysuwający postulaty egalitarne, a i hasła ekonomiczne, choć występowały, zajmowały nie naczelne miejsce. Nie o konsumpcję szło głównie, lecz o wolność — przede wszystkim w sferze polityki i kultury, a hasło „Nie ma chleba bez wolności” stanowiło wyraz dostrzeżenia związku między ekonomiką a demokracją. Nie zniesienie nierówności materialnych było jednak naczelnym postulatem, lecz demokracja polityczna, a także wolna wymiana myśli, rozszerzenie sfery obywatelskich swobód, nieustannie zwężanej przez władze, chętne do zawiadywania wszyst-

kim i kontrolowania wszystkiego. W postulatach ekonomicznych, które ruch studencki wysunął, nie zniesienie „nierówności konsumpcji” było celem, lecz zmiana polityki gospodarczej, która by przyniosła odczuwany przez obywateli wzrost dochodu narodowego, a więc choćby upowszechnienie tego, co w społeczeństwach zamożniejszych stanowi artykuł pierwszej potrzeby, a w Polsce przez wyznawców egalitaryzmu traktowane być może jako drażniące znamię nierówności.

Pojęcie klasy

Strukturę polskiego społeczeństwa Bauman ukazuje w oparciu o kryterium przysługujących wyróżnionym grupom przywilejów. Co jednak warte odnotowania w tym miejscu, do tak rozumianej struktury społecznej autor odnosi pojęcie klasy. „Jedną z najistotniejszych cech charakteryzujących każdą strukturę klasową, a nie związanych w sposób konieczny ze schematem teoretycznym stratyfikacji, to dziedziczność przywilejów i upośledzeń”. (s. 10). „Monopolizując środki, pozwalające odtwarzać swą atrakcyjną pozycję w przyszłych pokoleniach, warstwa uprzywilejowana przekształciła się w uprzywilejowaną klasę”. (s. 10). Tymczasem gdy Julian Hochfeld pisał o marksowskiej teorii klas, jako kryterium wskazywał nie przywileje ani ich dziedziczenie, lecz własność, rozumianą jako „szeroka socjologiczna koncepcja zwierzchniej i w pewien sposób kwalifikowanej kontroli nad czynnością pracy i rozdziałem jej produktu” (Studia o marksowskiej teorii społeczeństwa, s. 164). Jeśli tak pojmowaną własność uważać za przywilej, to za bardzo szczególny. Jest to po prostu władza w określonej dziedzinie. Propozycja Hochfelda nie odnosiła się do tego, jak się dzieli produkt społeczny, lecz do tego, kto decyduje o sposobie wytwarzania i podziału tego produktu, sięgała głębiej. Zygmunt Bauman w swoich wcześniejszych pracach punkt widzenia Hochfelda zresztą podzielał.

Struktura społeczna w Polsce

Z wskazanym rozumieniem przez Baumana pojęcia klasy wiąże się jego wizja struktury społecznej w Polsce. Te cechy polskiego społeczeństwa, które zdaniem autora decydowały o przebiegu tzw. wydarzeń marcowych, przedstawiane są tak, jakby je przedstawili studenci, gdyby kierował nimi „protest przeciw pogłębiającej się nierówności konsumpcji”. (s. 7). Strukturę społeczną w Polsce Bauman odnosi do przywilejów i dóbr konsumpcyjnych posiadanych przez członków poszczególnych grup. Autor na ogół trafnie dostrzega frustracje rozmaitych odłamów społeczeństwa. Lecz po to, by zobaczyć, czemu „kuglarze” mogli się wobec tych frustracji zachować tak, jak się zachowali, byłoby dobrze zwrócić uwagę nie tylko na to, co socjologowie nazywają „uwarstwie-

niem społecznym", lecz przede wszystkim na sposób zorganizowania społeczeństwa, na jego upaństwowienie i upartyjnienie państwa; na rolę partii i jej wewnętrznej struktury, rolę policji i tzw. kryteriów politycznych, rolę odgórnego decydowania prawie o wszystkim i odgórnej możliwości zmiany każdej decyzji na mocy przysługującego partii, a w szczególności jej centralnym organom, wszechobejmującego prawa weta. Sama analiza niezaspokojonych pragnień konsumpcyjnych z jednej strony, a nieprzystawiania egalitarnego ideału do rzeczywistości — z drugiej, nie wystarcza.

Domniemana frustracja zrodzona z egalitarystycznego niedostępu na pewno charakteryzuje ideologicznie nastawioną część aparatu partyjnego domagającą się spłaszczenia piramidy dochodów jako panaceum na wszystkie dolegliwości gospodarcze. Natomiast ogół aktywu, jak się zdaje, protestował nie tyle przeciw brakowi egalitaryzmu, co po prostu przeciw zahamowaniu własnych możliwości awansu; nie w imię zniesienia przywilejów, lecz w imię zdobycia ich dla siebie. I z tej frustracji zrodzona agresja przejawiała się w histerycznych działaniach zwróconych przeciw inteligencji i w demagogicznych hasłach „antydygnitarskich”. Ewentualna zaś frustracja szerszych warstw społeczeństwa, po pierwsze raczej nie przekształcała się w jakiegokolwiek, agresywne czy nie agresywne, działanie, po drugie zaś była to frustracja nie tyle brakiem społecznego egalitaryzmu wywołana, ile powszechną biedą i brakiem perspektyw. A dodajmy, że w publicznym łgarstwie, kłamstwie na temat równości odgrywają rolę bynajmniej nie pierwszoplanową. Aby być w Polsce sfrustrowanym, nie trzeba być egalitarystą, wystarczy żyć codziennym życiem obywateli.

W końcowym fragmencie artykułu Zygmunt Bauman napisał: „Nowy kozioł ofiarny jest potrzebą chwili. Czy wymyślono już dlań ponętną nazwę?” (s. 21). Przejawszy się egalitaryzmem autora mógłby ktoś takiego kozła znaleźć: byłby nim już nie Żyd, ale tzw. „prywaciarz” albo nawet literat, któremu publikacje przynoszą dużo pieniędzy. To właśnie przez istnienie takich ludzi postulat egalitaryzmu jest systematycznie naruszany. I choć trudno ten postulat potępiać, to nie wśród nich trzeba szukać winnych tego, co się obecnie w Polsce dzieje.

„List otwarty do partii”

Nie jest to sprawa w całości artykułu kluczowa, pokazuje jednak konsekwencje zajętogo przez Baumana stanowiska. Przeczytaliśmy już fragment: „... w połowie lat sześćdziesiątych ideologiem buntu młodych był ten, kto przymierzał rzeczywistość społeczną do ideału społeczeństwa egalitarnego”. Bauman pisze dalej: „Dlatego ideologami buntu młodych byli Kuroń i Modzelewski, autorzy manifestu egalitarystów przeciw uprzywilejowaniu rządzących i rządcom uprzywilejowanych”. (s. 7). Nie Kuroń i Modzelewski jednak, lecz Bauman jest autorem „manifestu egalitarysty”. „List otwarty” stanowi próbę analizy polskiego społeczeń-

stwa właśnie w kategoriach klasowych w sensie używanym przez Hochfelda, a nie w kategoriach „uwarstwienia społecznego”. Postuluje się tam tzw. demokrację robotniczą, która nie polega na udziale robotników w konsumpcji, ale w podejmowaniu decyzji (w tym także decyzji o konsumpcji).

Elita władzy

Na stronach 16-17 swego tekstu Zygmunt Bauman trafnie wylicza cele, jakie przyświecały pomysłodawcom „kuglarskiej sztuczki”. Brak wśród tych celów jednego, i to bynajmniej nie ostatniego: pragnienia korzystnego dla siebie rozwiązania problemu władzy. Bauman pisze: „Walka z dygnitarstwem’ okazała się rozprawą z paroma tylko określonymi dygnitarzami”. (s. 21). Czy inicjatorem „prowokacji marcowej” nie szło także i o to, by liczbę tych „określonych dygnitarzy” zwiększyć? „Kuglarska sztuczka” miała na celu rozładowanie frustracji nie tylko ogólnospołecznej, lecz szczególnie dręczącej pewne odłamy „aktywu”. Nastąpił wybuch, ale nie przewidywanego narodowego, lecz partyjnego oburzenia, które uśmierzono zaspakajając przynajmniej część żądań, której, jak słusznie pisze Bauman, aparat nie uznał bynajmniej za dostateczną. Traktowanie władzy jako monolitu nie wydaje się uzasadnione. Nie zawsze jest to grupa solidarna i tak świadoma swych wspólnych interesów, jak to zdawał się zakładać Bauman, gdy pisał o szczególnym machaweliźmie dygnitarzy, co to nie planowali zwiększenia liczby miejsc na uczelniach, po to, aby swym dzieciom zapewnić elitarną pozycję w społeczeństwie. (s. 9-10). Niedorozwój szkolnictwa istnieje w Polsce rzeczywiście, ale jednak chyba bardziej wynika „z rozrachunkowo gospodarczej tępoty” (s. 10).

Rozwój sytuacji w PRL

Tekst „O frustracji i o kuglarzach” sugeruje niekiedy swoiste rozgrzeszenie czasów przedpaździernikowych. Dopiero w dłuższy czas po październiku 1956, jak pisze autor, „starszy ideowcy, weterani wiary w wyższość moralną zasad socjalistycznych odsuwali się po prostu, zgorzkniali i zmęczeni, na margines społecznego życia”. (s. 11). Moment tego odsuwania nie najlepiej świadczy o „starych ideowcach”. Na stronie 8 spotykamy uwagę o „chłodziej ulicy przedpaździernikowej”; ulica ta była biedna, a i po październiku stała się nie o wiele bogatsza. Wreszcie, jak stwierdza autor, „dopiero w tym okresie (w połowie lat sześćdziesiątych) system społeczno-polityczny ukształtowany w Polsce po wojnie został w praktyce poddany próbie odporności na 'klasowanie’”. (s. 10). To „klasowanie” jest, jak pamiętamy, szczególnie rozumiane. Może gdyby inaczej pojmować klasy i strukturę społeczną — owe sugestie mniejszego zła cechującego przed-

październikowy porządek nie mogłyby być odebrane przez czytelnika.

Na zakończenie dwa sprostowania. Autor pisze na stronie 14, iż klasę robotniczą w takim stopniu udało się „zbuergeryzować”, że „w marcu zniechęcał ją najbardziej do studenckich manifestacji argument, że odbywały się one w godzinach powrotu ludzi z pracy i ze względu na zakłócenia w komunikacji miejskiej uniemożliwiały 'przyzwoitym ludziom' zasłużony odpoczynek domowy”. Pochód ludzi pracy, który około godziny 16 w dniu 11 marca ruszył Krakowskim Przedmieściem i Nowym Światem w kierunku KC, nie protestował przeciw zakłóceniom w komunikacji miejskiej. W tym wypadku nie klasa robotnicza została „zbuergeryzowana”, ale jej wizja w oczach dysponentów propagandy, dlatego taki argument zastosowano.

Druga sprawa. Przedstawione na stronie 15 i 16 argumenty na rzecz tezy o prowokacji są prawdziwe i przekonujące, jednak wedle wszelkich danych fałszywa jest teza, że „już na parę tygodni przed 30 stycznia informowano w Warszawie każdego, kto chciał i kto nie chciał słuchać, że przed Teatrem Narodowym będzie manifestacja”. (s. 15).

Główne myśli niniejszej polemiki są następujące: kategoria uwarstwienia społecznego bynajmniej nie wystarcza do analizy struktury społecznej w Polsce — potrzebnej, jeśli się chce zrozumieć wydarzenia marcowe; hipoteza: frustracja-agresja nie objaśnia charakteru ruchu studenckiego, wreszcie nie o egalitaryzm w nim chodziło, lecz o wolność, demokrację i racjonalność decyzji, a jeśli wysuwano postulaty ekonomiczne, to nie przeciw różnicom protestowano, lecz przeciw biedzie.

Czarna lista

26. IV. W Lublinie rozpoczęły się uroczystości inaugurujące studenckie obchody 25-lecia Polski Ludowej. W imieniu studentów występowali: St. Ciosek przewodn. RN ZSP; Ryszard Mazur przewodn. RO ZSP; Danuta Kulicka studentka UMCS. Innych nazwisk prasa chwilowo nie podała. O zamknięciu *Po prostu* w 1957 r., wydarzeniach marcowych 1968, aresztowaniach i procesach w 1969 nie mówiono.

Leszek Gabriel (polskij żurnalist): *Prowokatory iz Miunchena. Ideologiczeskije diwersanty bez maski*. *Litieraturnaja Rossija* z 1. V. 1969.



Prasa Polska, organ oficjalny Zrzeszenia Dziennikarzy Polskich od sierpnia ub. roku drukuje komunikaty o skreślaniu z listy członków tych, którzy

zrzekli się obywatelstwa polskiego. Nie uważamy że należy traktować wszystkich, którzy zostali zmuszeni do wyjazdu z Polski za „postacie światlane”, ale opieranie się jedynie na kryteriach rasowych uważamy za haniebne i dlatego zamieszczamy decyzje Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich na Czarnej liście.

Skreślenia z ewidencji S.D.P. Na podstawie wniosku Zarządu Łódzkiego Oddziału SDP — Prezydium ZG SDP z dnia 3 września 1968 postanowiło skreślić z ewidencji terenowej SDP: Juliana Brysza, Alinę Grabowską, Izidora Gliksmana, Józefa Lebenbauma — w związku ze zrzeczeniem się w/w obywatelstwa polskiego (5 par., pkt. a Rozdziału III Statutu SDP).
Prasa Polska, Rok XXII nr 10, październik 1968 — str. 36.

Skreślenia z ewidencji SDP. Na podstawie wniosku Zarządu Szczecińskiego Oddziału SDP — Prezydium ZG SDP decyzją z dnia 23. IX. 1968 r., postanowiło skreślić z ewidencji SDP: Zenona Dmochowskiego, Marka Werbla w związku ze zrzeczeniem się obywatelstwa polskiego — (par. 5, pkt. a, Rozdz. III Statutu SDP).

Na podstawie wniosków odnośnych Zarządów Oddziałów SDP — Prezydium ZG SDP decyzją z dnia 14. X. 1968 r., postanowiło skreślić z ewidencji SDP: z Lublina: Sarę Przytyk-Nomberg, z Łodzi: Bolesława Lesmana w związku ze zrzeczeniem się przez nich obywatelstwa polskiego (par. 5 pkt. a, Rozdziału III Statutu SDP).
Prasa Polska, Rok XXII Nr 11, listopad 1968 — str. 21.

Skreślenie z ewidencji terenowej SDP. Na podstawie wniosku Zarządu Oddziału SDP w Katowicach — Prezydium ZG SDP decyzją z dnia 2 grudnia 1968 r., postanowiło skreślić z ewidencji katowickiej SDP Annę Cwiałkowską-Szulimowicz w związku ze zrzeczeniem się przez nią obywatelstwa polskiego (par. 5, pkt. a, Rozdziału III Statutu SDP).
Prasa Polska, Rok XXIII, Nr 2, luty 1969 — str. 36.

Skreślenia z ewidencji terenowej SDP. Na podstawie wniosków odnośnych Oddziałów SDP — Prezydium ZG SDP decyzją z dnia 10. III. 1969 r. postanowiło skreślić z ewidencji terenowej SDP Gdańsk: Karola Jaworskiego, Piotra Kraaka, Zofię Kraak-Major w związku ze zrzeczeniem się przez w/wymienionych obywatelstwa polskiego (par. 5, pkt. a, Rozdziału III Statutu SDP).
Prasa Polska, Rok XXIII, Nr 3, marzec 1969 — str. 52.

Skreśleni z ewidencji. Prezydium Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, w związku z decyzją Oddziału Warszawskiego z dnia 5. XII. 1968 i 6. II. 1969 roku zatwierdziło skreślenie z listy członków SDP osób, które wyjechały na stały pobyt za granicę lub zamierzają opuścić nasz kraj i zrzekły się obywatelstwa polskiego:

Józef Banaś — dyr. Wydawn. Komunikacyjnych, Irena Dobosz-Wolberg — „Kobieta i Życie”, Antoni Gutowski — „Polityka”, Filip Istner — „Interpress”, Józef Kapliński — „Nowe Drogi” Samuel Kerner — PAP, Antoni Perłowski — „Życie Partii”, Henryk Szulc — TV., Leon Szulczyński — „Interpress”, Józef Śmietanski — „Polityka”, Erwin Weit — Wydawnictwo „Polonia”.

Prasa Polska, Rok XXIII, Nr. 4, kwiecień 1969 — str. 50.

Sprawy i troski

Polonistyka we Francji

Stare przysłowie — owa „mądrość narodów” — twierdzi „kogo bogowie znienawidzili, uczynili go nauczycielem”; dodałbym od siebie „języka i literatury polskiej”.

Parając się z górą ćwierć wieku polonistyką uniwersytecką we Francji, najpierw jako lektor, zebrałem „na własnej skórze” nieco doświadczenia i myślę, że warto się nim podzielić.

Mimo że nie jestem pesymistą (w tym wypadku sprzedawałbym dziś wino lub trudnił się tapicerstwem, jak uczynili to niektórzy z moich kolegów), muszę stwierdzić dla ścisłości, że dzisiejsza sytuacja polonisty we Francji, w porównaniu z latami mego debiutu, bynajmniej się nie poprawiła.

Zobaczymy to najlepiej, wstawiając się w położenie lektora, który świeżo znalazł się w tym kraju (na dwanaście lektoratów zaledwie cztery placówki stanowią ośrodek nauczania złożony z dwóch lub więcej wykładowców).

Młody naukowiec pełen entuzjazmu zarówno dla swego zawodu jak i do kraju, w którym ma pracować przez kilka lat (jest to tzw. „literat”, tj. historyk literatury lub językoznawca), stwierdza przede wszystkim na progu swej działalności, że obowiązujący system studiów odbiega bardzo od tego, z którym zapoznał się u siebie. Mianowicie staje oko w oko z *grupką* uczniów słabo przygotowanych, w przeważającej większości pochodzenia polskiego; w ciągu 4 lat (w najlepszym wypadku) ma ich wprowadzić w rozległy świat kultury polskiej.

Wychowani we Francji jako dzieci rodziców ciężko pracujących fizycznie, często różnych narodowości (ojciec lub matka pochodzenia nie-polskiego), uczniowie ci mieli tylko dość luźną styczność z polskim językiem literackim. Wyrazy takie jak chleb lub wino są im dobrze znane: dusza, umysł i wszelkie pojęcia oderwane stanowią nowość. Pierwszym zajęciem lektora będzie więc nie tylko przyswoić im te wyrażenia, znane im jedynie w języku francuskim, lecz również oduczyć (co nie przychodzi szybko

i łatwo!) właściwości dialektu ich otoczenia, zarówno w wymowie jak i w słownictwie (np. „chytry na pieniądze” zamiast chciwy, „niewolnik” zamiast jeniec itp.). Ponieważ ich rodzice najczęściej nie mieli sposobności rozczytywać się w „klasykach” polskich a szkoła francuska, przekonana o swej wyższości, nie zechciała nigdy zainteresować się literaturą polską — ich znajomości w tej dziedzinie są prawie żadne. Czasem słyszeli ci uczniowie o Sienkiewiczu, o wiele więcej o Konopnickej, o Mickiewiczu coś „wiedzą” (tj. znają to nazwisko), ale już Słowacki to przeważnie „dźwięk pusty”!

Ponieważ polonistyka nie zapewnia bynajmniej możliwości zarobkowania (polski jest tolerowany zaledwie w kilku szkołach średnich na terenie całej Francji), liczba zapisanych na nią stanowi mały ułamek procentu na wydziałach *lettres*. Nie traktuje się więc poważnie tych studiów dopuszczanych w najlepszym wypadku jako drugi lub trzeci język podczas gdy wymagania wykładowców w zakresie znajomości francuskiego i tzw. „wielkich języków” są bardzo wygórowane. W rezultacie „kompleks niższości” wobec kultury francuskiej, o której słyszeli od lat w szkołach, przy absolutnej nieznajomości kultury polskiej (nie mogli wiele dowiedzieć się od rodziców lub na traktowanych jako „kara” czy „dopust boży” lekcjach polskiego w szkolnictwie powszechnym — wtedy gdy ich rówieśnicy odpoczywali po zajęciach) jest przytłaczający.

W dodatku obok kolosa kulturalnego Francji zaczyna się pojawiać dla nich drugi: Rosja. Wprowadzanie tego języka do szkół średnich francuskich przybrało niezwykle rozmiary; dość często uczniowie pochodzenia polskiego lub mieszanego, którzy w liceum zdecydowali uczyć się rosyjskiego, kontynuują owe studia na uniwersytecie. W ten sposób pokaźna liczba mych b. uczniów, polonistów z zamiłowania i posiadających dyplomy w tym zakresie, „dla chleba” była zmuszona wybrać rusycystykę, ucząc w powiększającej się z dnia na dzień sieci szkół z tym językiem.

A nie należy zapominać, że studiowanie rusycystyki tj. języka, historii i literatury u profesorów, rekrutujących się najczęściej wśród dzieci „białych emigrantów” lub zarażonych niezwykle miłością do wszystkiego co rosyjskie lub sowieckie, nie jest najlepszą szkołą obiektywizmu. Jeśli Sienkiewicz z „Ogniem i mieczem” nie nadaje się na wymarzonego nauczyciela historii stosunków polsko-ukraińskich, „Taras Bulba” Gogola, o wiele bardziej znany we Francji, komentowany w duchu antypolskim przez profesorów rosyjskiego, stanowi wprost niebezpieczeństwo.

Tytułem przykładu przytaczam niedawno przeczytaną wypowiedź rusycysty, niejakiego F. de Labriolle, recenzenta książki na temat stosunków francusko-rosyjskich w poważnym piśmie naukowym „Revue de Littérature Comparée” (1968, nr 4, p. 640):

(Jusqu'en 1870, la question polonaise a empoisonné les relations franco-russes et a fait avorter les tentatives d'accord, multiples mais rarement simultanées, qu'amorçaient les gouvernements:

elle est donc en grande partie responsable de l'isolement de la France en face de la Prusse sous le second Empire).

Aż do r. 1870 *sprawa polska zatrzała stosunki francusko-rosyjskie* i sprawiła, że nie udały się próby porozumienia, liczne lecz rzadko równoczesne, rozpoczynane przez rządy: *ona więc jest w dużej mierze odpowiedzialna za odosobnienie Francji wobec Prus za Drugiego Cesarstwa.* (podkreślenia moje — Z.M.).

W ten sposób polski wkład do historii Francji od r. 1789 do Napoleona III i gen. Hauke-Bossak ginący w r. 1871 pod Dijon oraz setki (jeśli nie tysiące) Polaków, którzy brali wtedy udział w jej obronie, podczas *splendid isolation* stosowanej przez Rosję, są nowym koźłem ofiarnym. Uczni wychowani na propagandzie, sączonej przez dziesiątki lat przez zwolenników przymierza francusko-rosyjskiego „za wszelką cenę”, ofiarowują go na ołtarzu owej drogiej (w podwójnym znaczeniu słowa) przyjaźni.

Znajomość historii Polski stanowi nieodzowny człon studiów polonistyki. Nawet ograniczając jej znajomość do zasadniczych faktów i tzw. głównych linii rozwojowych, ta część programu nastręcza wiele trudności. Wolna elekcja i *liberum veto*, potem w okresie rozbiorów powtarzające się powstania sprawiają, że słuchacze nie wychodzą zbudowani z tej długiej serii zawinionych niepowodzeń.

Oczywiście jeszcze gorzej przedstawiają się dzieje Polski w wykładni obowiązującej w kraju i interpretowanej przez lektorów. Nieprzerwane pasmo „feudalizmu”, rokosze magnatów, gloryfikacja wyczynów Kostki Napierskiego i Szeli, Polska zawdzięczająca niepodległość w 1918 r. Leninowi i Rewolucji Paźdźnikowej!

Podstawowe fakty z zakresu gramatyki opisowej współczesnej polszczyzny i zasadnicze elementy gramatyki historycznej, bez których nie można zrozumieć starszej literatury, nie ułatwiają również zadania wykładowcy. Należałoby poświęcić zagadnieniom języka o wiele więcej czasu i uwagi, niż pozwala na to minimalny z konieczności program.

W tych warunkach nawet przy dobrej woli studentów, obciążonych dużymi wymaganiami z innych, obowiązkowych przedmiotów, poznanie literatury musi się ograniczyć do kilku wybranych dzieł z zakresu poezji, teatru i powieści. „Bajki” Krasickiego, „Księgi Narodu” Mickiewicza i „Anelli” Słowackiego i nowele Prusa na szczęblu najniższym, jeden utwór Kochanowskiego („Treny” lub „Odprawa posłów greckich”), „Dziady” wymagające obszernego komentarza, „Zemsta”, „Kordian” lub „Fantazy”, nowele Sienkiewicza i wybrane rozdziały „Lalki”, ogólny pogląd na historię literatury, poparty fragmentami najważniejszych arcydzieł jako korona wieńcząca całość — oto maksimum lektur.

O ile uczeń może zapoznać się z liryką baroku czy romantyzmu w czasie zajęć z lektorem, twórczość Norwida, Wyspiańskiego czy Żeromskiego nie mieści się już w oficjalnym programie. Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa w odniesieniu do studen-

tów nie-Polaków, borykających się z trudnościami polszczyzny zarówno w słowie jak i w piśmie.

Jedynie jako komparatysta, mając oprócz polonistyki, wykłady z dziedziny literatur słowiańskich, rozporządzam nieco większymi możliwościami „przemycania” literatury polskiej. Tak np. z okazji Puszkina („Borys Godunow” i „Miedziany jeździec”), porównanie jego ogólnych w formie oskarżeń despotyzmu z „III-cią Częścią Dziadów” czy żrącymi strofami „Ustępu” wypada na korzyść Mickiewicza. Zestawienie Wielkiej Improwizacji z odpowiednimi fragmentami „Les Chants de Maldoror” Lautréamonta, przypomnienie „Rękopisu znalezionej w Saragossie” przy sposobności opowieści fantastycznej itp. pozwalają rozszerzyć krąg „poloniców” w dziedzinie literatury.

Niemniej Mickiewicz pozostaje zawsze w świadomości Francuzów poetą małego narodu wobec wielkiego „z urzędu” przedstawiciela Rosji. To ustalanie „wielkości” pisarza zależnie od milio-nów ludności narodu, który reprezentuje, jest szczególnie rozpowszechnione we Francji. Żadne uwagi, że np. wielka literatura starożytnej Grecji jest dziełem kultury małego liczebnie narodu, nie wpływają na zmianę nastawienia.

Literatura porównawcza (z możliwością prac dyplomowych uczniów w tej dziedzinie) przynosi najwięcej zadowolenia jako prawie jedyna okazja, by mówić o literaturze polskiej większym grupom studentów-Francuzów; dotyczy to Paryża i Nancy, dwóch katedr polonistyki istniejących we Francji.

Niestety nasze największe osiągnięcia: poezja i monumentalny dramat romantyzmu są trudne do zrozumienia dla przeciętnego studenta francuskiego wychowanego na klasycyzmie XVII wieku. „Wylatywanie nad poziomy”, łamanie „czego rozum nie złamie” spotyka się na ogół z chłodnym przyjęciem. „Król-Duch” i „Wesele”, Norwid (z wyjątkiem liryki i nowel) mają mało szans na popularność we Francji. Również brak wielkiej powieści, w rodzaju Tołstoja czy Dostojewskiego, decyduje o znikomej popularności literatury polskiej. „Trylogia” Sienkiewicza nie przełamała muru obojętności a światowy sukces „Quo vadis?”, mocno we Francji atakowanego, stał się symbolem niezasłużonej sławy. Prus, nie przetłumaczony (nie z naszej winy) z końcem XIX wieku, nie zdoła już dziś zdobyć czytelnika; podobnie dzieje się z Żeromskim, trudnym do przełożenia ze względu na skomplikowaną składnię. „Chłopi”, dzieło opromienione aureolą nagrody Nobla (której nie ceni się tutaj, ilekroć zostanie wyróżniony ktoś spoza Francji) uzyskało zaledwie *un succès d'estime*. Przeciętny czytelnik urodzony i wychowany w mieście nie umie już znaleźć smaku w powieści związanej tak silnie z wsią. Mała stosunkowo popularność „Pana Tadeusza”, który, w pięknym lecz bynajmniej nie kongenialnym przekładzie Paul Cazin, stał się romansem walterscottowskim mocno zabarwionym opisami przyrody (owa „dzięcielina pała” i „świerzop!”), wywodzi się z tego samego „kompleksu mieszczaucha”. W okresie między dwiema wojnami próbowano wprowadzić na rynek francuski literaturę okresu pozyty-

wizmu (Prus, Dygasiński, Szymański); dotyczyło to zwłaszcza dwóch ostatnich pisarzy lansowanych bez powodzenia, bo zbyt późno, przez zasłużoną „polską serię” Malfère’a.

Pozostaje na szczęście literatura najnowsza, która stosunkowo najłatwiej trafia do młodego czytelnika i widza francuskiego. Gombrowicz i Mrozek, antologie poezji (Jeleńskiego, Pankowskiego, S. Arlet) Andrzejewski (zwłaszcza film „Popiół i diament” zdobył mu pewną popularność), Schulz, Dygat i Breza — te nazwiska najczęściej padają w rozmowie z średnim pokoleniem. Może kogoś zdziwić nieobecność wśród wymienionych pisarzy wybitnego poety i tęgiego prozaika, Miłosza. Fakt „wybrania wolności” obciążył go zarzutem „zdrady”; jak wiadomo intelektualiści prowincjonalni, jeszcze bardziej niż Paryż, ulegają złudzeniom, że postępowość jest równoznaczna z sympatią do komunizmu. Przy najmniej na razie Miłosz jest więc spalony na prowincji francuskiej jako „reakcjonista”. Niewielka liczba dobrych tłumaczy stanowi obecnie chyba największą przeszkodę w popularyzacji współczesnej literatury.

W sumie refleksje na temat znajomości spraw polskich we Francji, zwłaszcza w dziedzinie kultury, przedstawiają się dość minorowo. Kraj, który przez dziesiątki lat był szermierzem prawa do niepodległości Polski, w którym można było liczyć na sympatię zarówno ugrupowań lewicowych jak i sfer klerykalno-zachowawczych, od czasu przymierza francusko-rosyjskiego wyraźnie ochłódł w swych uczuciach. Niezwykle wysoka *côte d'amour* Polski należy dziś do przeszłości. Kierowana przez dyplomację, popierającą zawsze silnych, i przez wojskowych, liczących od 1870 r. na potencjał Rosji bez względu na jej ustrój, zafascynowana egzotykiem (nie może go jej dać związana z kulturą Zachodu katolicka Polska) i wielkością Tołstoja i Dostojewskiego, Francja ulokowała swe sympatie kulturalne daleko na wschód od Wisły. Z nostalgią i niesłabnącym zapałem szuka ciągle w literaturze sowieckiej ich następców.

Zygmunt MARKIEWICZ

Wspomnienie o Czesławie Znamierowskim (¹)

Znów o jednego mniej z tych starych filozofów przedwojennego chowu. Jakoś ostatnio szybko ich garstka topnieje: odszedł Ossowski, Ajdukiewicz, Elzenberg. Teraz przysła kolej na Znamierowskiego. A wspólne było w owych rozstaniach, że gdy struktury fizyczne murszały, umysł zachowywał pełnię wigoru. Ilekroć przestaje istnieć ktoś, kto dla kogoś był kimś, strata jest wtedy zawsze niepowetowana, a niepowetowana bywa dla ogółu, gdy kończy się osobowość twórcza, dostarczycielka osiągnięć swoistych a powszechnie cennych. Czesław Znamierowski był taką osobowością. Jako jeden z owych dość już wiekowych, wraz z nimi promieniował zasobami wieloletniego doświadczenia, najeżonego wspomnieniami grozy, ciosów doznanych, cudownych niemal wyzwoleń, rozhuśtanych nadziei, mrozących serce zawodów. Wraz z innymi rówieśnikami spośród humanistów i moralistów trawił w sobie Znamierowski tę karmę dziejową. Smak jej jest raczej gorzki. I dużo było na starość goryczy w tym człowieku. Ale była w nim też czupurna mazowiecka dziarskość, nieustępliwe obstawanie przy swoim, aktywność na przekór przekorom. Nie będzie chyba w błędzie, kto dojrzy taką, jaką spróbuję ukazać, osobliwość stylu Jego konstruktywnego myślicielstwa, wyhodowanego w życiu niełatwym.

Problemy państwa i prawa, zawodowe problemy Jego katedry, bardzo Mu były bliskie, to prawda. Co więcej, miał On w sobie żylkę, zamięłowanie do sporu prawnego i wygrywania w takim sporze. Ale główne było co innego. Troska o dobroć w stosunkach ludzi z ludźmi, troska będąca potrzebą tego w gruncie bardzo uczuciowego i dobrego człowieka. Więc to, o co dbał ostatnio przede wszystkim, to było nawoływanie do życzliwości powszechnej — jakże przekorne wobec hasła bojowości gromad ludz-

1. Przemówienie nad trumną w Warszawie 29. IX. 1967 na cmentarzu powązkowskim.

kich, haseł w tych gromadach dominujących, naczelnych. Ale samo to nastawienie nie wyodrębniałoby jego postawy. Dopiero połączone z innym składnikiem daje ono amalgamat jedyny w swoim rodzaju. Tym drugim składnikiem było nieustępliwe przeświadczenie, że dobroć zdomowi się wśród ludzi dopiero wtedy, gdy się nauczą kierować umiejętnie sprawami społecznymi, i że do tego potrzebne jest niczym niezmacone poznanie zależności społecznych. Różne przesłony mącą i zaciemniają obraz tych zależności, a pośród nich przywara w zasadzie uleczalna: niejasne i niewyraźne rozumienie pojęć, którymi operuje się stale, rozmyślając o tym, co w relacjach między ludźmi jest i co być powinno. Bierzmy się przeto — wołał — do klarowania pojęć, by umożliwić mądrość, a przez nią umożliwić i urzeczywistnić życzliwość powszechną.

Byłoby to z pewnością po myśli Czesława, gdyby miał się dowiedzieć, że na ostatnim pożegnaniu z nim przypomniano się jego własne wzruszające słowa. Oto co pisał w przedmowie do głównego chyba swego dzieła, znanego pod tytułem *Oceny i normy*², ale które ponoć miało się pierwiej nazywać „Człowiek i ludzie”.

„Ci, których drogiej pamięci poświęcam tę pracę, przekazali mi [...] uczucia dominujące, przede wszystkim życzliwość powszechną [...] nauczyli mnie czujnie odczuwać potrzeby i cierpienia ludzkie oraz wierzyć, że nie chłodna i formalna sprawiedliwość, lecz gorąca [...] życzliwość jest najbardziej skutecznym motorem życia społecznego, prowadzącym do harmonijnego ustroju społecznego [...] Nie tylko wiem, lecz czuję każdym fibrem ciała i duszy, że dziś więcej niż kiedykolwiek Dola Ludzka napuchła od cierpień i że ratunek jej potrzebny od zakłamania, barbarzyństwa i okrucieństwa natychmiast, bez straty jednej chwili. Ale wiem jednocześnie ze smutkiem, który graniczy z rozpaczą, że dziś, w obecnym swym zacofaniu i uwstecznięciu, nauki społeczne nie są zdolne dać pomocy życiu [...] w moim rozumieniu nauki społeczne spełniają [...] swoją rolę dopiero wtedy [...] gdy będą umiały z ostrych i jasnych pojęć tworzyć jasne i doświadczalnie sprawdzalne tezy. Stąd pierwszym, czy raczej wstępnym zadaniem nauk społecznych jest rzetelna [...] analiza pojęć, którymi się one mają posługiwać. Ta właśnie analiza pojęć [...] stała się wstępnym [...] zadaniem pracy, którą [...] oddaję do druku...”

Zbędne by było dodawać, że zobrazowany w tych słowach nurt dociekań Znamierowskiego nie był jedynym nurtem Jego wysiłków badawczych, pisarskich, nauczycielskich. Przyjdzie chwila i ukaże się z pewnością obraz całości bogatych i urozmaiconych konstrukcji myślowych, które Go absorbowały. Przypomnę tutaj tylko kilka tematów, świadczących o zakorzenieniu Jego problematyki w tradycyjnych wielkich zagadnieniach ogólnej teorii rzeczywistości i ogólnej teorii poznania. Do tego kręgu należą: indeterministyczna koncepcja obiektywnej, ontologicznej możliwości jako pewnej niegotowości zdarzeń zależnych od decyzji świadomych i odpowiedzialnych podmiotów; śmiałe ujęcie przyczynowości, domagające się wnikliwej analizy sprawozdawczej, a zbu-

dowane na założeniu jednoczesności przyczyny i skutku (podobnie jak to jest w newtonowskim prawie akcji i reakcji); ustosunkowanie się do pragmatystycznej koncepcji prawdy; myśli na temat stanowiska teorii poznania pośród nauk filozoficznych.

Filozofię prawa uprawiał Znamierowski z podwójnym przygotowaniem, jako filozof i jako prawnik. Oba te kierunki preparacji wyzieraają z Jego kart poświęconych roztrząsaniu podstawowych pojęć teorii, realizmu w teorii prawa, psychologizmu w tejże nauce i z innych analiz, takich jak prolegomena do nauki o państwie, lub rozważania dotyczące winy i odpowiedzialności etc.

Utwory pisarskie Znamierowskiego cechuje brak balastu erudycyjnego. Pisane są one tak, iż mogłoby się zdawać, że autor po prostu mało czytał, a wszystko wysnuł z własnej głowy. Kto by tak pomyślał, padłby ofiarą jaskrawego nieporozumienia. Człęk, który mało gdzie popasał poza krajem stałego zamieszkania, chętnie chwali się z dokonanych podróży i gotów o nich bardzo szeroko opowiadać; ale kto naprawdę w podróżach szeroki świat poznał, i o kim to dobrze wiadomo, ten nie potrzebuje dużo o tym gadać. Podobnie rzecz się ma ze Znamierowskim. Jego lektura była nadzwyczaj rozległa i bardzo urozmaicona, wielką zaś przewagę miało w Jego predylekcjach piśmiennictwo angielskie. A zorganizował on sobie kontakt ze studiowanymi utworami w sposób osobliwy: oto tłumaczył dane dzieło na polski i przekład drukiem ogłaszał. W ten sposób przysporzył czytelnikowi polskiemu długi poczet dzieł wielkiej ceny. Są w tym zespole i *Zasady ekonomiki* Marshalla, i *Zarys psychologii* Titchenera, i *Logika* Jevonsa, i *Zasady etyki* Moore'a, i wiele, wiele innych dzieł. Dla samej Biblioteki Klasyków Filozofii przetłumaczył *Lewiatana* Hobbesa, *Eseje* Bacona, *Logikę* Milla, *Traktat o naturze ludzkiej* Hume'a, a brał nadto udział w pracach redakcyjnych przy przekładach Locke'a i Berkeleya. Wszystko to razem składa się na ogrom pracy translatorskiej, a częściowo komentatorskiej, ogrom, którego rozmiary można chyba porównać bodaj tylko do skali trudu translatorskiego Boya-Żeleńskiego, tłumacza arcydzieł literatury francuskiej.

Za całość prac myślicielskich, pisarskich, nauczycielskich, organizatorskich należy się Czesławowi Znamierowskiemu głęboka wdzięczność i szacunek. Uczuciom tym towarzyszy uczucie żalu, że nie ma Go już pośród nas. W szczególności żegnają go z wielkim smutkiem koledzy filozofowie, skupieni w Polskim Towarzystwie Filozoficznym i w zespole tłumaczy i współredaktorów Biblioteki Klasyków Filozofii.

Tadeusz KOTARBIŃSKI

(*Ruch Filozoficzny*, Nr 4; tom XXVI, Toruń, 1968).

“Tysiąc lat sztuki w Polsce”

W wielkiej powodzi wystaw, które zalewają paryskie (i nie tylko) muzea przyszedł czas i na sztukę polską. Wystawy pod umiejętnie dobranym i zachęcającym tytułem „Tysiąc lat sztuki w Polsce” nie można rozumieć inaczej jak mały i lekką egzotyką przyprawiony „sandwich kulturalny”, który podsuwa się paryskiemu konsumentowi kultury jako strawę artystyczną. Jest ona typowym przykładem pewnej *jeu de société*, którą w czasie naszej ostatniej rozmowy w wiedeńskim Kunsthistorisches Muzeum dyrektor Erwin Neumann określił mianem „nowoczesnego ekshibicjonizmu wizualnego”. Przesadne mnożenie się ilości wystaw poświęconych sztuce dawnej idzie w parze z nową sytuacją dzieła sztuki w obliczu ciągle rosnącej liczby reprodukcji. Mikro i makro fotografii dzieł sztuki i mit „arcydzieła” powodują nową — czysto wizualną — funkcję obiektów kultury i estetyki czasów dawnych. Inspirowane przez agresywne działanie reklamy, albumy reprodukcji tworzą zupełnie nową sytuację dla muzeologa, dla krytyka i szczególnie dla widza, którego gust i idące z tym wymagania estetyczne, aby nie użyć już sformułowania Marcel Duchamp’a „retynowe” — podyktowane są skomplikowanym mechanizmem dzisiejszej sytuacji fenomenologicznej dzieła sztuki. Wystawy sztuki dawnej, stawiające na pierwszym miejscu problematykę badawczą, nową i odważną, wystawy, które są niezbędne dla rozwoju naszej wiedzy o dawnej kulturze i estetyce i ulepszają intelektualne spojrzenie na przeszłość (w przeciwieństwie do czysto „wizualnych” reprodukcji) należą do rzadkości. są one przeznaczone dla amatorów i znawców, dla nielicznej grupy społecznej i z tej racji nieopłacalne.

W stosunku do sztuki dawnej, która staje się coraz bardziej *decorum* kulturalnym, a nawet swoistym miernikiem socjalnym, można by posłużyć się bezlistosnym osądem Gombrowicza: „chleb i papieros”. Otóż wydaje się, że w ostatnich latach paryscy widzowie zaciągają się coraz głębiej tym wystawowym papierosem. Z tej to przyczyny zaistniała wystawa polska w Paryżu. Użytych w perspektywie cyklu wystaw narodowych, poprzedzona była ona pokazem „Trésors des musées soviétiques”, sztuki Izraela

* *Mille ans d'art en Pologne* — Paryż, muzeum *Petit Palais*, kwiecień-lipiec 1969. Polski komisarz wystawy Jerzy Banach. Komitet organizacyjny: M. Zuławski, Jan Babiński, E. Markowski, M. Ptasznik, W. Wiliński, S. Lorenz, J. Szablowski, K. Malinowski, M. Straszewska, J. Chranicki, W. Filipowiak.

Równolegle z wystawą sztuki dawnej w *Petit Palais* sale muzeum Galliéra goszczą wystawę sztuki współczesnej pod tytułem: „*Peinture Moderne Polonaise: Sources et Recherches*”. Koncepcja tej wystawy jak i dobór dzieł różnią się zasadniczo od wystawy „historycznej” z tego też powodu (i z braku miejsca) wystawa ta zostanie omówiona w następnym numerze *Kultury*

la i wystawy sztuki węgierskiej. Organizowana pod auspicjami „Association Française d'Action Artistique” wystawa polska była wspaniałą okazją do pokazania w Paryżu nie tylko arcydzieł sztuki polskiej i skarbów naszej kultury narodowej, lecz także do zademonstrowania wysokiego poziomu polskiego muzealnictwa i konserwacji zabytków. Podobnie jak archeologia, obie te dziedziny cieszą się jak wiadomo niemałym uznaniem wśród zagranicznych specjalistów. Polska historia sztuki, która z racji swoistej sytuacji ekonomicznej i politycznej kraju skazana jest na wąski zasięg własnego podwórka, miała tu wspaniałą okazję wyjść poza krąg przyjacielskiego uznania zagranicznych specjalistów. Niestety, stwierdzić należy, że tej wspaniałej i tak wyjątkowej okazji wykorzystać nie potrafiono i że wystawa nasza jest przeciętna, miejscami po prostu chybiona.

Pokaz „Tysiąc lat sztuki w Polsce” nie jest bynajmniej jedną z tych wystaw problemowych, które poprzez ciekawe zestawienie dzieł oryginalnych i mało znanych lub nawet nigdy jeszcze nie zestawionych obok siebie w sali wystawowej, mogą pobudzić krytyków i historyków sztuki do nowych refleksji. Jest ona typowym przykładem wystawy, mającej za zadanie świętowanie „arcydzieł”; spełnić powinna przy tym pewną rolę dydaktyczną z tej choćby przyczyny, że jej ładunek artystyczny jest niewystarczający jakościowo aby rywalizować z „Musée Imaginaire”. Kompensatę tego niedostatku (z punktu widzenia „spektaklu wystawowego”, obliczonego na koncert „arcydzieł”) ma stanowić pewien element egzotyki; nieznanne dzieła sztuki, wyrosłe na granicy cywilizacji zachodnioeuropejskiej, mogą z pewnością zaciekawić widza paryskiego swoją rodzimością (sarmatyzm) i swoistym szlachetnym prowincjonalizmem. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu, lub nawet w latach międzywojennych gdy Louis Réau pisał książkę o sztuce krajów Europy Wschodniej pod wymownym tytułem „Histoire de l'expansion de l'art français”, podobna wystawa miałaby mniejsze szanse powodzenia z powodu panującej wówczas estetyki „arcydzieł klasycznego”. Panowała wtedy niezaprzeczalna hierarchia „wielkich modeli kulturalnych” i „wielkich stylów”; w ich obliczu style „prowincjonalne” często schodziły na poziom mniej lub bardziej udanej „imitacji”. Dzisiaj, w obliczu uznania dla folkloru i nawet dla *art brut* Dubuffet’a, odrębność sztuki, style narodowe i wszelkie odchylenia od dawnej normy apodyktycznej estetyki „klasycznej” są interesujące dla historyka sztuki i dla widza, znużonego kilometrami arcydzieł w Kunsthistorisches Museum, w National Gallery czy w Louvrze. Nie odważy się on użyć pogardliwego pojęcia „dekadencji”, któremu hołdowała z początkiem wieku wiedeńska szkoła Riegl’a. Widz, znużony milionową reprodukcją Giocondy, bardziej niż poprzednio skłonny jest do zainteresowania się „nowością” z mało znanego kraju, ciekawostką o tyle łatwiejszą do asymilowania, że bliską stylowo i kulturalnie. Należy podkreślić, że podobna wystawa może być atrakcją dla widza zachodnioeuropejskiego pod warunkiem, że odpowiadać będzie jednak jego wymaganiom,

wymaganiom współczesnej muzeologii, współczesnemu „widowisku muzealnemu”, gdyż czym innym jeśli nie pewnego rodzaju spektaklem — nieruchomym filmem — jest dzisiaj wystawa dzieł sztuki dawnej? Przeciętnie pokazana Madonna z Kruźlowej czy nawet tak atrakcyjne głowy ze stropu wawelskiego nie mogą być sensacją dla widza, który poprzedniego roku oglądał oszałamiające skarby Tutankamona, przedstawione w zupełnie feerycznej scenerii, nie tak dawno miał możliwość obejrzeć fascynujące ikony rosyjskie lub wystawę vermeerowską. Sztuka wydaje się być dziedziną, która w najdobitniejszy sposób demaskuje iluzje „wartości obiektywnych, z tego też powodu oprawa „kosmetyczna” przedstawianych na wystawach dzieł sztuki staje się sprawą numer jeden w perspektywie ich użytku kulturalnego. Polska wystawa w *Petit Palais* świadczy, niestety, o tym, że organizatorzy nie zawsze pamiętali o tych specyficznych wymaganiach dzisiejszej koniunktury kulturalnej i w danym wypadku muzeologicznej. Olśnieni własnym mitem dzieła sztuki, wierzą chyba oni w jego moc *Deus ex machina*, która powinna samoczynnie zafascynować widza. Niestety rezultaty tej wiary i nieznamość współczesnych wymagań zachodnioeuropejskiej techniki muzeologicznej spowodowały, że zespół dzieł prezentowanych w *Petit Palais* nie spełnia zadań zawartych w tytule wystawy i miejscami wręcz zaskakuje krytyka swoim prowincjonalizmem. Gdyż trudno uważać ten zespół za reprezentatywną całość, odpowiadającą dzisiejszemu spojrzeniu na historię sztuki polskiej, jeszcze mniej jako zespół ujednolicony trafną ideą estetyczną czy kulturalną. Dla krytyka, obeznanego z całokształtem dziejów sztuki w Polsce, zwiedzanie tej wystawy jest niemałym rozczarowaniem; powoduje je niezrozumiały labirynt kryteriów estetycznych, odzwierciedlający niezdecydowanie i pewną, miejscami małostkową, wizję sztuki polskiej. Fakt, że nie pasuje ona do dzisiejszej perspektywy historii sztuki (światowej) i do wymagań dzisiejszej muzeologii jest w tym świetle już tylko konsekwencją tej postawy kulturalnej.

Po obejrzeniu pierwszych kilku sal wystawy „Tysiąc lat sztuki w Polsce” jedno pytanie zaczyna natarczywie powracać: „czyżby to był obraz sztuki w Polsce?”. Niestety, obraz ten jest bardzo przeciętny w swoim wydźwięku i mało atrakcyjny w prezentacji.



Wybór dzieł na jakąkolwiek wystawę jest jednym z najbardziej delikatnych problemów do dyskusji gdyż różne czynniki motywują ostateczną decyzję: nie tylko koncepcja sal i środki materialne, lecz też możliwość transportu, stan konserwacji itd. Na Zachodzie jednym z najważniejszych argumentów jest problem możliwości wypożyczenia dzieł sztuki z danego muzeum. Problem, który w wypadku wystawy polskiej nie istnieje, ponieważ wszystkie muzea są własnością narodową. Zważywszy, że problem konserwacji i transportu też jest ułatwiony z powodu

bogatych możliwości przedsięwzięcia prowadzonego na skalę państwową można z większym spokojem przystąpić do rozpatrywania wyboru dzieł i organizacji sal. Wybór ten jest co najmniej miejscami dziwny, miejscami niemożliwy do wytłumaczenia innymi argumentami jak osobistymi ambicjami pewnych kustoszy, zamiłowanych w tematach, które niestety tylko w ich własnej perspektywie zabłysnąć mogą światłem „arcydzieł” czy po prostu gatunkiem współmiernym z zadaniem paryskiej wystawy. Bardzo często zapomniano, że pewne eksponaty, które dla polskiego widza okryte są czarem prawie że mistycznej tradycji historycznej, bezwzględnie ciekawe w Kraju z powodu rzadkości na terenie polskim, nie mogą bynajmniej budzić spodziewanego zaciekawienia w Paryżu. Takim mechanizmom psychologii estetyczno-imaginacyjnej zawdzięczamy na paryskiej wystawie arrasów brukselskie z zamku wawelskiego, których przywieziono aż 7 sztuk na ogólną liczbę 320 eksponatów. Zaprojektowane jako elementy dekoracji wnętrza wawelskich, arrasowe są bezwzględnie ciekawe w kontekście pałacu i świadczą o wysokim poziomie kultury plastycznej na dworze króla Zygmunta Augusta, mają poza tym szczególną wartość w Polsce, i to nie tylko z powodu sentymentu narodowego i przeżyć powojennych, lecz też z racji zniszczeń wojennych i tak małej ilości mebli i obiektów sztuki użytkowej, które cudem udało się uratować z kolejnych kataklizmów historycznych. Niestety jest to argumentacja jedynie „polska”, traci ona swoją wartość na gruncie paryskim a szczególnie w perspektywie wystawy tak wysokiego polotu. Czy można je porównać z wielkimi seriami „Połowów Maximiliana”, z seriami rafaelowskimi czy z wielką zeszłoroczną wystawą w Bordeaux, na której pokazano słynne gobeliny dworu hiszpańskiego? Wyeksponowane w niezgrabnej rotundzie, rozwieszone w sposób sprzeczny z ich pierwotną funkcją estetyczną (— dekoracja —), arrasów wawelskich tracą nawet na absolutnej wartości, gdyż trzeba przyznać, że są to bardzo ładne dzieła dekoracji szesnastowiecznej. Tym niemniej wydzielenie im odrębnej sali na wystawie „Tysiąc lat sztuki w Polsce” wydaje się grzeszyć przesadną wiarą w ich rangę „arcydzieł”. Tak samo optymistycznym awansem estetycznym wydaje się umieszczenie w tej samej sali (obok wielkich arrasów!) serii 11 kafelków wawelskich, które też pokazano z nierozwagą proporcji co do ich wartości estetycznej. Wystawione jako tło do innego, naprawdę ważnego, obiektu sztuki tego czasu, mogłyby zaciekać, stworzyć dyskretnie tło; niestety nacisk z którym starano się z tych ładnych lecz niczym niewyróżniających się dzieł praktyki dekoracyjnej, zrobić obiekty muzealne, godne dużej uwagi, nie może być uzasadniony inaczej jak po prostu mylną skalą wartości. Błąd szczególnie dotkliwy na gruncie francuskim, gdyż jak wiadomo Renesans francuski słynie z przepięknej ceramiki z Rouen. Tak samo dziwną dysproporcją z proponowanym przez tytuł wystawy poziomem jest zajęcie całej gabloty wystawowej przez pięć tłoczonych w skórze opraw książkowych. Że w Polsce czytano „Institutio Gramatica” Mikołaja Maris’a? Skoro

już organizatorzy chcieli zilustrować istnienie pięknej biblioteki królewskiej to czemu pokazano tak skromną ilość miniatur średniowiecznych, czemu zapomniano o pięknie oprawionym, wyszywanym perłami modlitewniku Anny Jagiellonki? W katalogu pięknie wspomniano o Uniwersytecie Jagiellońskim, niestety pokazane inkunabuły są bardziej niż skromne, nie opatrzone ich poza tym żadną dodatkową informacją wizualną, żadną fotografią, ryciną, pokazującą uniwersytet. Autorzy wystawy powinni wiedzieć, że profesor Bourilly od lat wykłada na Sorbonie o Kochanowskim w ramach swojego kursu z *littérature comparée*. Czy piękna „Sforziada” Bony Sforza (Biblioteka Narodowa w Warszawie) a szczególnie jej ciekawie ilustrowana karta tytułowa z końca XV wieku nie wzbudziłaby zainteresowania nie tylko znawców, ale też szerokiej publiczności? Zamiast tych dzieł wybrano skromne i niczym niewyróżniające się rysunki Victora Louis’a, przedstawiające projekty do transformacji osiemnastowiecznych wnętrza zamku warszawskiego. Sala osiemnastowiecznych rysunków wydaje się niewspółmierna do założeń i ambicji podobnej wystawy, a już trudno pogodzić się z myślą, że mogłaby godnie reprezentować bogaty wachlarz sztuki polskiej z tej epoki.

Salę dziewiętnastowiecznego malarstwa są jedne z najciekawszych na tej wystawie i mimo że można by dyskutować o ich koncepcji i nie zgadzać się całkowicie z dokonany wyboem twórców, to należy stwierdzić, że pokazują one ciekawy wachlarz zupełnie niedrugorzędnych malarzy, których warto zrehabilitować właśnie w Paryżu. Że zapomniano o niektórych — to już problem do dyskusji, nieodłączny od koncepcji historycznej wartości sztuki dziewiętnastowiecznej. Należałoby jednak zwrócić uwagę na przesadny optymizm polskich wartości i stanowczo za dużą ilość obrazów Piotra Michałowskiego. Odrębność talentu tego autodydakty, jego spojrzenie na romantyczną tematykę epoki poprzez pryzmat retoryki barokowej i nawet siła „dzikiego” pędzla nie są wystarczającym uzasadnieniem do wystawienia aż 17 obrazów w *Petit Palais*. Natomiast nie zwrócono szczególnej uwagi na grafikę „Młodej Polski”. Nie znalazł się też żaden z dużych witraży Wyspiańskiego (czy projekty do nich), które z pewnością mogłyby liczyć na duże powodzenie, zważywszy na rosnące zainteresowanie tą epoką.

Poza skromniutkimi popiersiami André Lebrun’a i dwoma rzezbami z drzewa — wspaniali żołnierze Wita Stwosza! — rzeźba czasów nowożytnych jest nieobecna na tej wystawie. Na argument czysto techniczny, że jest to sprawa prawie że niemożliwa gdyż rzeźba ta jest nierozzerwalna od architektury, gdzie pełni rolę dekoracyjną należałoby odpowiedzieć „od czego fotografia czy rysunek?”. Oryginalne „ogniste ogony” na drzwiach zamku baranowskiego, fasada kamienicy w Kazimierzu, attyki renesansowych ratuszy czy rzeźby kaplicy Firlejów byłyby z pewnością elementem ciekawym, o wiele ważniejszym od dużej ilości dzieł zupełnie pospolitych. A co należałoby powiedzieć o podartym i zardzewiałym futerale miecza Zygmunta I, któremu poświęcono oddzielną ga-

blotę; czy znajdują się na nim jakieś wyjątkowo ciekawe dekoracje? Podobne pytanie można skierować w stronę skromniutkich portretów siedemnastowiecznych, gdzie też nie udało się uniknąć eksponatów kategorii „B”, jeśli nie „C”, jak można łatwo przekonać się na przykładzie portretu Boreyki (nr 115), któremu w dodatku zarezerwowano pełną stronę w katalogu!

Jedynym naprawdę godnie odrestaurowanym dziełem jest średniowieczne. Duża ilość pięknie odrestaurowanych malowideł — wspaniałe „Opłakiwanie” z Choromanic — wypełnia jedną z ciekawszych sal wystawy. Niestety, tym razem z powodów zupełnie obiektywnych, nie udało się uniknąć chaosu ekspozycji: duże obustronne malowidła, rozmieszczone siłą rzeczy w środku sali, sprawiają, że takie arcydzieła jak Madonna z Kruźlowej lub pełna dramatycznego realizmu i ekspresji *Pieta* (nr 12) giną w ich cieniu. Ten sam los spotkał dwa ciekawe w fakturze malarskiej i formie obrazy — szczególnie piękne „Zwiastowanie” mistrza z Małopolski; schowane są one za dużymi obrazami, dosłownie po kątach sali. Czy nie można było wygospodarować dla tych czterech choćby dzieł małej salki; wystawić je w sposób odpowiadający nie tylko ich wymiarom lecz też wartości estetycznej?

Ekspozycja dzieł jest drugim — a może zasadniczym — słabym punktem wystawy w *Petit Palais*. Trudno wiedzieć z pewnością kto ponosi za to całkowitą odpowiedzialność. Wydaje się, że tym razem wszelkie „podziękowania” należy kierować w stronę francuskiego komisarza wystawy — kustosa muzeum *Petit Palais* — mademoiselle Cacan, niemniej jak to oficjalnie oświadczono koncepcja sal, aż do szczegółów obicia ścian, uzgodniona została razem z polskim komisarzem wystawy — Jerzym Banachem — i nawet już latem zeszłego roku była w Paryżu delegacja polskich kustoszy w celu zapoznania się z terenem i przygotowania odpowiedniego rozmieszczenia obiektów... Faktem jest, że muzeum *Petit Palais* po dziś dzień oczekuje na obiecane materiały dydaktyczne, o które upominało się kilkakrotnie. Fotografie i diapozytywy pozwoliłyby na zakamuflowanie luki dydaktycznej. Przecież wydaje się, że skoro stać organizatorów na tak poważną imprezę wystawową, fotografie choćby dziedzińca wawelskiego czy kaplicy zygmuntońskiej powinny być elementem zupełnie niezbędnym. Nie brakiem miejsca należy usprawiedliwiać co najmniej dziwne umieszczenie sześciu głów drewnianych ze stropu wawelskiego; ustawione po kątach środkowej rotundy giną przygniecione masą sąsiadujących arrasów i przechodzą do rejestru bardziej „pospolitego” w sąsiedztwie wspomnianych wyżej kafelków. Poza opisem katalogowym widz paryski nie otrzymał żadnej pomocy aby zrozumieć specyfikę tego tak oryginalnego stropu kasetonowego; nie pomyślano o żadnej makiecie sali, rysunku czy choćby fotografii.

W części poświęconej czasom nowożytnym jedynym udanym przedsięwzięciem jest piękna (lecz też niewystarczająca) ilustracja nurtu „sarmackiego” poprzez pasy i portrety trumienne, malowane na blasze. Skorzystały one z urządzenia muzeologicznego,

które pozostało po poprzedniej ekspozycji baudélairowskiej i wypadły bardzo efektownie w zaciemnionej salce. Ten sam szczęśliwy los spotkał piękne witraże z krakowskiego klasztoru dominikanów. Świecą one ciekawymi odcieniami materii kolorystycznej, charakterystycznej dla późnego nurtu sztuki „mieszczańskiej” piętnastego wieku. Natomiast piękne „veduty” Bernarda Belotta, które należą do dzieł klasy światowej, słóczono w nieodpowiednio małej dla nich sali gdzie brak im oddechu; perspektywa słynnego weneccjanina „gniecie się”, obrazy tracą na wartości estetycznej poprzez brak przestrzeni.

Cóż więcej można powiedzieć po tak smutnych refleksjach o wystawie, na którą czekamy od lat? Czy można liczyć na to, że paryski widz będzie zachwycony bardziej niż przeciętnym portretem Kopernika? Jeśli najlepszym elementem wystawy jest jej katalog, to trudno uważać ją za udaną. Pokazała ona, że organizatorzy polscy nie orientują się w zasadniczej kwestii: „po co wystawa polska w Paryżu? dla kogo? w jakim stylu?”. Należy tylko ubolewać, że zmarnowano piękną okazję pokazania prawdziwego obrazu polskiej sztuki na przestrzeni wieków, sztuki ciekawej i czasami oryginalnej, sztuki która nie zawsze jest prowincjalnym kopiowaniem zachodniej mody. Ze zdziwieniem należy odnotować niepokojącą różnicę jaka istnieje między lekturą „Biuletynu Historii Sztuki” — pisma na poziomie prawdziwie międzynarodowym, a obrazem jaki pozostaje po obejrzeniu wystawy w *Petit Palais*.

Andrzej NAKOV

Komunikaty

KOŁO PRZYJACIÓŁ PARYSKIEJ KULTURY

Posiedzenie organizacyjne KOŁA PRZYJACIÓŁ PARYSKIEJ KULTURY w Toronto, odbyło się w środę dn. 23. IV. 1969 o godz. 8 wiecz. w sali Stowarzyszenia Kupców i Przemysłowców Polskich.

Zebrańie utworzył Wacław Iwaniuk, który jest autorem apelu o stworzenie Koła Przyjaciół paryskiej Kultury. Na przewodniczącego Koła obrano inicjatora — Wacława Iwaniuka. Stanowisko wiceprzewodniczącego pozostawiono tymczasem nieobsadzone. Obowiązki sekretarki pełni na razie Z. Grabowska, a p. Jadwiga Jasińska podjęła się funkcji skarbnika Koła.

Ustalono, iż składka członkowska do końca roku bieżącego wynosić będzie \$ 2,00.

Koło zajmować się będzie nie tylko rozpowszechnianiem miesięcznika „Kultura”, wychodzącego w Paryżu, lecz także organizowaniem imprez kulturalnych.

Pierwsze tego rodzaju zebranie odbędzie się w dniu 22 maja (czwartek) o godz. 8 wiecz. w Domu Kupców i Przemysłowców, przy czym Zbigniew Grabowski zagai dyskusję na temat współczesnego buntu młodzieży.

Jeżeli chodzi o sprawę statutu Koła torontońskiego, to ostateczną jego formę pozostawiono przyszłości, gdy jaśniej zarysują się zadania i cele Koła.

Wszyscy pragnący zapisać się na członków Koła Przyjaciół Kultury Paryskiej proszeni są o przekazywanie zgłoszeń, oraz składek pieniężnych na adres Skarbniczki Koła — p. J. Jasińskiej — 191, Westminster Ave., Toronto 3. Czeki winny być wystawiane na „Paris Kultura Fund”.

Organizatorzy wyrażają nadzieję, że działalność Koła Przyjaciół Paryskiej Kultury znajdzie życzliwy oddźwięk wśród Polonii kanadyjskiej.

M. i R. SCHNEIDEROWIE

W czasie uroczystości Stulecia Kanady na otwarcie odbudowanego w Toronto historycznego obiektu St. Lawrence Hall Mary Schneider wręczyła w imieniu miasta Toronto Gubernatorowi Kanady tekę własnych litografii przedstawiających ważniejsze zabytki architektury w Toronto.

Litografię Mary Schneider, przedstawiającą gmach Parlamentu kanadyjskiego w Ottawie, Gubernator Kanady wręczył Królowej Elżbiecie w czasie uroczystości otwarcia Parlamentu w 1968 r.

Mary i Roman Schneiderowie przyjechali do Kanady w 1950 roku, przez Rosję i Bliski Wschód. Mary ukończyła warszawską Akademię Sztuk Pięknych, gdzie prof. Roman Schneider wykładał architekturę wnętrza i meblarstwo. W Kanadzie dzięki własnemu wysiłkowi i pomocy Kanadyjczyków założyli szkołę malarską pod nazwą: Mary and Roman Schneider School of Fine Arts w Actinolite, na połowie drogi między Toronto a Ottawą.



Niedługo już ukaże się książka MARI KAMIL, pod tytułem

SAGA POLSKA

Powieść obejmuje ostatnie lata przedwojenne, okupację niemiecką w Polsce, kilkanaście lat Polski Ludowej, oraz siedem lat emigracji; opisuje dzieje „Prozerpiny” i jej bliskich na przestrzeni lat 1937-1967. Stron ok. 350. Cena w przedpłacie 5 dolarów. Wpłaty na adres:

Poets' and Painters' Press
146 Bridge Arch, Sutton Walk,
London, S.E.1. England.

„FANATYCY WOLNOŚCI”

Staraniem i kosztem Samodzielnego Oddziału Koła A.K. w Wiktorii zostały wydane wspomnienia wojenne kol. A. W. Chyczewskiego z okresu okupacji niemieckiej w Polsce i Powstania Warszawskiego. Czysty dochód z książki przeznaczony jest na pomoc dla inwalidów, b. żołnierzy Armii Krajowej.

Wydawcy mają nadzieję, że treść wspomnień znajdzie zainteresowanie wśród rodaków i że cel, wszystkim bliski, jest godny poparcia.

Cena egzemplarza \$A.2,00; Instytucje rozsprzedające otrzymają 20 % rabatu od ceny sprzedażnej. Zamówienia oraz zebrane pieniądze prosimy kierować na adres:

Bolesław Górski, 13 Byron St., Canterbury, 3126, Victoria, Australia.

Reportaż spod szubienicy

Po egzekucji jedenastu skazanych oficer śledczy D. znalazł się przypadkiem u (sowieckiego) doradcy Gałkina w więzieniu na Ruzynie. Składali właśnie raport szofer i dwaj śledczy wyznaczeni do usunięcia popiołu pozostałego ze zwłok. Oświadczyli, że w worku od kartofli wywieźli go w okolice Pragi, zamierzając rozrzuć go po polach; ponieważ szosa była oblodzona wpadli na pomysł użycia go do jej posypania. Szofer śmiał się mówiąc, że dotąd jeszcze nie zdarzyło mu się wieść w swej Tatrze czternastu ludzi naraz: trzech żywych i jedenastu w worku.

(Czechosłowacki Reporter, Nr 26, 1968)

Ludzie, których popiół rozsypano 4 grudnia 1952 na szosie pod Pragę nazywali się: Rudolf Slansky, Bedrich Geminder, Ludwik Frejka, Josef Frank, Vladimir Clementis, Bedrich Reicin, Karel Svab, Rudolf Margolius, Otto Fischl, Otto Sling i André Simone. Zostali skazani przez Trybunał Państwowy w Pradze dn. 27 listopada 1952 za przynależność do „centrum spisku antypaństwowego, kierowanego przez Slansky'ego”. Rozprawę prowadził dr Novak, oskarżał prokurator Urvalek. Wszyscy oskarżeni przyznali się do winy. Wszyscy — z wyjątkiem Slansky'ego — w listach napisanych przed egzekucją do swych rodzin stwierdzili, że są niewinni. W kilka lat po procesie dr Novak i prokurator Urvalek zostali poddani lekkim sankcjom dyscyplinarnym; listy niewinnie skazanych dotarły do adresatów po ostatecznej rehabilitacji uczestników procesu, tj. w czasie „praskiej wiosny” 1968. Trzech innych oskarżonych: Artur London, Vavro Hajdu i Eugen Löbl, skazanych na dożywotnie więzienie, odzyskało wolność po kilku latach. Artur London — ur. w 1915 r. zawodowy rewolucjonista, ochotnik brygad międzynarodowych, uczestnik

francuskiej *Résistance*, więzień Mauthausen i wiceminister Spraw Zagranicznych Czechosłowacji po „praskim przewrocie” w 1948 r. — od 1963 r. znajduje się z rodziną we Francji. Książka*, w której opisał swoje aresztowanie, przygotowania do procesu i sam proces została ukończona w 1968 i miała ukazać się w Czechosłowacji. Autor przybył do Pragi z manuskrytem na 5 godzin przed rozpoczęciem inwazji 21 sierpnia 1968. Wersja czeska nie ukazała się. Wersja francuska jest obszerną relacją, na którą składają się wspomnienia autora i jego żony-Francuzki, która w czasie jego aresztowania i procesu przebywała w Czechosłowacji, notatek, spisanych przez Londona w więzieniu na bibułkach od papierosów i przemyconych następnie do Francji, relacji prasowych z czasu procesu, wyjątków z korespondencji między autorem i jego żoną oraz kopii listów, pisanych w sprawie męża przez panią Londonovą do rozlicznych osób i instancji partyjnych.

Książka składa się z dwóch warstw: faktograficznej, szczegółowej, o cechach dokumentu historycznego i warstwy — nazwijmy to — refleksyjno-wyjaśniającej. Pierwsza jest drobiazgowym opisem losów autora od chwili aresztowania do uwolnienia, z licznymi „odprowadzeniami” wstecz, głównie do czasów wojny domowej w Hiszpanii i późniejszej działalności autora we Francji. Początkowo ten okres zagraniczny — po aresztowaniu Londona w styczniu 1951 w Pradze — był głównym punktem wyjściowym preparowanych „zeznań” i oskarżeń o trockizm oraz „szpiegostwo i działalność antypaństwową”. Londona „przygotowywano” początkowo do procesu „byłych Hiszpanów” — dopiero aresztowanie Slansky’ego zmieniło bieg „sprawiedliwości” i London został włączony do tego procesu-monstrum, który stanowił odpowiednik procesów Rajka na Węgrzech i Kostova w Bułgarii, a także przygotowywanego procesu Gomułki w Polsce. Ta zmiana uratowała Londonowi życie, ponieważ sędziowie, chcąc zachować pewne pozory zróżnicowania win i kar musieli kilku uczestników pozostawić przy życiu; proces Slansky’ego był przygotowaniem do mającej nastąpić gigantycznej czystki we wszystkich dziedzinach życia państwowego i na kary śmierci skazani zostali czołowi przedstawiciele odpowiednich „branż” — London, jako przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych, został odsunięty w cień przez eks-ministra Clementisa.

Cele procesu były różnorakie i różnego kalibru — począwszy od spraw „najdrobniejszych”, jak spreparowanie kozła ofiarnego, na którego można było zważyć wszystkie trudności gospodarcze i administracyjne (tym też tłumaczy się wyraźnie antysemicki charakter procesu i dobór oskarżonych — był to czarnoseciński ukłon w stronę „publiczności”), poprzez stworzenie punktów od-

* „L’aveu. Dans l’engrenage du Procès de Prague”. Version française d’Artur London et Lise London. Gallimard, Collection Témoins. p. 455, Paris 1969.

niesienia dla czystek na niższych szczeblach partyjnych, aż do celów naczelných, tj. politycznych na skalę strategiczną.

„W rzeczywistości za tym wszystkim oskarżonym był Tito, który zamierzał osiągnąć socjalizm własną drogą, różną od drogi sowieckiej. Należało ustanowić pewną pseudo-prawdę polityczną. I dla jej ustanowienia „prawdziwi szefowie” (tak w żargonie śledczych nazywano doradców sowieckich, nadzorujących przygotowania do procesu. M.B.) dobrali sobie idealnych oskarżonych spośród tych, którzy mogliby ewentualnie stać się przeciwnikami polityki stalinowskiej, tzn. spośród dawnych działaczy, mających własny punkt widzenia i długie doświadczenie międzynarodowe. Chodziło o prewencyjne wyeliminowanie tych, którzy mogliby zarazić się doświadczeniem Tity; należało nadać większą siłę przekonywującą polityce stalinowskiej” — tak formułuje ten cel London w wywiadzie udzielonym francuskiemu *L'Express* (Nr 926 z dn. 7-13 kwietnia 1969).

Istniał wreszcie jeszcze jeden cel — ten sam, który przyswiecał słynnym procesom moskiewskim sprzed wojny: procesy polityczne były wirem, który mógł wciągnąć każdego, a więc proceder ten umacniał terror na wszystkich szczeblach. Doradcy skrzętnie zbierali np. szczegóły, nadające się do ewentualnego inkryminowania kolejnych „wielkich” reżymu, m.in. Siroky'ego i Gottwalda. Ludzie, których rękoma wrzucano pierwsze ofiary w paszczę molocha doskonale zdawali sobie sprawę, że każdej chwili sami mogą zająć ich miejsce. W ten sposób system funkcjonował samoczynnie, bez winnych, a raczej przy pomocy samych winnych; każde pociągnięcie musiało procentować. Późnym odpryskiem tej metody jest atak *Literaturnej Gaziety* z dn. 2 października 1968 na Edwarda Goldstückera, oparty na zarzucie, że był on „denuncjatorem i jednym z głównych świadków oskarżenia” (nb. doprowadzonym z więzienia) w procesie Ślansky'ego, który „jak teraz wiemy — był niewinny”.



W jaki sposób skłaniano ludzi do „denuncjacji” i jak działał mechanizm uniemożliwiający odwołanie fałszywych zeznań najlepiej zilustrują dwa fragmenty omawianej książki. Należy w trakcie ich lektury pamiętać, że ofiary były uprzednio maltretowane, głodzone i pozbawione snu całymi miesiącami.

Str. 247-8: „Dwanaście miesięcy pichcenia tych protokołów kłamstwa i hańby. Koniec jesieni, długa zima, cała wiosna i lato i znowu jesień... Włączanie fragmentów, przerabianie i scalanie. Przechodzenie od „protokołów administracyjnych” poprzez „przygotowawcze” do „protokołów dla sądu”. Włączanie fragmentów moich protokołów do protokołów innych skarżonych, mimo, że nie ma pomiędzy nimi żadnych związków, a później przenoszenie ich z powrotem, po wyrwaniu z kontekstu, do moich zeznań. Przerabianie tych wyjątków w moje prywatne deklaracje przeciw współoskarżonym. Wysłuchiwanie wyjątków z moich zeznań — poddanych tym samym zabiegom — z usta współoskarżonych. Wychwytywanie nowych nazwisk poprzez pytania, z moich odpowiedzi, w zeznaniach współoskarżonych. Oto czemu poddawał mnie Kohoutek (kierownik śledztwa M.B.) i jego ekipa przez te dwanaście miesięcy. Ten taniec nazwisk będzie się jeszcze ciągnął aż do procesu, nawet jeszcze w trakcie procesu. Nazywa się to „syntezą materiałów, jakie posiadamy do procesu”.

Z tego okresu zachowałem w pamięci pewne epizody. Być może te, przy których broniłem się najdłużej, może te, które mnie najgłębiej dotknęły,

najbardziej upokorzyły. Pozostało mi wspomnienie długich, niekończących się zmagani w ciemności. Może więc zapamiętałem te momenty, które były najmniej ciemne.

Taka na przykład technika przepisywań, przy odpowiedniej wprawie, kończy się fałszerstwem. Przemilczenie jednego nazwiska czyni cuda. Powtarzam po raz n-ty: „Siroky skontaktował mnie w 1940 r. z Feiglem. Siroky kazał mi podtrzymywać ten kontakt, powierzać Feiglowi pewne zadania partyjne i inkasować pieniądze, które ten wpłacał co miesiąc na rzecz partii. Do 1940 r. Siroky sam utrzymywał ten kontakt i pobierał pieniądze. Przy tejże okazji Siroky poinformował mnie, że Feigl został w 1937 wykluczony z Partii austriackiej, lecz chodziło tu o błędną decyzję. Oświadczył mi, że zna osobieście szczegóły tej sprawy i zamierza po wojnie spowodować jej rewizję. Istotnie w 1945 Feigl został decyzją Komitetu Centralnego ponownie przyjęty do Partii czechosłowackiej”.

A oto jak fakty te zostały zinterpretowane w moim protokole:

„W 1940 nawiązałem kontakt z Feiglem, chociaż wiedziałem, że był on uprzednio zdemaskowany jako wróg Partii i wykluczony z Partii austriackiej; mimo to powierzałem Feiglowi różne zadania partyjne i pobierałem od niego comiesięczne wpłaty, choć wiedziałem, że pieniądze te pochodzą od kapitalistów amerykańskich”.

Str. 270-1: „Przypominam sobie... proces w Sofii. Kostov również (podobnie jak Krestinski w czasie procesu moskiewskiego — M.B.) usiłował odwołać przed sądem zeznania, poczynione w śledztwie. Natychmiast wyłączono mu mikrofon. Następnie przedefilowała przed sądem procesja świadków oskarżenia z obciążającymi go zeznaniami. W końcu napisał ów list do kierownictwa Partii, którego *facsimile* zamieszczono w książce o procesie, jaką miałem w rękach przed moim aresztowaniem. List, w którym błagał Partię o wybaczenie wrogiej postawy z poprzedniego dnia i w którym napisał, że kaja się i ma nadzieję, iż życie zostanie mu darowane, tak by mógł jeszcze poprawić się i zadośćuczynić za popełnione winy... Jakże wstrząsający jest ten list dla mnie teraz, gdy wiem co znaczy i zdaję sobie sprawę, jak cierpiał Kostov, niewinny, pisząc go!

Dochodzę coraz bardziej do przekonania, że próba taka z mej strony skończyłaby się podobnym fiaskiem. Zwłaszcza, że śledczy ostrzegają mnie: „Niech ci się nie zdaje, że będziesz mógł przed sądem odwołać swoje zeznania lub zmienić brzmienie tekstu. Wszystko jest przewidziane na wypadek, gdybyś się rzucił. Nikt cię nie usłyszy na sali i zaraz uruchomi się dwudziestu świadków oskarżenia, którzy już są przygotowani!”

Później dowiedziałem się, że przedprocesowa powtórka naszych zeznań przeznaczonych dla sądu, których kazano nam się nauczyć na pamięć, została nagrana na taśmie. Przewodniczący sądu był połączony systemem sygnalizacyjnym z grupą śledczych, którzy każdej chwili mogli mu dać nakaz przerwania sesji, gdyby któryś z oskarżonych odbiegł od swego tekstu.

Jestem przekonany, że w razie gdybym się uchylił, zrobią ze mną to samo, a następnie wokół mego nazwiska rozpętają się te same dyskusje, w których niegdyś sam uczestniczyłem na temat Krestinskiego i Kostova; te same komentarze na temat mego zbrodniczego zachowania ukażą się w prasie komunistycznej całego świata. Byłbym tym, który do ostatka, spod szubienicy jeszcze opluwał Partię, i próbował zdyskredytować ją w oczach opinii światowej.

I kiedy na parę dni przed procesem zostaje zaprowadzony do pokoju, gdzie staje wobec członka Biura Politycznego Partii, Ministra Bezpieczeństwa Karola Bacilka w pełnej gali generalskiej, gdy odzywa się do mnie nie we własnym imieniu, lecz gdy mówi: „W imieniu Partii, w imieniu tow. Gottwalda” — wiem, że sprawa jest przesądzona...

Wyjaśnia mi, że Partia apeluje do mnie abym trzymał się zeznań w tej formie, jak ujęto to w protokole dla sądu, że postępując w ten sposób oddam wielką usługę Partii. Dodaje, że sytuacja ogólna jest bardzo ciężka, że grozi wojna i że Partia oczekuje ode mnie, że będę działał zgodnie z JEJ interesem i jeśli tak, zostanie mi to policzone...

Wszystko to utwierdza mnie w przeświadczeniu, że jeśli zajmę wobec sądu postawę negatywną, że jeśli będę twierdził, iż jestem niewinny, nikt mi nie uwierzy, nikogo nie przekonam i zostanę powieszony.

A ponadto — choć wiecie, że jesteście niewinną, bezbronną ofiarą w rękach zbrodniarzy bez sumienia, którzy przy pomocy makiawelicznych praktyk usiłują wyzuć was z wszelkiej ludzkiej treści, z sumienia wolnego człowieka i komunisty, wiecie też, że poza tą salą sądową, poza śledczymi i sowieckimi doradcami znajduje się Partia z masą wiernych członków, Związek Radziecki i jego lud, który tyle ofiar złożył na rzecz komunizmu. Istnieje obóz pokoju, miliony bojowników w całym świecie walczących o ten sam ideał socjalistyczny, któremu wy poświęciliście życie. Wiecie, że sytuacja międzynarodowa jest napięta, że zimna wojna jest w zenicie, że imperialiści mogą chwycić się wszystkiego, by rozpętać wojnę *tout court*. W tych warunkach wasze sumienie komunisty nie pozwala wam zostać „obiektywnym sojusznikiem” imperialistów.

I w ten sposób dochodzi się do wniosku, że lepiej — niech się dzieje co chce — przemilczeć swą niewinność i odpowiedzieć „winien”.



Ten ostatni fragment książki Londona jest bardzo instruktywny. W pierwszym rzędzie wykazuje on, że wszystkie hipotezy, wysuwane z różnych stron po procesach moskiewskich na temat „jakim sposobem zmuszono tak zahartowanych ludzi do odegrania takiej roli” były słuszne. Na wszelki wypadek stosowano wszystkie środki: tortury fizyczne i moralne, odwoływanie się do starej lojalności, strach przed śmiercią, przypuszczalnie także środki farmakologiczne (London wspomina, że zmuszano go do zażywania jakichś lekarstw). Ale fragment ten jest też bardzo typowy dla drugiej warstwy książki, którą nazwałem „refleksyjno-wyjaśniającą”: jest przykładem niezrozumiałego dla ludzi „z zewnątrz” skostnienia właśnie mechanizmu refleksji.

Książka Londona jest przerażająca nie tylko — lub jeśli tak można powiedzieć: nie tyle — znanym niestety dobrze skądinąd repertuarem stalinowskiego Grand Guignol'u — lecz i obrazem środowiska typowych ideowych komunistów. To nie tylko reportaż z „innego świata”, ale i reporter pochodzi ze świata różnego od świata zwykłych ludzi, którzy po prostu i od początku nie mieli złudzeń na temat tego, czym jest stalinizm, *statnia bezpecznost*, procesy pokazowe oraz „Cyryl i metody”. London jest marsjaninem, który mimo pobytu w Moskwie w latach 1936-37, a następnie w Hiszpanii (która wystarczyła Orwellowi do napisania „Roku 1984”) wciąż zachowuje swoje dziewictwo ideologiczne i dopiero w więzieniu — a właściwie na dobre dopiero w czasie procesu — zaczyna zadawać sobie pytanie: „a więc to tak było w czasie procesów moskiewskich, w Budapeszcie, w Sofii... jak

mogłem wtedy, a wraz ze mną tylu komunistów, tylu uczciwych ludzi na świecie, wierzyć całkowicie szczerze w tę komedię?”

Pani Londonova (która wprawdzie słabo mówiła po czesku, co trzymało ją w bezpiecznym dystansie od gottwaldowskiej rzeczywistości) traci pracę w radio, następnie zostaje wyrzucona z mieszkania, następnie z partii, następnie dostaje jedynie najcięższą i najgorzej płatną pracę fizyczną — po prostu na zasadzie azjatyckiej odpowiedzialności zbiorowej — lecz mimo to nie wpada jej na myśl, że jej ślepe przywiązanie do partii jest może niezupełnie dobrze ułożone; w jednym z pierwszych listów, jakie może wymienić z mężem, daje wyraz największej swej trosce, tj. o to, jak ciężkie są jego winy partyjne i czy jest on czy nie zdrajcą „z którym się nie rozmawia, tylko pluje mu się w twarz”. Następnie raczy męża kwestią: „Stalin nauczył nas, że najcenniejszym dobrem jest człowiek”. Później wprawdzie walczy jak lwica o jego uwolnienie — ale z książki odnosi się wrażenie, że w pełni przekonał ją dopiero ów spisany na bibułkach raport męża. Ten szczegół jest bardzo charakterystyczny: w tym środowisku dopiero spisane fakty — „dokument” — stają się naprawdę faktami, ważącymi więcej niż świadectwo własnych oczu i doświadczenie wielu wspólnie przeżytych lat.

Ślepa lojalność wobec różnych *credo quia absurdum* jest zazwyczaj oceniana jako świadectwo silnego charakteru, a silny charakter budzi szacunek — stąd niechęć do mówienia z niechęcią o „tragedii komunistów” (terminu tego używa także i London we wspomnianym wywiadzie dla *L'Express'u*). Jeśli kończę omówienie naprawdę tragicznej książki Londona „czepianiem się” kwestii tego, co można by nazwać zbrodniczą naiwnością, czynię to świadomie. London nie tylko wyjaśnia — racjonalnie i świadomie — mechanizm nieludzkiej komedii w jej przeszłym kształcie, lecz także — mimo woli — pokazuje, jak i komu zawdzięcza swe powstanie system, który ją umożliwił — i może każdej chwili umożliwić ponownie.

„Tym towarzyszom, którzy powiadają „trzeba było wytrwać” (tzn. nie przyznawać się do niepopelnionych win M.B.) przypominam, że znajdowałem się w rękach Partii, oskarżony, sądzony i potępiony przez Nią... Jak walczyć w warunkach, gdy przeciwnikiem jakiego macie przed sobą, jest Partia i doradcy radzieccy i gdy *wszelka walka jest traktowana jako walka przeciw Partii i przeciw Związkowi Radzieckiemu?*” (podkreślenie Londona).

— Właśnie!

Właśnie ci wszyscy czyści i nieskalani stanowili — i stanowią — alibi i fasadę systemu, którego prawdziwą „jakość” niekiedy mieli sami okazję poznać za murami Ruzyna i na Pankracu. Ale nie zawsze — i nie do końca. W książce Londona roi się od drobiazgowych opisów wątpliwości, że może jednak „obiektywnie” był trockistą — ale nie ma ani słowa wątpliwości, czy członkowi rządu wielomilionowego narodu ma „obiektywnie” prawo nie zdawać sobie sprawy z tego, z czego zdawało sobie sprawę każde dziecko na ulicy. Nie ma ani słowa o tragediach nie- i anty-

komunistów („z którymi się nie rozmawia, którym się pluje w twarz”), czyli tych, po których nawet popiół nie wiadomo gdzie został wysypany, ponieważ nie mieli „szczęścia” zagrać przy pełnych reflektorach ubóstwionej Historii i zatłuczono ich bez procesów pokazowych. I na koniec — nie ma ani słowa wątpliwości na temat słuszności dalszych pretensji owych „milionów uczciwych” komunistów — wystrychanych na dudka przy każdej okazji — do przewodzenia reszcie ludzkości, mniej skłonnej do historycznej wiary w heglowskie hipostazy i bardziej sceptycznej wobec różnych wąsatych proroków, „nauczających, że najcenniejszym skarbem jest człowiek”, a na codzień nadających sens makabrycznemu powiedzonku: *on ne peut changer les gens qu'en cadavres*.

M. BRONSKI

Z życia wyższych sfer

Bez względu na okresowe kryzysy współczesnej literatury polskiej jedno przynajmniej zjawisko świadczy o stałym jej rozwoju w poszukiwaniu nowych dróg artystycznego wyrażenia problemów nurtujących społeczeństwo a wraz z nim i środowisko pisarskie. Zjawiskiem tym jest moda na coraz to nowe gwiazdy zapalające się na literackim firmamencie z każdym niemal rokiem. Gwiazdy, nawiasem mówiąc, niejednokrotnie przypominające komety zarówno siłą blasku jak i krótkotrwałością trwania. Jeśli jednak przedłużać chcemy tę astronomiczną metaforę, tyle tylko pociechy, że komety owe jakiś przynajmniej pozostawiają ślad, najczęściej w postaci cieniutkich tomików, które być może przrodzą się z czasem w dzieła zasługujące na zapisanie w annałach. Hłasko, Stawiński, Marek Nowakowski, by kilku tylko z najgłośniejszych młodych pisarzy wymienić, niewątpliwie zajęli miejsca godne zarejestrowania w kronikach literatury polskiej ostatniego dziesięciolecia, nie zawsze jako pisarze najwyższej klasy, ale bez wątpienia jako kronikarze obyczajów swojej epoki, którą przyszłemu historykowi literatury wypadnie może nazwać nową epoką jazzu, tym razem nie w amerykańskiej lecz w polskiej wersji. A jeśli amerykański przedstawiciel lat dwudziestych, Scott Fitzgerald doczekał się po latach czterdziestu okazałych monografii i licznych prac doktorskich analizujących jego opowiadania i powieści, kto wie jak wypadnie ocena naszych młodych pisarzy widzianych z perspektywy następnego stulecia...

Do listy gwiazd współcześnie wschodzących i nieących nie tyle może blask co szeroki odgłos krytyki dopisać ostatnio wypada nazwisko młodego autora Janusza Głowackiego, którego

pierwszy wybór opowiadań, symptomatycznie zatytułowany *Wirówka nonsensu* ukazał się w Warszawie*. Opowiadania te są z wielu względów kontynuacją linii rozpoczętej przed laty piętnastu, przepaść jednak dzieląca bohaterów Głowackiego od zbuntowanych chłopaków — ówczesnych opowiadań Hłaski jest ogromna. Młodzi ludzie z opowiadań Głowackiego mają na głowie problemy znacznie ważniejsze niż poszukiwanie uczucia czy chociażby kawalerskiego pokoju, w którym uczuciu temu można by było nadać bardziej cielesne kształty. Spróbujmy kolejno przypatrzeć się motywom postępowania lub charakterystyce postaci bohaterów siedmiu opowiadań składających się na *Wirówkę nonsensu*, marginesowo notując chronologię powstawania utworów. Andrzej w „Wizycie” (1964) do upadłego targuje się z ojcem o udział w spadku wyrażający się w „długiej, opatrzonej wieloma zerami liczbie”. Narrator z „Kongo na Kubusia Puchatka” (1966) prezentuje swej dziewczynie znajomych „uzupełniając informacjami: marka samochodu, miejsce pracy ojca, położenie willi”. Młodzi ludzie z opowiadania „Wielki brudzio” (1964) „wsiadają do Florydy i Forda ojca Kida, na zagranicznej rejestracji” by przenieść się z zakrapianej koniakiem prywatnej party na dansing do „Bristolu”. Bohaterowi „Dużego świata” (1965) imponuje rodzimego pokroju gangster „spokojny, nic nie mówi, absolutnie amerykańizowany”. W *Wirówce nonsensu* (1966) narrator jest być może najbardziej ludzkim okazem młodego człowieka lat sześćdziesiątych, potrafi bowiem zdobyć się na jakąś samodzielną reakcję wobec propozycji patronującego mu pisarza-homoseksualisty, czy wobec jednej z „kopulantek”, szesnastoletniej dziewczyny, która na rzeczowe stwierdzenie: „Będę cię dzisiaj rznąć”, odpowiada równie rzeczowo: „To twoja sprawa”. W jednym tylko „Dochodzeniu” (1966) przeszłość dojrzałych już bohaterów powraca motywem nieślubnego dziecka, w kapitalnym jednak opowiadaniu końcowym „Volvo dla mouse-killera” (1967) marzenia trzech przedsiębiorczych warszawskich *play-boy*ów wyruszających do Szwecji w poszukiwaniu posażnych właścicielek aut streszczają się w obrazie jak najbardziej współczesnym: „W Warszawie jadę Nowym Światem, obok mnie modelka, z tyłu dwie modelki i pies, zły, wilk. Jedziemy sobie, rejestracja zachodnia, wszyscy stają, milicjant się uśmiecha”.

Czytelnik, który w opowiadaniach Głowackiego szukałby surowego realizmu Hłaski, patriotycznych nut Stawińskiego, czy społecznych konfliktów Brychta poczuje się rozczarowany obrazem świata jaki młody autor dostrzega w otaczającej go współczesnej rzeczywistości. Trudno jednak powiedzieć, iż jest to obraz fałszywy, przeciwnie, w ukazanej warstwie społeczeństwa Głowacki dostrzegł konflikty i sprawy charakteryzujące pewną grupę młodzieży, tę „absolutnie amerykańizowaną” w najpowierzchniejszym znaczeniu tego pojęcia. Dostrzegł i umiał pokazać w formie całkowicie adekwatnej, piórem dojrzałego prozaika czu-

* Janusz Głowacki, *Wirówka nonsensu*, PIW, Warszawa 1968, zł 12,—.

łego w równym stopniu na problematykę moralną jak i na idiom języka swych rówieśników. Jeśli więc zgorszony zepsuciem obyczajów moralista przeczytawszy *Wirówkę nonsensu* załamię w rozpacz ręce, jeśli socjolog stwierdzi ze złośliwą satysfakcją do czego doprowadziło ćwierć wieku rzekomo socjalistycznego wychowania młodzieży, to krytykowi literatury pozostanie do stwierdzenia fakt, że literatura polska wzbogaciła się o nowego zdolnego i obiecującego pisarza.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

Nadeślane nowości wydawnicze

SOLSKI (Wacław). *Dziwne wypadki*. Str. 172. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1969).

Teki Historyczne. Tom XV. Str. 367. (Wyd. Polskie Towarzystwo Historyczne na Obczyźnie, Londyn, 1966-1968, cena 30 sh.).

Kirkorowie Litewscy. Materiały do monografii rodziny kresowej. I. *Poczet Kirkorów*. Na podstawie szkicu genealogicznego Szymona Konarskiego pod tytułem „Kirkorowie herbu własnego”. Z przedmową Szymona Konarskiego. Str. 89 i 3 nlb. II. Stanisław KIRKOR. *Uwagi ogólne o genealogii rodziny Kirkorów litewskich*. Str. 52 i 3 nlb. Cena tom I: 12 sh. 6 d., tom II: 7 sh. 6 d. (Wyd. Londyn 1969, Skład Główny: Księgarnia Veritas).

Pamiętnik Lwowa. 1918-1968. Wydany przez obywateli stołecznego grodu w 50-letnią rocznicę Orłąt. Str. 62. (Wyd. C. K. Kaminski, Los Angeles, Kalifornia, 1968).

New Writing of East Europe. Edited by George GÖMÖRI and Charles NEWMAN. Str. 263 i 4 nlb. (Wyd. Quadrangle Books, Chicago, 1968, cena dol. 6,95).

SUBOTIN (Stojan). *Iz poljsko-jugoslovenskih književnih veza*. (Du côté des rapports littéraires polono-yougoslaves). Tome XXV des Monographies de la Faculté de Philologie de l'Université de Belgrade. Str. 135. (Wyd. Filoloski Fakultet Beogradskog Univerziteta, Beograd 1969).

Sto padesat let cesko-ukrajinských literarních styku 1814-1964. Vedeco-bibliografický sborník. Československé Akademie Ved Ustav Jazyku a Literatur. Str. 477. (Wyd. Svet Sovetu, Praha 1968).

KLIN (David). *Mitn Malach Hamoves untern orem*. Str. 384 i 3 nlb. (Wyd. I. L. Peretz Publishing House, Tel Aviv, 1968).

LIBRACH (Jean). *La paix religieuse en Pologne au temps de la Saint-Barthélemy*. Dans: Bulletin de la Société de l'Histoire du Protestantisme français. Numéro Octobre-Novembre-Décembre 1968. Str. 508-520. (Wyd. Société de l'Histoire du Protestantisme français, Paris 1968).

MARCZENKO (Anatolij). *Moi Pokazania*. Str. 369. (Wyd. La Presse Libre, Paris, 1969).

DATA	POLITYKA
15-4-69	Rząd sowiecki zaproponował Chinom wznowienie konsultacji, które zostały przerwane w 1964 roku.
16-4-69	
17-4-69	Na niespodziewanie zwołanym Plenum KC w Pradze doszło do zmiany kierownictwa partii. Na miejsce Dubczeka pierwszym sekretarzem został G. Husak. J. Smrkovskiego odsunięto od władzy.
18-4-69	Prezydent Nixon oświadczył, że samoloty i okręty zwiadowcze wykonujące swe misje w rejonie Pacyfiku będą miały odpowiednią ochronę wojskową.
19-4-69	Nowy przywódca czechosłowacki Husak przeprowadził zmiany personalne na kluczowych stanowiskach w radio, telewizji i prasie.
20-4-69	Perskie siły zbrojne postawione zostały w stan pogotowia w związku z nagłym pogorszeniem się stosunków z Irakiem na tle sporów granicznych i nawigacyjnych.
21-4-69	Stany Zjednoczone wystąpiły z propozycją wycofania wojsk amerykańskich i północnowietnamskich z Południowego Wietnamu.
22-4-69	W Moskwie rozpoczęło się posiedzenie RWPG z udziałem szefów partii i rządów, celem rozpatrzenia projektów integracji gospodarczej.
23-4-69	Rząd NRF postanowił przedłużyć okres ścigania przestępców wojennych. Projekt ustawy uchylający przepisy o przedawnieniu w odniesieniu do przestępców wojennych ma być wniesiony pod obrady parlamentu latem br.

KULTURA I NAUKA

Mieczysław Jastrun otrzymał tegoroczną nagrodę PEN-Klubu dla tłumaczy z literatur obcych.

Na sympozjum naukowym w Sofii poświęconym walce z ideologią burżuazyjną sekretarz KC Kotszew oświadczył, że tradycje burżuazyjne odżywają w młodym pokoleniu.

Aktorka rosyjska Ludmiła Sawieliewa otrzymała „Oskara” w Nowym Jorku. Rosyjski film „Wojna i Pokój” uznano za najlepszy zagraniczny film roku.

Jerzy Passendorfer pracuje nad nowym filmem „Monte Cassino”.

W Miami Museum of Modern Art została otwarta wystawa malarska p. Nelly O'Brien de Lacy, która mieszka stale w Argentynie.

Wydawnictwo Carl Hauser Verlag w NRF opublikowało drugie wydanie „Proza Polska XX wieku”, w opracowaniu Karla Dedeciusa.

Centralna Rada ZZ w Bułgarii powołała do życia komisję pisarzy, która ma się zająć twórczością na tematy robotnicze. Przez ostatnie 3 lata w Bułgarii nie ukazała się ani jedna książka o tematyce robotniczej.

RÓŻNE

Prof. dr hon. c. Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, Walery Goetel, obchodził 80-lecie urodzin.

Północnokoreańskie wojska raketowe zestrzeliły nad Morzem Japońskim amerykański samolot zwiadowczy.

Agencje zachodnie podały, że kardynał Wyszyński napisał list do Cyrankiewicza z przypomnieniem, że Papież chciałby odwiedzić Polskę. Watykan nie potwierdził tych wiadomości.

W więzieniu we Lwowie zmarł biskup Bazyli Wętyczkowski. Władze bezpieczeństwa usiłowały zmusić go do zeznań o podziemnej działalności Kościoła Katolickiego na Ukrainie.

W Watykanie ogłoszono, że Papież uda się w czerwcu do Genewy by wziąć udział w obchodach 50-lecia założenia Międzynarodowej Organizacji Pracy.

Zmarł w Lublinie Waldemar Babinicz, pisarz i publicysta.

3 studentki Uniwersytetu Warszawskiego, Irena Lasota, Irena Grudzińska i Teresa Bogucka skazane zostały na 18 miesięcy więzienia za udział w demonstracjach marcowych w ub. roku.

DATA

POLITYKA

24-4-69

Na posiedzeniu RWPG Ceausescu oświadczył, że „Rumunia pragnie wnieść swój wkład do doskonalenia RWPG, ale nie jest zwolenniczką integracji czy organów ponad-państwowych.

25-4-69

Prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, adw. A. Mazewski poinformował Dyрекcję ZNP że brał udział w New Yorku w naradzie z przywódcami organizacji żydowskich poświęconej wspólnej akcji „zwalczania anty-polskiej i anty-żydowskiej propagandy w USA”. Komunikatu narady nie ogłoszono.

26-4-69

Prezydent de Gaulle zaapelował w przemówieniu telewizyjnym do wyborców, by wypowiedzieli się za reformą konstytucyjną w referendum i zapowiedział, że w przeciwnym razie zrezygnuje z urzędu prezydenta.

27-4-69

Chiński minister Obrony i następca Mao Tse-tunga, Lin Piao, oświadczył, że Chiny muszą przygotowywać się do wojny nuklearnej, wymieniając przy tym jako głównych wrogów Stany Zjednoczone i Sowiety.

W Waszyngtonie zmarł prof. Roman Smal-Stocki, były wicemin. Spr. Zagr. niepodległego rządu Ukrainskiej Republiki, gen. sekr. Ukraińskiego Instytutu w Warszawie, prezes Ukr. Akademii Nauk w New Yorku.

28-4-69

Po porażce w referendum konstytucyjnym prezydent de Gaulle ustąpił ze stanowiska. Przeciwko proponowanym reformom wypowiedziało się ponad 53 % głosujących.

29-4-69

Na konferencji RWPG w Moskwie, która odbyła się z udziałem szefów partii i rządów, zapadła jedynie decyzja utworzenia wspólnego Banku Inwestycyjnego.

30-4-69

Szef Sztabu Generalnego Armii Francuskiej, gen. Fourquet, zamieścił artykuł w *Revue de Defense Nationale*, zapowiadający zmianę francuskiej strategii obronnej po wydarzeniach w Czechosłowacji. Francja uważa, że niebezpieczeństwo grozi od wschodu i nie zamierza planować obrony *a tous azimuts*. Ta zmiana była jeszcze zatwierdzona przez gen. de Gaulle.

KULTURA I NAUKA

W Zurichu staraniem Kiermaszu Książki Polskiej odbył się wieczór ku czci Kazimierza Wierzyńskiego.

Włoska telewizja rozpoczęła nadawanie serii filmów polskich, m.in. „Pociąg” Kawalerowicza, „Zezowate szczęście” Munka i „Odwiedziny Prezydenta” Batorego.

Arcybp. Detroit, kard. J. Dearden, zarządził zamknięcie 14 polskich szkółek parafialnych w Detroit, motywując to brakiem funduszy i zapowiadając w przyszłości dalszą akcję likwidacji szkółek parafialnych.

W Londynie ukazał się 15 tom *Tek Historycznych* wyd. przez Polskie Towarzystwo Historyczne na Obczyźnie.

Prasa brytyjska zamieszcza pochlebne recenzje z koncertu Orkiestry „New Philharmonia” pod baturą dr. M. Białoguskiego. 52-letni lekarz Białoguski wynajął największą salę koncertową w Londynie, by po raz pierwszy dyrygować wielką orkiestrą.

RÓŻNE

Dowódca garnizonu praskiego, gen. E. Chlad, został zwolniony ze stanowiska. Był on w czasie wojny oficerem sowieckim. Wielu obserwatorów wiąże jego dymisję z nieudanym pro-moskiewskim zamachem generałów.

Zmarł w Warszawie w wieku lat 38 Krzysztof Komeda-Trzcinski, kompozytor i pianista, wybitny muzyk jazzowy.

W skupiskach polskich w USA ogłoszono majową zbiórkę na pomoc weteranom armii gen. Hallera, którzy nie korzystają z żadnych pomocy rządowych i nie mają praw kombatanckich w USA.

Zabójca sen. Roberta Kennedy'ego, Sirhan, skazany został w Los Angeles na karę śmierci.

Na pl. Teatralnym w Warszawie, pod pomnikiem Bohaterów Warszawy odbyła się uroczystość ślubowania specjalnych formacji ORMO, z udziałem najwyższych władz PRL (zapewne z okazji rocznicy Wydarzeń Marcowych 1968 r., w których ORMO odegrało znaną rolę!).

Polski Czerwony Krzyż obchodził 50-lecie swego istnienia.

A. Dubczek został wybrany przewodniczącym Parlamentu Federalnego w Pradze.

Zmarł w Mabletonie (Anglia) Jan Walewski, dziennikarz, b. poseł na Sejm. Żył 77 lat.

Grupa lekarzy brytyjskich wypowiedziała się za niepodtrzymywaniem życia osób, które skończyły lat 80.

DATA	POLITYKA
1-5-69	Na święto 1-go maja w żadnej stolicy państw należących do Bloku Sowieckiego — poza Niemcami Wschodnimi — nie odbyła się defilada wojskowa, co jest odstępstwem od długoletniej tradycji.
2-5-69	Rząd sowiecki zaproponował Chinom przeprowadzenie rozmów w Chabarowsku na temat sporów granicznych.
3-5-69	W <i>Prawdzie</i> ukazał się artykuł znanego pisarza Konstantina Simonowa, przestrzegający przed możliwością wybuchu wojny z Chinami.
4-5-69	
5-5-69	Rząd Sowiecki zaproponował Niemcom Zachodnim dostawy gazu ziemnego i ropy naftowej poprzez przedłużony „rurociąg Pokoju”. Wymagałoby to nawiązania współpracy przez Bonn z Niemcami Wschodnimi i Polską. Rząd NRF rozpatruje tę propozycję.

KULTURA I NAUKA

W Paryżu zmarł jeden z najwybitniejszych pianistów współczesnych 42-letni J. Katchen, Amerykanin rosyjskiego pochodzenia.

Znane Kolegium Najśw. Marii Panny Orchard Lake, Michigan, będące dotąd wyłącznie uczelnią duchowną, z pocz. nowego roku akad., będzie przyjmować studentów świeckich. Będą rozszerzone kursy filozofii, polonistyki i tzw. Communication Arts.

Odbyło się doroczne zebranie Twa Hist.-Literackiego w Paryżu. Po sprawozdaniu o działalności Twa i Biblioteki Polskiej J. Czapski wygłosił odczyt pt. „Wyspiański i magia”.

Jan Librach został wybrany dyrektorem Polskiego Inst. Nauk. w New Yorku. Książka Libracha „The Rise of the Soviet Empire” wyd. w 1964 miała duży rezonans i doczekała się kilku wydań.

Prof. M. K. Dziewanowski z USA wygłosił dwa odczyty na Uniwersytetach londyńskim i oxfordzkim: o J. Piłsudskim i o rewolucji w Rosji.

W Londynie ukazała się nowa powieść J. Kosińskiego pt. „Steps”. Powieść ta zdobyła w Ameryce nagrodę „National Book Award for fiction”.

Po 150-letniej przerwie Tyniec otrzymał znowu Opata. Został nim. O. Placyd Galiński, który przez szereg lat prowadził w Paryżu znany klub młodzieżowy. W ub. roku został wezwany przez władze kościelne do Polski i nie otrzymał paszportu na powrót. Klub został zamknięty.

RÓŻNE

Na Muzeum Polskie w Chicago do dn. 31. III. 69 wpłynęło z darów \$ 64.035,06.

W Polsce zmarł M. Lepecki, pisarz i adiutant Marszałka Piłsudskiego.

Zmarł w Warszawie gen. dyw. Bolesław Kieniewicz, jeden z sowieckich oficerów w wojsku PRL. Organizator m.in. bezpośrednio po wojnie Korpusu Bezp. Wewn., stworzonego do walki z podziemiem. Z pewnością z tego tytułu pochowany został uroczystie przez władze PRL w Aleji Zasłużonych na cmentarzu Powązkowskim.

Inż. J. Ruszkowski jest twórcą najwyższego domu w Mar del Plata (Argentyna) o wysokości 117 m., co jest rekordem w Ameryce Poł. Inż. Ruszkowski pracuje w Mar del Plata od 1949 r. i wybudował większość reprezentacyjnych gmachów w tym mieście.

W bież. roku w Afryce Poł. odbędzie się, z inicjatywy S.A. Air Force Association, obchód rocznicy lotów nad Warszawą w okresie Powstania.

W ciągu 6 tygodni zbiegło z „Batorego” w czasie wycieczek na fiordy norweskie 54 osób.

W NRF zmarł b. kanclerz Niemiec i późniejszy ambasador hitlerowski w Turcji Franz von Papen.

Nowym Sekretarzem Stanu w Watykanie został kardynał francuski J. Villot.

W Warszawie oddano do użytku nowoczesny dworzec lotniczy. Uroczystość była połączona z 40-leciem Twa LOT. Warszawskie lotnisko było jedynym w Europie składającym się z baraków. Nowy dworzec — w chwili jego otwarcia — jest już nie wystarczający dla rosnącej ilości pasażerów.

DATA	POLITYKA
6-5-69	
7-5-69	5-ciu studentów: Piotr Zabrun, Romuald Lubaniec, Tadeusz Markiewicz, Wiktor Nagórski i Sylwia Poleska zostało skazanych na więzienie od roku do 18 miesięcy i na grzywny za kolportaż ulotek potępiających udział PRL w okupowaniu Czechosłowacji. Po powrocie Husaka z Moskwy <i>Rude Prawo</i> wydrukowało rezolucję, domagającą się zniesienia cenzury, uchwaloną przez Akademię Nauk.
8-5-69	Grupa duchownych prawosławnych w Moskwie wystosowała list otwarty do Patriarchy Aleksieja protestujący przeciw jego polityce ścisłej współpracy z władzami.
9-5-69	Mimo nacisków międzynarodowych kół finansowych i wielu rządów, Niemcy Zachodnie odmówiły rewaloryzacji marki.
10-5-69	Wkrótce po ogłoszeniu w Paryżu 10-punktowego planu pokojowego siły komunistyczne rozpoczęły gwałtowną ofensywę w Południowym Wietnamie.
11-5-69	Prezydium KC czechosłowackiej partii komunistycznej oświadczyły, że nie ma żadnych podstaw do oskarżania Bilaka, Pillera, Swestki, Indry i innych znanych przeciwników reform, o zdradę czy kolaborację z wojskami sowieckimi w okresie inwazji. Nazwiska tych komunistów figurują w tzw. „Czarnej Księdze”, opublikowanej w czasie inwazji. W Lens odbył się walny zjazd Kongresu Polonii Francuskiej. Prezesem hon. został Ks. Infułat K. Kwaśny, prezesem — Józef Kudlikowski.
12-5-69	Miedzy Chinami a Indiami doszło do gwałtownych zajęć granicznych.

KULTURA I NAUKA

We Włoszech zmarł jeden z najwybitniejszych poetów i krytyków angielskich Sir Osbert Sitwell.

Prof. S. Lorenz wybrany został w Wenecji prezesem Rady Międzynarodowego Centrum Konserwacji Dóbr Kultury.

Pisarz amerykański Norman Mailer zdobył nagrodę publicystyczną „Pulitzer Price” za książkę „The Armies of the Night”.

18-letnia Janina Fiałkowska zdobyła pierwszą nagrodę na Festiwalu gry na fortepianie, zorganizowanym przez Canadian Broad Casting Corp. 6 maja odbył się jej koncert w Montrealu.

Piotr Guzy otrzymał tegoroczną nagrodę *Wiadomości* londyńskich, przyznaną mu jednogłośnie. Nagroda Jana Badeniego została podzielona między J. Łobodow-
kim a J. Mackiewiczem.

Związek Inż. i Techników Polskich we Francji zorganizował Journ  e d'Etudes na temat integracji cudzoziemc  w we Francji. Zebranie odby  o si   w lokalu Biblioteki Polskiej w Pary  u pod przew. J. P. Palew-
kiego.

Rz  dowa Agencja do Spraw Radia i Telewizji w USA wyst  pi  a z projektem likwidacji obcoj  zycznych audycji radiowych w St. Zjedn. Projekt ten zagra  a egzystencji oko  o 50 godzinom radiowym, kt  re dzia  aj  a na terenie USA.

R  ŻNE

W Warszawie rozpoc  z   si   proces 10 os  b oskar  zonych o sfalszowanie przesz  o p  t miliona dolar  w.

Ameryka  skie w  lady marynarki wojennej umorzy  y spraw   przeciw d-cy i za  odze okr  tu zwiadowczego *Pueblo*, kt  ry zosta   uprowadzony przez komunist  w p  łnocnokorea  skich.

Dymisjonowany genera   sowiecki P. Gri-gorenko zosta   aresztowany w Taszkencie za p  b   obrony Tatar  w Krymskich.

Zmar   w Londynie, w wieku 74 lat, p  k. W. Indyk-Czaykowski, b. szef Intendentury jedn. Wojska Polskiego na S  rodk. Wschodzie w czasie ostatniej wojny.

W ci  gu ostatnich 20 dni w Moskwie ukaza  y si   wiadomo  ci o   mierci 15 genera  w sowieckich i jednego pu  kownika.

17.000 Zw. M  odzi  y Socjalistycznej PRL bierze czynny udzia   w os  lawionym ORMO. Rozpoc  z  o kampani   za zwi  kszeniem tej cyfry.

Zbigniew Byrski, b. konsul PRL w Detroit i Chicago, a ostatnio korespondent Polskiego Radia i Robotn. Agencji Prasowej w Tanzanii, wybra   wolno   w USA na znak protestu wobec wydarze   w PRL.

W Watykanie og  szono nowy kalendarz   wi  tych, zawieraj  cy imiona 126   wi  tych europejskich, 8 afryka  skich, 14 japo  skich, 4 kanadyjskich i jednego z Oceanii. Wielu   wi  tych wykre  lono z kalendarza.

Prostujemy nieprzyjemny b  d korektorski, jaki zakra  d si   do „Wydarze   miesi  ca” w poprzednim nrze *Kultury* pod dat   10. 4. 69 — zmar   Stanis  aw Strzetelski, a nie Strzelecki.

Listy do Redakcji

Buenos Aires, 23 kwietnia 1969.

Drogi Panie Redaktorze,

Z połączenia artykułu Londyńczyka z moim listem, wydrukowanym w *Kulturze* z marca br., można by wyciągnąć wnioski krzywdzące i niezgodne z rzeczywistym stanem rzeczy. W związku z tym podaję informacyjnie, że Ksiądz Rektor Lucjan Łuszczki, b. więzień Kołomy, w czasie wojny kapelan w 2 Korpusie, przybył do Argentyny na paszport wydany przez Watykan.

Łączę wyrazy poważania,

Tadeusz DĄBROWSKI



Londyn, 5 maja 1969.

Szanowny Panie Redaktorze,

Żałuję że p. Czerniawski, który poszedł na skargę na mnie do *Kultury* nie przytoczył swoich dwóch listów do mnie i całej mojej odpowiedzi. Na drugi list nie odpowiedziałam. Osobiste impertynencje, jakimi mnie w nich obrzucił i inwektywy nie godne kulturalnego człowieka, były wywołane wyłącznie faktem że mam i wyrażam inne niż on poglądy. Zgodziłabym się chętnie z jego, jakże słusznym pytaniem: „Dlaczego ludziom, którzy okazują pogardę dla wolności słowa tak zależy na tym, by uchodzić za liberałów?”, gdybym nie miała wątpliwości czy w jego pojęciu „liberał” to ten co szanuje wolność cudzego słowa czy tylko własnego.

Z poważaniem,

Stefania KOSSOWSKA



Buenos Aires, 13 maja 1969.

W. Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 3/258 *Kultury* ogłoszony został tekst listu p. Tadeusza Dąbrowskiego skierowany do mnie jako Rektora Polskiej Misji katolickiej w Argentynie.

W związku z tym pragnę złożyć następujące oświadczenie: Jest niewątpliwie prawdą, że powstała między p. Tadeuszem Dąbrowskim, a mną różnica w ocenie możliwości urządzenia w istniejących warunkach politycznych kraju naszego osiedlenia, jak również w związku z pewnymi wymaganiami kanonicznymi manifestacji narodowej, jak proponował p. T. Dąbrowski, której tłem miała być msza św. za duszę Jana Palacha. Różnica ta dotyczyła możliwości, a nie celowości tej uroczystości.

P. Tadeusz Dąbrowski uważał za stosowne w związku z tym uczynić się szermierzem idei niepodległościowej piętnując równocześnie moją negatywną postawę.

Na tej drodze, którą przebyłem jako zakonnik, a ta „polska droga” wiodła przez Kołymę i Monte Cassino jest to po prostu kamień rzucony mi pod nogi. Nie chcę i nie mogę go odrzucać. Ci co mnie znają rozumieją mnie dobrze.

Redakcja ze swej strony wydrukowała list jako „ilustrację” do artykułu

Londyńczyka z tego samego numeru. Nie wiem kto kogo wprowadził w błąd i kto kogo źle zrozumiał. Szkoda tylko, że *Kultura*, którą tylu Polaków czyta z prawdziwym zainteresowaniem i szacunkiem i która odegrać pragnie rolę kuźnicy polskiej myśli politycznej wykazała tak mało ostrożności w swym komentarzu.

Łączę uprzejme pozdrowienia,

O. dr Lucjan ŁUSZCZKI
Rektor PMK



Monachium, dn. 8 maja 1969 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W majowym numerze *Kultury* w liście do Redakcji p. Twierdochlebow pisze m.in.:

„Bardzo znamienne jest potraktowanie relacji z Polski korespondenta *Washington Star* przez Free Europe w ich wczorajszej audycji „Fakty, wydarzenia, opinie”. Gość ten stwierdza wyraźnie, że pomimo ostrego krytycyzmu władz, rozmówcy jego nie chcieliby mieszkać poza Warszawą. Ten fragment korespondencji został przez Free Europe pominięty”.

Powyższe twierdzenie p. Twierdochlebowa nie odpowiada prawdzie. W audycji na ten temat, nadanej 11 kwietnia br. znajdował się następujący ustęp: „Polacy w rozmowach z cudzoziemcem używają dla określenia ciężkich warunków, w jakich się znajdują, dosadnego języka. Lecz jednocześnie dodają, że nigdzie nie chcieliby żyć tylko w Polsce”.

Łączę wyrazy poważania,

Jan NOWAK
Dyrektor Rozgłośni Polskiej
Radia Wolna Europa.



Berkeley, 6 maja 1969.

Drogi Panie Redaktorze,

Zawsze zastanawia mnie lekkość — że nie użyję innego wyrazu — z jaką nasi (no i nie tylko nasi) „literaturoznawcy” szeregują pisarzy używając jakiejś tajemniczej, im tylko znanej, tabeli stopni służbowych, którymi obdarowywują pisarzy.

Pan Zygmunt Markiewicz w liście do Redakcji (*Kultura*, kwiecień 1969) zaliczył do „drugorzędnych lub trzeciorzędnych” pisarzy, „z których niektórzy weszli jak Piłat w Credo” m.in. Ludwika Kondratowicza (Władysława Syrokomłę) i H(enryka) Rzewuskiego. Co gorsza, zaliczył ich razem z nazwiskami pisarzy, których prawdopodobnie nikt nie zaliczyłby nawet do „czwarto” czy „dalszorzędnych”.

Ciekaw jestem kryterium, jakim się posługiwał autor listu przy tym szeregowaniu? Bo moim skromnym zdaniem taki Syrokomla ma wysokie miejsce na parnacie poetów „litewskich” (ściśle: poetów Wielkiego Księstwa Litewskiego), no a Henryk Rzewuski wystawił sobie trwały pomnik swymi „Pamiętnikami Soplicy” — pomnik tak trwały, że osobiście zaliczyłbym go do pisarzy pierwszorzędnych.

Łączę serdeczne pozdrowienia,

Michał K. PAWLIKOWSKI

P. J. Dzianott z Rosario, Argentyna, nadesłał list w obronie Ks. Rektora dr. L. Łuszczki. P. Z. Michalski z Kensington, Conn. USA, również polemizuje zarówno w sprawie ks. Łuszczki jak i z listem P. Rainy, wystosowanym do Ks. Kardynała Wyszyńskiego.

P. Piotr Pawluczuk z Buenos Aires, Argentyna, nadesłał obszernie wyjaśnienie (z szeregiem dokumentów) wyjaśniając nieścisłość zarzutów i pretensji p. W. Cygana, wysuniętych w liście do redakcji zamieszczonym w nrze 8/250-9/251 *Kultury*.

Pragniemy wyjaśnić że zamieszczając list p. Cygana nie mieliśmy najmniejszego zamiaru poddawać w wątpliwość zasług p. Pawluczuka, zarówno znanego malarza jak i zasłużonego propagatora kultury polskiej.

Rada Organizacji Wolnych Polaków w Sao Paulo, Brazylia, przesłała protest i wyjaśnienia w związku z *Kroniką Angielską* z nru 1/256-2/257, w której był zacytowany list otwarty Stow. Lotników Polskich w Brazylii w sprawie odmowy odprawienia nabożeństwa na intencję ofiar katyńskich przez ks. St. Łobazy.

REDAKCJA

Ś. + P.

Franciszek Adam ARCISZEWSKI

Gen. Bryg.

ur. 7 lipca 1890 w Kołomyi, szef sztabu 18 dyw. piech. w czasie wojny 1919-20, członek Biura Ścisłej Rady Wojennej, odznaczony orderem *Virtuti Militari*, dowódca 28 pułku strzelców kaniowskich, poseł na Sejm (1930-1935), ostatni prezes „Sokoła”, szef gabinetu wojskowego Prezydenta R.P. w Paryżu, szef misji wojskowej w Kanadzie i w Brazylii w czasie wojny, zmarł 31 marca 1969 w Londynie i został pochowany na Brompton Cemetery.

O bolesnej stracie zawiadamiają

Żona

Rodzina w Anglii, w Kraju,
Afryce i w Kanadzie.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.



Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.



Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 2^e Trimestre 1969

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560,00 F. b.
BRAZYLIA : Jerzy Pomian-Piatkowski, rua Guirara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. : 482-4673; B. Krasuski, 857 King St. W., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel : 586-3825; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel.: 233-7212; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. : LE 1-2491.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikieuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ...	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping C*, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, tel. MU 8-0346, Polish Amer. Book C* 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12 00 dol.
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty portu 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Macnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56.**

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 167 — SERIA „DOKUMENTY”

WYDARZENIA MARCOWE 1968

Wybór dokumentów
z przedmową prof. Zygmunta Bauman

Str. 160.

Cena egz. F. 15 (dol. 3,75)



TOM 172 — SERIA „DOKUMENTY”

POLSKIE PRZEDWIOŚNIE

WYDARZEŃ MARCOWYCH TOM II
CZECHOSŁOWACJA

W przeciwieństwie do pierwszego tomu, w którym przeważały rezolucje i ulotki, tom II zawiera gruntowniejsze i głębsze uzasadnienia rewolty marcowej. Książkę wzbogaca dodatkowo niezmiernie ciekawy wybór czechosłowackich dokumentów studenckich i pokrewnych.

Str. 160.

Cena egz. F. 15 (dol. 3,75)



TOM 173 — JÓZEF MACKIEWICZ

NIE TRZEBA GŁOŚNO MÓWIĆ

P o w i e ś ć

Wielki fresk przedstawiający rzeczywistość Ziem Północnych R.P.
w czasie ostatniej wojny

Str. 560.

Cena F. 35 (dol. 8,00)

UKAŻE SIĘ W POŁOWIE CZERWCA RB.

Cena 5,00 F